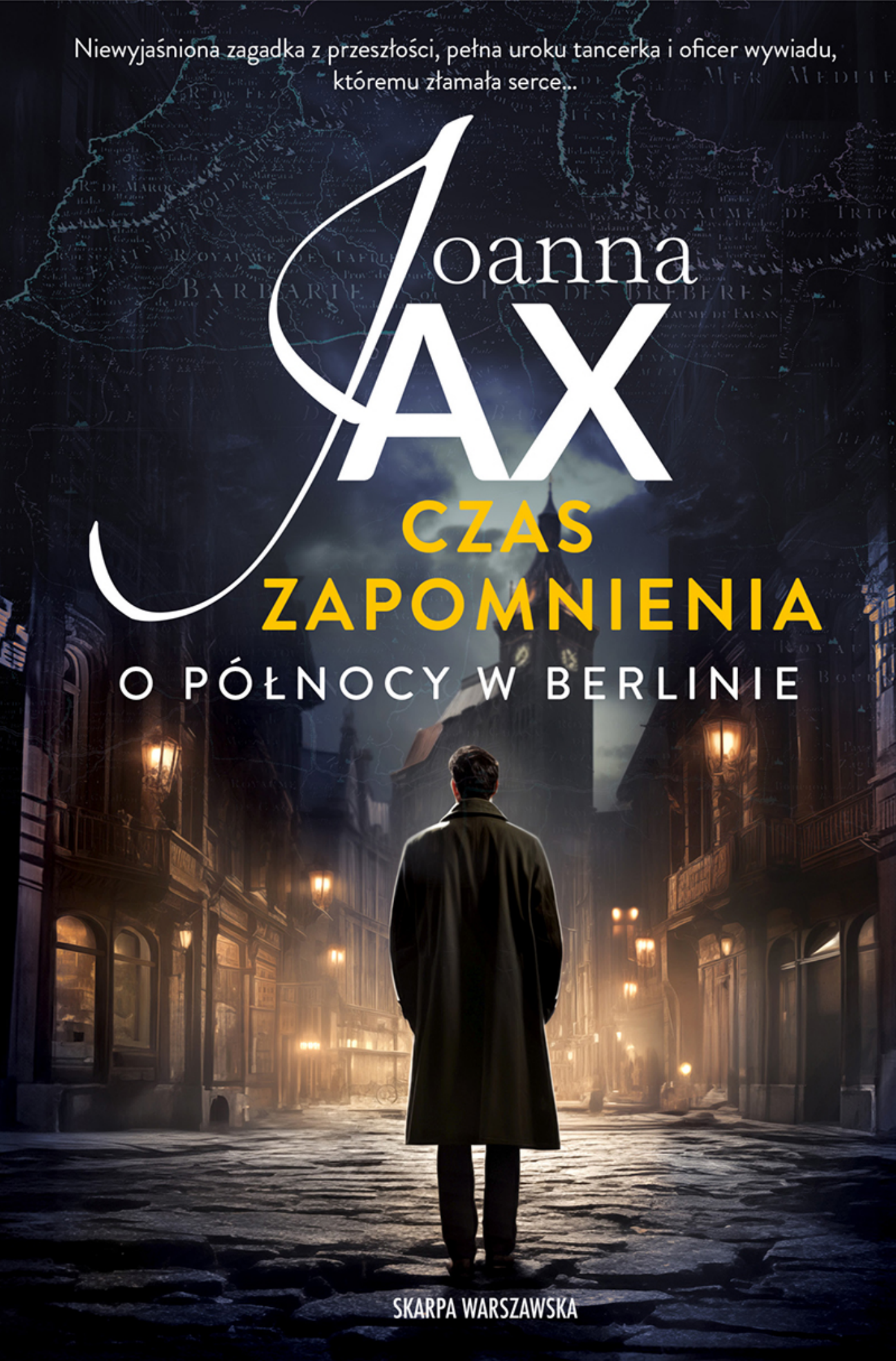


Niewyjaśniona zagadka z przeszłości, pełna uroku tancerka i oficer wywiadu,
któremu złamała serce...



Joanna
AAX
CZAS
ZAPOMNIENIA
O PÓŁNOCY W BERLINIE

SKARPA WARSZAWSKA

Joanna
AX
**CZAS
ZAPOMNIENIA**

TOM 1

O PÓŁNOCY W BERLINIE

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

1. Berlin, 1947
2. Berlin, 1947
3. Berlin, 1947
4. Afryka Południowo-Zachodnia, 1889
5. Berlin, 1947
6. Berlin, 1947
7. Berlin, 1947/Palestyna, 1914
8. Berlin, 1947
9. Berlin, 1947
10. Afryka Południowo-Zachodnia, 1900
11. Berlin, 1947
12. Okolice Oranienburga, 1947
13. Berlin, 1947
14. Arabia, 1914
15. Berlin, 1947/Egipt, 1942
16. Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia, 1906
17. Berlin 1947
18. Berlin, 1947
19. Kair, 1914
20. Berlin, 1947

21. Afryka Południowo-Zachodnia, 1908
22. Essen, 1947
23. Berlin, 1947
24. Kair, 1915
25. Berlin, 1947
26. Berlin, 1947
27. Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia, 1910
28. Berlin, 1947
29. Berlin, 1947

Przypisy

Redakcja
Anna Seweryn-Sakiewicz

Korekta
Bożena Sigismund

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2024

© Copyright by Joanna Jax, Warszawa 2024

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-98-1



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Berlin, 1947*

To była wyjątkowo duszna noc. Od kilku dni przez Europę przelewała się fala koszmarnych upałów i większość jej mieszkańców tęsknym wzrokiem wpatrywała się w zamglone niebo. Czekali na deszcz. Lepkie powietrze zwiastowało nadejście burzy, która przyniosłaby orzeźwienie, ale z oddali słychać było jedynie niemrawe pomruki. Od czasu do czasu ciemność rozcinały błyskawice, ale nic nie wskazywało na to, że nastąpi gwałtowna zmiana pogody i rychło dotrze do Berlina długo wyczekiwane ochłodzenie.

Młoda kobieta, ubrana w zbyt obszerne spodnie od munduru polowego i czarną koszulkę, nie zwracała najmniejszej uwagi na aurę. Była przyzwyczajona do znacznie wyższych temperatur i mimo dużej wilgotności powietrza znosiła podobną pogodę dużo lepiej niż inni.

Przypomniała sobie ostatnią zimą, kiedy to Berlin nawiedziła fala mrozów, przez co zginęło masę ludzi. Pamiętała dokładnie, jak wówczas marzła i chwilami odnosiła wrażenie, że chłód czuje na każdym centymetrze ciała. Gdyby mieszkańcy mieli wybór, woleliby chyba duszne noce od takich, kiedy w pomieszczeniach zamarzała w wiadrach woda.

Dookoła panowały ciemności bez mała egipskie, ale prądu brakowało nawet w domach, więc nieoświetlone ulice nikogo nie dziwiły. Zwłaszcza że większość latarni została zniszczona podczas bombardowania, podobnie jak wszystko inne w tym mieście.

Dotarła do Kurfürstenstraße i skręciła w lewo. Po kilkunastu minutach znalazła się na właściwej ulicy – Pariser Straße – w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg-Wilmersdorf. Omiotła wąskim snopem światła latarki trzypiętrowy budynek.

Zabite deskami otwory okienne świadczyły, że ktoś zdecydował się na zamieszkanie w tej na wpół zrujnowanej kamienicy.

Drzwi wejściowe z wyraźnymi śladami po pociskach nie miały klamki i były niedomknięte. Obok nich, na obłupanej ścianie, ktoś przytwierdził powyginaną tabliczkę z numerem budynku. Zerknęła na nią i odetchnęła. Trafiła pod właściwy adres.

Przyszła tu, by spotkać się z człowiekiem, który miał jej przekazać jakieś bardzo ważne informacje. Czuła lęk, ponieważ знаła tego mężczyznę bardzo słabo. Widziała go kilka razy w Kairze i zamieniła z nim zaledwie parę zdań. Nazywał się Alfred Klein i był lekarzem. Należał do znajomych jej wuja i to w jego domu go poznała.

Ann-Katrin Schneider musiała ukrywać swoją tożsamość, ponieważ nie była pewna, czy znajduje się w Centralnym Rejestrze Zbrodniarzy Wojennych i Podejrzanych. Nie zamierzała jednak tego sprawdzać, mimo że w jej dokumentach widniały zupełnie inne dane. Obawiała się trudnych pytań ze strony pracujących w tej instytucji żołnierzy sił alianckich.

Teraz nazywała się Karen Brener i podzielała los większości berlińczyków. Nie wiedziała jednak, czy może spać spokojnie, dlatego postanowiła dotrzeć do informacji o sobie w nieco inny sposób. Poznała pewną dziewczynę zajmującą się poszukiwaniem osób zaginionych przy Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu. Karen często wpadała do niej na herbatę i umawiały się na miście, by poplotkować o typowych damskich sprawach, i gdy uznała, że ich relacja zacieśniła się wystarczająco mocno, poprosiła ją o małą przysługę.

Któregoś dnia, gdy siedziały w biurze Gisele, zwróciła się do koleżanki, starając się, by w jej głosie nie słychać było podenerwowania czy nadmiernej ciekawości.

– Słuchaj, Gisele, czy mogłabyś sprawdzić taką jedną, moją znajomą ze szkoły. Wiesz, jak to dzisiaj jest. Wystarczy, że pracowała w niewłaściwym resorcie, a już mogła trafić na czarną listę. A ja nie chcę być ciągnana przez aliantów tylko dlatego, że ją znałam.

– Jasne, że wiem, jak to jest. Brytyjscy i amerykańscy żołnierze ciągle do nas przyłazą... I dają codziennie nową listę. A my mamy zgłaszać wszystkie informacje

na temat takiej osoby – westchnęła Gisele i zaciągnęła się papierosem.

– Mogłabyś ustalić, czy ktoś jej szuka? – zapytała niepewnie.

– Jasne, podaj mi jej dane, sprawdzę na listach. – Gisele puściła do niej oko.

– Ann-Katrin Schneider, urodzona w Kairze dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego roku – wydeklamowała.

– Będziesz musiała poczekać, to może trochę potrwać. Chyba że wpadniesz jutro rano.

Nie chciała, by Gisele się domyśliła, jak bardzo jej na tym zależy.

– Nie ma pośpiechu, może być jutro. – Machnęła ręką.

Nazajutrz, gdy tylko skończyła pracę, udała się do Gisele. Ta była bardzo podekscytowana.

– Słuchaj, tej twojej przyjaciółki szuka brytyjski wywiad – powiedziała szeptem.

– Spodziewałam się, że może mieć kłopoty – odparła równie cicho Ann-Katrin.

– Ale ktoś jeszcze o nią rozpytuje...

Zamarła. Gdyby nie to, że odszukała swojego wuja i nie miał potrzeby, by zgłaszać się do MCK w celu jej odnalezienia, zapewne by o nim pomyślała. Serce zaczęło jej dudnić jak oszalałe, ponieważ w tej sytuacji w grę wchodziło tylko dwaj mężczyźni, i żadnego z nich nie chciała widzieć na oczy.

– Kto to taki? – zapytała ze ściśniętym gardłem.

Dziewczyna zerknęła na świstek papieru i przeczytała:

– Jakiś Alfred Klein.

Była kompletnie zaskoczona i wgapiała się w Gisele z otwartą buzią. W pewnej chwili jakby ocknęła się z osłupienia i powiedziała, niby od niechcienia:

– To jej wuj... Słuchaj, a jak się z nim skontaktować?

– Myślisz, że może coś o niej wiedzieć, a nie przyszło mu do głowy, jak wielu innym, by nas o tym poinformować? Masz rację, takich przypadków jest mnóstwo, potem się okazuje, że od dawna rodzina mieszka razem – wydedukowała Gisele.

– Właśnie. – Pokiwała głową, wdzięczna, że koleżanka sama znalazła wyjaśnienie dla jej dociekliwości.

– Podał, że pracuje jako lekarz w szpitalu Charité. Ale wiesz, to jest radziecka strefa.

– Dam sobie radę – zapewniła.

– Tylko uważaj na siebie, tam podobno można oberwać.

– Nie martw się, mam legitymację prasową, nic mi nie zrobią – dodała.

Jeszcze tego samego dnia odnalazła doktora Kleina w Charité.

Zobaczyła go, gdy szedł w białym kitlu i żywo rozmawiał z pielęgniarką, szczupłą blondyną o wyrazistych rysach twarzy i sporym biuście.

– Przepraszam, doktorze... – wtrąciła się Ann-Katrin.

Pielęgniarka otaksowała ją wzrokiem, a Klein zaczął nerwowo się rozglądać, po czym ze sztucznym uśmiechem powiedział do swojej towarzyszki:

– Przepraszam, moja niesforna pacjentka przyszła.

Podszedł do niej i szepnął:

– Nie tutaj i nie teraz. Mieszkam przy Pariser StraÙe trzydzieœci cztery. Lokal numer dwa. To w brytyjskiej strefie, niedaleko KurfürstenstraÙe...

– Tak, wiem, gdzie jest ta ulica.

– Niech pani posłucha... Spotkamy się u mnie dzisiaj w nocy. Około drugiej. Wiem, jak to brzmi, ale lepiej dla nas obojga, żeby nikt się nie dowiedział o naszym spotkaniu. Pomiedzy dwudziestą czwartą a szóstą rano wyłączają prąd na tej ulicy i na kilku sąsiednich, więc nikt pani nie zauważy. Proszę uważać, czy nikt pani nie śledzi. Czy da pani radę przemknąć niepostrzeżenie?

– Tak, jasne – odparła, zaskoczona jeszcze bardziej niż wtedy, gdy Gisele wymieniła nazwisko doktora.

– Proszę, to ważne... Jestem pani winien prawdę. Będę czekał na panią. Może to pani zignorować, ale zależy mi na tym spotkaniu. I przysięgam, nie zamierzam zrobić pani krzywdy. – Ostanie słowa powiedział wręcz desperacko. Po chwili bez pożegnania odszedł w kierunku bloku operacyjnego.

Musiła sprawdzić, o co chodzi. Przez ostatnie lata towarzyszyło jej tyle tajemnic i niewyjaśnionych spraw, że nie zamierzała przez resztę życia się zastanawiać, czego chciał od niej ten człowiek.

W kompletnej ciemności dotarcie pod wskazany adres okazało się o wiele trudniejsze, niż myślała. Nie mogła przez cały czas przyświecać sobie latarką, żeby

nie zwrócić czyjejś uwagi. Co prawda, od kilku miesięcy nie obowiązywała już godzina policyjna, ale wolała uniknąć spotkania z brytyjskim patrolem. I z kimkolwiek innym.

Gdy stanęła przed drzwiami mieszkania doktora, spostrzegła, że jedno ze skrzydeł jest niedomknięte. To była dość duża niefrasobliwość ze strony Kleina. Kradzieże, włamania czy napady stanowiły w tym mieście codzienność. Wynędzniała i sponiewierana ludność starała się przetrwać i nawet najbardziej prawi niegdyś mieszkańcy miasta dopuszczali się przestępstw. Zdawali sobie także sprawę, że pozostaną bezkarni, bo policjantów było mało i nie mieli zbyt wielkich możliwości, żeby ścigać tego typu przestępców, stacjonujący zaś w brytyjskiej strefie okupacyjnej żołnierze obarczeni byli innymi, znacznie ważniejszymi obowiązkami.

Przez uchylone drzwi wsunęła się do środka. W mieszkaniu panowała wręcz grobowa cisza. Weszła do środka i powiedziała dość głośno:

– Doktorze Klein! Panie Alfredzie! Jest pan tutaj?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Przeszła przez niewielki przedpokój i znalazła się w małym salonie. Zdezelowane kanapy oraz zniszczone meble nikogo nie dziwiły, ale to, co zobaczyła w mieszkaniu doktora, ją przeraziło... Na podłodze leżały powyrzucane z szafek i komód rzeczy, a tapicerki na otomanie i stojącym obok fotelu były pocięte i porozrywane. Wybebeszono z nich włosie, które walało się po całym pokoju.

Weszła do kolejnego pomieszczenia i zastopowało ją. Z dwóch powodów – po pierwsze, klepki podłogowe zostały powyrywane i rozrzucone bezładnie, a po drugie, mężczyzna leżący na wąskim łóżku z metalowym wezglowiem był najprawdopodobniej martwy. Zakrwawiona koszulka i mocno pokiereszowane ciało mówiły same za siebie. Zatem ktoś musiał maltretować doktora, zanim dobił go strzałami w serce. Twarz mężczyzny była opuchnięta, a koło nosa i ust zobaczyła zakrzepłą krew. Ktoś wyrwał mu kilka paznokci i chyba połamał palce, ponieważ były nienaturalnie powykrzywiane.

Oprawca zdemontował podłogę, jednak znajdująca się naprzeciwko okna szafa bez jednego skrzydła drzwi i stojąca przy łóżku nieco obłupana biała komoda w stylu Ludwika XVI były nietknięte. Być może sprawca napaści został spłoszony i nie zdążył wybebeszyć kolejnych mebli.

Ann-Katrin była w szoku, bo przecież nie dalej jak dziesięć godzin temu rozmawiała z Kleinem na szpitalnym korytarzu. Zgasiła na chwilę latarkę, oparła się rękami o komodę i zaczęła łapczywie oddychać. Od razu przypomniała sobie dzień, kiedy znalazła dogorywającego i okrutnie pobitego ojca. Jedyne, co mogła wtedy zrobić, to być przy nim, dopóki nie przyjedzie lekarz. Nie pozwalała mu mówić, ale nie posłuchał jej. Do dzisiaj traktowała jego ostateczne słowa jak swoisty testament, ponieważ zanim przyszła pomoc, jej tata skonał.

Nie od razu opuściła to koszarne miejsce. Musiała sprawdzić, czy Klein nie daje żadnych oznak życia. Włączyła z powrotem latarkę i nachyliła się nad mężczyznę. Dotknęła jego szyi, ale nie wyczuła pulsu. Ciało doktora zaczynało sztywnieć, więc na jakąkolwiek pomoc było już zdecydowanie za późno. Poświeciła na swoją dłoń. Była zabrudzona krwią. Zemdlilo ją, a po chwili dotarło do niej, że powinna jak najszybciej stąd uciekać. Nie tylko z uwagi na to, iż sprawca mógł się ukryć w pobliżu i zaatakować również ją, ale nie mogła również być wmieszana w taką sprawę.

Nie planowała nikogo powiadamiać o tej zbrodni, ponieważ nie chciała stać się jęczyczką u wagi. Nie wiedziała, jak wytłumaczyłaby śledczym, co robiła w mieszkaniu denata o tej porze. Nie życzyła sobie, by ktokolwiek ją z nim powiązał, a potem oskarżył o zbrodnię, której nie popełniła. Albo o współudział, jak kiedyś. I tak miała wystarczająco dużo kłopotów.

Wybiegła do przedpokoju, a potem na klatkę schodową. Nie zważała ani na skrzyknięcie drzwi, ani na dźwięki dobiegające z mieszkania na końcu korytarza. Wyszła z budynku i szybkim krokiem ruszyła w stronę swojego mieszkania, o ile nora, w której znalazła miejsce do życia, można było nazwać tym mianem. Gdzieś w oddali usłyszała warkot samochodu, a potem zobaczyła światła. Czmychnęła za stertę gruzu, którego jeszcze nie zdążono wywieźć, i poczekała, aż auto przejedzie. Na szczęście zaraz potem pojazd skręcił w sąsiednią przecznicę.

Była spocona jak mysz i minęło dobrych kilka minut, zanim wyszła z rumowiska. Musiała się uspokoić i poukładać sobie w głowie pewne sprawy. A przede wszystkim zastanowić się, czy do morderstwa przy Pariser StraÙe doszło dlatego, że postanowiła przyjść tutaj i porozmawiać z Kleinem, czy po prostu miała pecha.

Nie mogło być mowy o zwykłym włamaniu i próbie ograbienia doktora. Złodziej nie zadałby sobie trudu, by odrywać klepki podłogowe. Oprawca najwyraźniej

szukał konkretnej rzeczy, ale nie miała pojęcia czego. W tej chwili było to zresztą dla niej najmniej ważne.

Nie wiedziała także, czego mógł chcieć od niej Alfred Klein i co takiego zamierzał jej powiedzieć. Zadał sobie jednak trud, by szukać jej przez MCK, a teraz kiedy się przed nim ujawniła, zginął...

W pierwszej chwili chciała pojechać do wuja, Hermanna Dagenhardta, i porozmawiać z nim o Kleinie, w końcu musieli dobrze się znać, skoro doktor był częstym gościem w jego domu, ale coś jej w tym wszystkim nie grało. Wuj wiedział, że Ann-Katrin mieszkała w Berlinie i pracowała w „Die Neue Zeitung”, więc dlaczego Klein nie zapytał o nią w redakcji? Nie wiedział, że Dagenhardtowie przenieśli się do Europy? A może istniało coś, o czym jej wuj nigdy nie powinien się dowiedzieć?

Przypomniała sobie ostatnie słowa ojca... by nikomu nie ufała. Nie dodał, co prawda, że dotyczyło to także najlepszego przyjaciela jej dziadka, Josepha, który powierzył Hermannowi opiekę nad swoją rodziną, ale wolała dmuchać na zimne. Już raz zlekceważyła ostrzeżenie taty i bardzo źle na tym wyszła...

Dotarła do siebie godzinę później. Weszła do pomieszczenia piwnicznego, w którym się urządziła, i zapaliła lampę naftową, bo w tej okolicy także była przerwa w dostawie prądu. Nie chciała siedzieć w ciemności, bo się obawiała, że wszędzie będzie jej majaczyła zmasakrowana twarz doktora Kleina.

Znowu zaczęła się zastanawiać, dlaczego doktor zginął akurat tej nocy. Nikomu nie mówiła, że zamierza się z nim spotkać. Czy to okrutny zbieg okoliczności, czy może ktoś śledził Kleina? Albo ją?

*Berlin, 1947*

Łomotanie do drzwi wyrwało Erika Webera z drzemki. Ktoś, kto postanowił go obudzić, nie musiał robić rumoru na cały dom. Od kilku lat Weber sypiał bardzo kiepsko i najmniejszy hałas sprawiał, że zrywał się na równe nogi.

Podszedł do drzwi i zapytał:

– Kto tam?

– Sierżant Bradley, komisarzu. Kapitan Eger wzywa pana do siebie. – Usłyszał głos podkomendnego Jacoba Egera.

Westchnął i otworzył drzwi.

– Wejdz, muszę się ubrać. A dlaczego go tak przycisnęło? Jest dopiero piąta rano, a ja nie mam służby.

– Müller znowu wylądował w szpitalu. Kapitan zaczyna się zastanawiać, czy Hans w ogóle nadaje się do służby – poinformował Bradley.

– A z czego będzie żył, jeśli Eger go wywali? Biedny Hans... – odparł Erik.

Poszukał spodni, założył koszulę i obmył twarz w misce. Na golenie nie miał już czasu, musiał się stawić przed Egerem najszybciej, jak to możliwe. Co prawda, kapitan i tak traktował go jak śmiecia, ale nie chciał dawać mu pretekstów do wygłaszania nadętych tez, że teraz Niemcy powinni wykonywać tylko proste czynności, a nie zajmować się poważnymi sprawami, ponieważ nie mają do tego prawa.

Chwycił jeszcze kawałek chleba, kupionego za bony, i pomaszerował za Bradleyem. Na szczęście ten przyjechał samochodem i dość szybko znaleźli się w siedzibie policji przy Friesenstraße.

Jacob Eger był niemieckim Żydem, który uciekł przed faszystowskim reżimem do Wielkiej Brytanii jeszcze przed nocą kryształową i nienawidził swoich rodaków z całego serca. Jego również.

Erik zaczynał żałować, że opuścił amerykańską strefę. Uważał, że Brytyjczycy potraktują go łagodniej, ale pomylił się bardzo. W każdym razie co do Egera... Zdecydował się na ten krok, ponieważ uznał, że został poniżony przez sąd, który miał, co prawda, w swoim składzie samych Niemców, ale działali oni wedle wytycznych amerykańskich zwierzchników.

Najbardziej był zdziwiony, że w ogóle musiał się stawić przed *Spruchkammern*, czyli przed Izbą Orzekającą w sądzie do spraw denazyfikacji. Przed wojną i w czasie jej trwania pracował w policji kryminalnej i zajmował się zabójstwami. Nie chodziło o zbrodnie wojenne czy morderstwa polityczne na zlecenie Gestapo czy SS, ale o te, które z całym nazistowskim reżimem nie miały nic wspólnego.

Jego adwokat zapewnił go, że to tylko formalność, a otrzymany dokument – zwany prześmiewczo persilem, od nazwy proszku do prania produkowanego przez Henkla – pozwoli mu na zatrudnienie w policji i wykonywanie zawodu zgodnego z jego doświadczeniem. Tak, ten „persil” czyścił przeszłość i wybielał obywatela, zapewne stąd wzięła się potoczna nazwa wyroku Izby Orzekającej.

Zarówno oskarżyciele, jak i sędziowie przez wielu Niemców zostali okrzyknięci zdrajcami, ale jego adwokat tłumaczył mu:

– Im szybciej się z tym uporamy, tym lepiej. Fałszywki deklaracji ideologicznej nic nie dają, Amerykanie wiedzą swoje i mają w dupie nawet ich prawdziwe Fragebogen^[1]. Oni tu rządzą, kapitulacja była bezwarunkowa, a naszym zadaniem jest jak najszybsze zamknięcie tego rozdziału.

– Mecenasiu, czekałem prawie rok na sprawę – jęknął Erik. – A do tego czasu jedyne zajęcie, na które mogłem liczyć, to praca przy odgruzowywaniu miasta, gdy tymczasem w policji czy innych służbach brakowało ludzi.

– Na rozprawę w samym Berlinie czeka jeszcze prawie sto tysięcy osób. My też musieliśmy przejść weryfikację, zanim pozwolono nam wrócić do zawodu, więc szeregi prawników zostały mocno przetrzebione. Dlatego to tyle trwa. Jednak wyznaczono już termin, więc niebawem zostanie pan oczyszczony. Nie zalicza się

pan żadną miarą do pierwszej kategorii, a tylko ci pójdą siedzieć na długie lata albo zostaną ukarani śmiercią.

Podobnie jak adwokat on także liczył na szybkie zakończenie sprawy. Wiedział, że nie dostanie pierwszej kategorii, ponieważ nie był zbrodniarzem wojennym, ale nie interesowała go żadna inna grupa niż piąta. Te pośrednie pozwalały uniknąć więzienia czy stryczka, ale uniemożliwiały podjęcie pracy policjanta czy sędziego. Wylądowałby wówczas w jakiejś fabryce i nigdy nie powróciłby do zawodu.

Na szczęście wszystko poszło po jego myśli, ale tłumaczenie się z pewnych spraw stanowiło dla niego nieprzyjemne przeżycie. Był świetnym detektywem i miał na swoim koncie zatrzymanie słynnego na cały kraj seryjnego mordercy kobiet, którego podniecało katowanie swoich ofiar i tylko wówczas osiągał spełnienie. Tylko kogo to obchodziło?

Erik Weber należał do tych osób, które uważały, że zostały potraktowane zbyt surowo. Zresztą większość mieszkańców Niemiec była szczerza zdziwiona obrotem spraw. Jakby nie mieli pojęcia, co się działo. Nawet ci, którzy korzystali z pracy robotników przymusowych, sprawiali wrażenie ludzi, którym się taka pomoc od państwa należała.

Sędzia zapytał, dlaczego należał do NSDAP.

– Gdybym nie wstąpił do partii, nigdy bym nie awansował. Byłbym podejrzanym elementem. Musiałem w związku z tym wypełnić deklarację bezwarunkowego posłuszeństwa – powiedział zgodnie z prawdą.

– A zatem pana przynależność wynikała z przyczyn czysto koniunkturalnych i nie obchodziło pana, co robili przywódcy partii? – zapytał sędzia. Był starszym mężczyzną o siwej brodzie i zmęczonym wyrazie twarzy.

– A czy wielkich tego świata interesowało, co robiło NSDAP, gdy siadali z nimi przez lata przy jednym stole? Wysoki Sąd uważa, że miałem jakikolwiek wpływ na to, co działo się w naszym kraju? Miałem w pojedynkę zmieniać świat?

– Proszę odpowiedzieć. – Mężczyzna ziewnął, niespecjalnie się z tym kryjąc.

– Akceptowałem to, bo nie miałem wyjścia – syknął.

– Zawsze jest jakieś wyjście – mruknął.

– Wysoki Sąd doskonale wie, że nie zawsze – odparł Erik.

Trwało to ponad dwie godziny. Pytano go, czy kogoś zamordował albo prześladował. Przyznał, że kiedyś zastrzelił człowieka. Mordercę, który udusił

własnego ojca, a na niego rzucił się z nożem. Do tej pory miał na twarzy paskudną bliznę. Przez wiele miesięcy nie mógł do tego przywyknąć i wydawało się mu, że każdy patrzy na niego z obrzydzeniem.

Potem zeznawali świadkowie, którzy zgodnie twierdzili, że Erik Weber był dobrym detektywem i nie zajmował się polityką, tylko robił swoje.

Gdy tylko otrzymał kwit z informacją, że został zakwalifikowany do piątej grupy, czyli nieobciążonych i uwolnionych z zarzutów, udał się do Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec przy Elßholzstraße i poprosił o rozmowę z jakimś brytyjskim decydem. Nie chciał mieć nic wspólnego z Amerykanami, ponieważ obwiniał ich za to poniżające wystąpienie przed sądem. Wierzył, że Brytyjczycy nie poślą go do diabła. W końcu miał ku temu najlepszą przepustkę – był *Entlastete*, czyli uniewinniony.

Oficer dyżurny skierował go do majora Connora Evansa. Kiedy wszedł do pokoju, w którym rezydował ów człowiek, od razu poczuł przed Evansem respekt. Był to postawny mężczyzna o krótko przyszczyżonych ciemnych włosach i dość łagodnych rysach twarzy. Jednak gdy marszczył brwi albo zaciągał się papierosem, sprawiał wrażenie człowieka zimnego i bez skrupułów.

Popatrzył na kwit z izby denazyfikacyjnej i zapytał:

– Dlaczego nie poszedł pan z tym do kogoś od amerykańskiej strefy? Zapewne otrzymałby pan posadę w którymś z komisariatów na ich terenie.

Nie chciał się skarżyć na Amerykanów, zwłaszcza brytyjskiemu oficerowi, dlatego powiedział:

– Znam te rewiry Berlina jak własną kieszeń i uważam, że przydałbym się w nowej policji. – Nawet nie skłamał, rzeczywiście doskonale poruszał się po dzielnicach oddanych pod zarząd Brytyjczykom.

Evans spojrział na niego i odparł:

– Ale wiesz, że to jest już zupełnie inna kieszeń?

– Majorze, przestępstwa pospolite i morderstwa, niemające nic wspólnego ze zbrodniami wojennymi, zdarzają się wszędzie i bez względu na sytuację polityczną. Nawet w takim reżimie jak Trzecia Rzesza czy powojenna bieda.

– Dobrze, poproszę Amerykanów o udostępnienie mi twoich akt. Jeśli uznam, że wyrok był sprawiedliwy, odeślę cię do kapitana Egera. On trzyma teraz pieczę nad komendą główną. Myślę, że nie odprawi cię z kwitkiem. Brakuje mu ludzi, a ja

wystawię ci pozytywną rekomendację. No chyba że znajdę coś takiego w twoich papierach, co mi na to nie pozwoli.

Polubił Evansa, a przede wszystkim był mu wdzięczny za pomoc w uzyskaniu tej pracy. Nie miał złudzeń, „persil” nic majora Evansa nie obchodził. Jak większość Brytyjczyków zapewne nie wierzył w uczciwość niemieckich sędziów, którzy musieli ukarać swoich rodaków za współpracę z nazistowskim reżimem. Mimo że w jego aktach widniało jak wół, że należał do NSDAP, major przymknął na to oko.

Za pierwszą wypłatę kupił mu koniak. Evans pewnie wolałby whisky, ale ta była dla Erika nieosiągalna. Oczywiście i ten prezent kosztował fortunę, bo mógł go nabyć jedynie na czarnym rynku. Connor bardzo się zdziwił. Był przekonany, że wszyscy Niemcy nienawidzą okupantów i prędzej podaliby brytyjskiemu oficerowi cyjanek aniżeli dobry alkohol.

– Posłuchaj, wielu z nas nadal uważa was za diabłów wcielonych. Ja jestem... bardziej wyrozumiały. Mam więc nadzieję, że razem opróżnimy tę wspaniałą buteleczkę – powiedział ze śmiechem.

Tak też zrobili, a Weber miał okazję się przekonać, iż brytyjscy okupanci nie mieszkają w dużo lepszych warunkach niż inni berlińczycy i nie wszyscy stosują odpowiedzialność zbiorową.

Od tej pory spotykali się od czasu do czasu na piwie. Evans któregoś razu zaproponował nawet, by zabawili się z młodziutkimi niemieckimi prostytutkami, które można było spotkać na niemal każdej ulicy, ale Erik odmówił. Wykpił się obawą przed złapaniem choroby wenerycznej.

Wszedł do pokoju Egera. Mężczyzna siedział na zdezelowanym krześle i opierał nogi na masywnym biurku. Dłubał zapalką w zębie i wyglądał bardziej na amerykańskiego gangstera aniżeli szefa policji. Jego blisko osadzone oczy i orli nos nadawały mu wyraz człowieka nie tyle okrutnego, co wrednego.

Weber nie miał pojęcia, co kapitan robił o tej porze w komendzie. Eger chyba czytał w jego myślach, bo powiedział:

– Musiałem przygotować raport dla Rady Kontroli i dowiedziałem się, że mamy trupa. Nie takiego, co leży pod gruzami czy zdechł z głodu. Ten oberwał trzy kulki

w serce, a wcześniej ktoś wyżył się na nim dość brutalnie. Jedź tam i jeśli nikt się nie przyzna, zamknij dochodzenie – polecił komendant.

– Nie rozumiem... Jak to, mam zamknąć dochodzenie? – zdziwił się Erik.

– Normalnie. Słuchaj, facet w czasie wojny na pewno służył w SS albo był jakimś pierdolonym gestapowcem, który wyrywał aresztantom paznokcie lub przypalał ich fajkami. Zapewne ktoś pragnął wyrównać krzywdy. Nie zamierzam się nad kimś takim rozczulać.

– Ale jeśli nawet kapitan ma rację, to chyba nie możemy pozwolić na samosądy...

– Nie możemy, ale co innego chcesz zrobić? – Eger wydał usta.

– Zebrać ślady, przeprowadzić badania serologiczne i balistyczne, przesłuchać świadków... pogrzebać w archiwach – wymienił, mimo że jeszcze nie wiedział, jakie czynności śledcze będą konieczne.

– I co zrobisz z tymi śladami? Poprosisz wróżkę, żeby ci powiedziała, do kogo należą? Najbliższe laboratorium mamy w Norymberdze. To będzie trwało tygodnie albo miesiące, a ja będę się musiał tłumaczyć z niezamkniętych śledztw. I kto ma niby siedzieć w tych archiwach? Krasnoludki? Do cholery, mam za mało ludzi – burknął Eger. – Tak krawiec kraje... i tak dalej.

– Rozumiem, że gdyby ktoś zastrzelił brytyjskiego oficera, miejsce w laboratorium od razu by się znalazło? I pewnie ludzie do gmerania w kwitach również? – Erik nie mógł się powstrzymać od ironii.

– Najpierw jedź na miejsce zbrodni. Może ktoś się przyzna i nasza rozmowa stanie się bezprzedmiotowa – burknął Eger i odesłał go do diabła.

Tym razem Erik mógł skorzystać z samochodu, ale zdawał sobie sprawę, że następnego dnia jedyny środek lokomocji, który będzie miał do dyspozycji, to rower.

Dochodziła szósta rano, było już zupełnie jasno i mimo wczesnej pory wciąż duszno, a on przez całą drogę na Pariser myślał, że w końcu trafiła mu się sprawa, w której będzie mógł wykorzystać swoje doświadczenie i umiejętności śledczego.



Berlin, 1947

Każdy, kto chociaż odrobinę znał Connora Evansa, dziwił się, że ten postanowił powrócić do zrujnowanej Europy. Gdyby jeszcze zadekował się w jakimś urokliwym walijskim miasteczku albo na przykład na południowym wybrzeżu Francji, wzbudziłoby to mniejszą sensację, jednak on po odejściu z brytyjskiego wywiadu MI6 postanowił kontynuować swoją służbę w Berlinie, który po kapitulacji można było określić mianem cmentarzyska. Tymczasem jego matka, która po śmierci ojca Connora wyszła za szemranego egipskiego biznesmena, mogłaby mu stworzyć w Kairze rajskie życie. On jednak z tej oferty nie skorzystał.

Connor nie tłumaczył nikomu powodów swojej decyzji, ponieważ postarał się o przeniesienie do Berlina z czysto osobistych pobudek – chciał kogoś odnaleźć. Nie był to żaden zbrodniarz wojenny ani nikt, kogo pragnąłby posłać do więzienia albo na szubienicę, ale pewna kobieta. Co prawda, śliczna Ann-Katrin Schneider zasłużyła na jedno lub drugie, ale nie chodziło mu o taką zemstę. Gdyby miał to w planach, mógł jej dokonać w Egipcie, a on nie tylko nie posłał jej za kratki, ale pomógł uciec. Pewnie dlatego, że był zakochanym durniem, gotowym złamać dla tej kobiety wszystkie zasady, które przez całe młode życie wpajał mu ojciec, sir Thomas Evans.

Oszukiwał się każdego dnia. Wmawiał sobie, że chce odnaleźć Ann-Katrin, aby przestała być taka pewna siebie i bezczelna. Pragnął, by nabrała pokory i w końcu zrozumiała, że zachowała się wobec niego podle. Po prostu zabawiła się nim, gdy on zamierzał rzucić jej do stóp cały świat. Uznał, że strach, który poczuje Ann-Katrin, gdy stanie naprzeciwko niego, i niepewność jutra powinny być dla niej wystarczającą karą za to, w jaki sposób go potraktowała. On miał władzę, ona w tej chwili była bezbronna. Setki razy wyobrażał sobie tę scenę – Ann-Katrin

pokonana. Był ciekaw, jaką grę damskich sztuczek zastosuje, gdy ją dopadnie. I żadna już na niego nie zadziała...

Jednak gdzieś na dnie duszy jakiś cichy głos z niego szydził, że prawda jest inna. Po prostu mimo upływu czasu nie potrafił zapomnieć o Ann-Katrin. Na początku nie był pewny, czy panna Schneider była ofiarą męskich intryg, czy zręczną manipulatką, która dzięki niemu wyszła z całej afery bez szwanku, ale gdy kolejny raz się spotkali, mógł się utwierdzić w przekonaniu, że został przez nią perfidnie wykorzystany.

Po raz pierwszy oszukała go w dniu, w którym się poznali. A jednak zaufał jej. Chyba po prostu bardzo chciał jej wierzyć.

Kiedy później, po tej całej aferze, ją odnalazł, zgodnie z rozkazem powinien doprowadzić ją do egipskich służb, by ją aresztowano, ponieważ prawdopodobnie była zamieszana w morderstwo brytyjskiego oficera z Ministerstwa Wojny, a kto wie, może nawet sama trzykrotnie nacisnęła na spust. Wbrew obiegowym opiniom brytyjski wywiad zagraniczny, czyli MI6, nie miał prawa nikogo zatrzymywać czy wykonywać wyroków. Wszystko musiało się odbywać zgodnie z literą prawa. Tak postanowiono na początku działania MI6 i do czasów obecnych nic się w tej materii nie zmieniło.

On jednak nie oddał jej w ręce wymiaru sprawiedliwości, tylko pomógł jej wydostać się z kraju. Prawie do samego końca uważał, że Ann-Katrin była ofiarą. Załatwił jej więc lewy paszport, kajutę na jednym ze statków Royal Navy i odwiózł do portu w Aleksandrii.

Słońce chyliło się ku zachodowi, woda chlupotała o keję, a wzdłuż nabrzeża kręcili się brytyjscy marynarze, korzystając z ostatnich chwil na suchym lądzie. Od chwili gdy wysiedli z samochodu, Ann-Katrin milczała jak zaczarowana. Sądził, że było jej po prostu wstyd. W końcu mógł mieć przez nią ogromne problemy. Jednak ona była wciąż tak samo zimna i niedostępna jak przez ostatnich kilka tygodni. Zrzucił to na karb tragedii, która ją spotkała, ale bardzo się pomylił.

Powiedział wówczas:

- Teraz musisz sama sobie poradzić.
- Poradzę sobie – burknęła.

Łudził się, że usłyszy od niej chociaż „przepraszam” albo „dziękuję”, ale ona przez całą drogę odpowiadała mu półsłówkami i od chwili gdy ją odnalazł w jednym z podrzędnych egipskich hotelików, z niewiadomych mu powodów wyglądała ciągle na ciężko obrażoną. A teraz najwyraźniej w ogóle nie zamierzała z nim rozmawiać, a on nie miał pojęcia dlaczego. Zachowywała się tak, jakby udzielona jej pomoc była psim obowiązkiem Connora Evansa, a ona była jakąś cholerną księżną. Znosił to po męsku, bo nie zamierzał żebrać o uczucia Ann-Katrin, ale tuż przed jej wejściem na statek nie wytrzymał.

– I tylko tyle, panno Schneider? Poradzę sobie, i już?

– A co chciałbyś jeszcze usłyszeć? – zadrwiła.

– Kobieto, stałaś się dla mnie najważniejsza na tym pieprzonym świecie! Ryzykuję dla ciebie swoją karierę, a ty nie dość, że okazałaś się niemieckim szpiegiem, to jeszcze mnie oszukałaś! I to nieraz! A na końcu potraktowałaś jak nachalnego wielbiciela... Rozumiem, że spotkało cię nieszczęście, ale nie musiałaś wyzywać się na mnie. Chciałem ci pomóc, ale odepchnęłaś mnie. Jakby ci wcale nie zależało na poznaniu prawdy! – Zdenerwował się.

– Nie byłem żadnym szpiegiem, a jeśli już, to bardziej brytyjskim niż niemieckim – prychnęła i dodała jadowicie: – Widzisz, zdradziłam dla ciebie swoją ojczyznę.

– Zatem oboje wyrzekliśmy się pewnych zasad. W imię miłości – powiedział chyba nieco żałośnie.

Nie miał pojęcia, kiedy ją znowu zobaczy i czy w ogóle kiedykolwiek to nastąpi, ale pragnął, by zostawiła mu nadzieję, że ten cały bajzel, w który się wpakowała, nie ma nic wspólnego z nimi. Tymczasem ona spojrzała na niego zimno. Miała takie piękne ciemne oczy. Przenikliwe, przemawiające do wyobraźni bardziej niż jej smukłe, smagłe ciało. Jednak Ann-Katrin potrafiła również patrzeć w sposób, który mógł zamienić piasek pustyni w arktyczny lód. Tak jak w tym momencie.

– Posłuchaj, Connor... Udawanie świetnie ci wychodzi, ale ja już się nie dam na to nabrać. Chcesz wiedzieć, co czuję? Nienawidzę cię. Z całego serca. Nie mogę na ciebie patrzeć i gdybym miała inne wyjście, kazałabym ci się udławić tym cholernym paszportem. Pragnęłabym powiedzieć ci na pożegnanie, żebyś był szczęśliwy, ale teraz mogę ci jedynie życzyć wszystkiego najgorszego – wyrzuciła z siebie.

Wmurowało go, ponieważ nie miał pojęcia, co takiego zrobił Ann-Katrin. Przecież to ona sprawiła, że jego kariera zawisła na włosku! Złapał ją za ramię i mocno ścisnął. Być może zrobił to zbyt brutalnie, bo zobaczył na twarzy kobiety grymas bólu.

– Mógłbym cię teraz zabić! – syknął.

Nie odpowiedziała, tylko się rozejrzała i ujrawszy schodzącego z trapu oficera marynarki Royal Navy, zagadnęła:

– Przepraszam! Czy mógłby mi pan pomóc? Szukam admirała McKenziego...

Jego uścisk zelżał. Chciał ją zatrzymać i zmusić, by powiedziała mu, za co go tak nie cierpi, ale na to było już za późno. Nie zamierzał się awanturować i zwracać na siebie uwagi. Za to, co zrobił, by pomóc Ann-Katrin, groziły mu poważne konsekwencje. Nie mógł się narażać bardziej niż to konieczne i nie chciał już kochać panny Schneider. Jedyne, czego pragnął, to znienawidzić ją i czuć pogardę za każdym razem, gdy o niej pomyśli.

Pozostawiła go na tym ponurym nadbrzeżu ze złamanym sercem i duszą w rozsypce, jednak po jakimś czasie zobaczył światełko w tunelu, bo zapragnął odwetu na Ann-Katrin. Zakpiła z niego, oszukała go, a na końcu właściwie powiedziała mu między wierszami, że sypiała z nim tylko dlatego, że chciała uśpić jego czujność i osiągnąć swój cel.

Po opuszczeniu przez nią Egiptu starał się dowiedzieć, czy przeżyła i jak sobie radzi w nowej i bardzo trudnej rzeczywistości, a przede wszystkim gdzie postanowiła osiąść, ale ślad po Ann-Katrin Schneider urwał się zaraz po jej zejściu z trapu w Gallipoli. Długo się zastanawiał, co zrobiła ze swoim życiem, nie mając prawie pieniędzy ani znajomości w Europie. Być może postanowiła opuścić Stary Kontynent i udać się do którejś z Ameryk, ale na to także potrzebowałyby forszy.

Gdy trafił do Berlina, zaczął jej szukać. Bez skutku. Czasami wyobrażał sobie, że śliczna Ann-Katrin uwiodła jakiegoś bogacza, wyszła za niego i opuściła Europę, ale podskórnie czuł, iż ona gdzieś tu jest. Nie sądził, by teraz posługiwała się egipskim paszportem, ale szukał jej także pod fałszywym nazwiskiem. Nawet sprawdził, dzięki koneksjom matki, czy nie powróciła do Kairu.

Gdy przybył do Berlina, w lipcu czterdziestego piątego roku, wszyscy narzekali na upały, ale on do nich nawykł. Jak to mawiała jego matka – był dzieckiem kolonialnym i czuł się świetnie w gorącym klimacie, ale pogoda była najmniejszym z problemów mieszkańców dawnej stolicy Trzeciej Rzeszy... To, co zobaczył, kompletnie wytrąciło go z równowagi. Ogromne miasto z licznymi zabytkami, które jeszcze do niedawna zachwycaly świat, było ruiną. Zbombardowane budynki, zięjące okopconymi i częściowo zawalonymi ścianami, wyglądały jak z sennych koszmarów. Niezmierzone pokłady gruzu, ulice pokryte pyłem, a między nimi snuły się ludzkie cienie. Nie wiedział, jak tutaj żyją i jak sobie radzą. Mijał kilkuletnie dzieciaki, które żebrały nie tylko o coś do jedzenia, co było dość zrozumiałe, ale także o papierosy. Nie po to, by je wymienić na inne dobra, ale ćmić w towarzystwie swoich rówieśników. To właśnie ci najmłodszy chłopcy okazywali największą wrogość wobec żołnierzy alianckich. Kilka razy oberwał kamieniem, raz jakiś gówniarz opluł mu mundur, a inny usiłował przebić oponę w wojskowym gaziku. Oni po prostu nie rozumieli, dlaczego muszą teraz głodować i mieszkać w piwnicach, a alianci byli dla nich tymi, którzy zniszczyli im dzieciństwo.

Rozumiał te dzieciaki i ich nastawienie. Mądre głowy pisały w zagranicznych gazetach o straconym pokoleniu. To prawda, zanim te dzieci dorosną, będą musiały się zmierzyć z okrutną biedą i ustawiczną krytyką tego, co minęło, a także oswoić ze śmiercią. Zapewne nie pojmowały radości aliantów, okazywanej na każdym kroku. A przecież oni mieli swoje powody do takiego zachowania, ponieważ zakończyli tę potworną wojnę i pokonali Hitlera. Jednak dla tych malców liczyło się to, że muszą mieszkać w straszliwych warunkach i patrzeć na morze trupów. Starsi także nie witali ich naręczami kwiatów, ale oni wiedzieli, że Trzecia Rzesza i rządy nazistów dobiegły końca. Zdawali sobie sprawę, iż teraz zapłacą bardzo wysoką cenę za tłuste lata, kiedy dorabiali się na nieszczęściu podbitych narodów.

Zadawał sobie w duchu pytanie: „Co ty tu robisz, człowieku?”. Jak będziesz żył w miejscu, które przypomina cmentarz, a ludzie – żywe trupy. A jednak pozostał. I każdego dnia bacznie się rozglądał, czy przypadkiem wśród ruin nie zobaczy Ann-Katrin.

„Musiałaby być szalona, żeby tu mieszkać – myślał i uśmiechał się pod nosem. – A ty jesteś starym durniem. No, może nie aż tak starym, w końcu nie przekroczyłeś

jeszcze czterdziestki, ale głupcem jesteś na pewno”.

Wkrótce natłok zajęć sprawił, że przestał obsesyjnie rozmyślać o kobiecie, która go zraniła. Wysłał jedynie informacje do wszystkich delegatur poszukujących zbrodniarzy wojennych, a także do biur Czerwonego Krzyża, że mają go niezwłocznie powiadomić, gdyby dowiedzieli się czegoś na temat Ann-Katrin Schneider. Gdy pytano, co przeszkrobała, odpowiadał, że ta informacja jest ściśle tajna. To była bzdura i gdyby nie to, że w dokumentach MI6, znajdujących się w brytyjskich archiwach, mogło przewijać się jej nazwisko, mógłby po prostu twierdzić, że to jego stara znajoma z Egiptu lub Palestyny. Te najważniejsze akta ukradł, a ich zniknięcie administracja zrzuciła na karb bałaganu. Nikt nie robił z tego afery, bo wojna się skończyła, a Brytyjczycy wycofywali się z Egiptu.

Nie wybrał Berlina, bo tak podpowiadały mu tylko przeczucie i serce, ale tutaj mieszkał kiedyś jedyny człowiek, który byłby w stanie pomóc Ann-Katrin po jej przybyciu do Europy. Markus Stern był jego największym wrogiem i człowiekiem poszukiwanym przez brytyjski wymiar sprawiedliwości za morderstwo dokonane na pewnym pułkowniku, a także za szpiegostwo na rzecz Trzeciej Rzeszy.

Mimo że przyjechał do Berlina, karmiąc się irracjonalną nadzieją i uznając, iż to właśnie tutaj będzie miał najszerszą informację z racji bliskości innych stref okupacyjnych, jak również z uwagi na osobę Sterna, przestał żałować swojej decyzji. Praca tutaj to było wyzwanie i mógł zrobić coś naprawdę pożytecznego. W nowym miejscu zakolegował się z kilkoma oficerami, a nawet z jednym niemieckim detektywem, Erikiem Weberem. Jego przełożeni, a także wielu z jego rodaków uważało, że Niemcy powinni być teraz sługami aliantów, a zadawanie się z nimi może być niebezpieczne i skazić anielskie dusze brytyjskich żołnierzy. Mimo że Brytyjczycy jako pierwsi zrezygnowali z zakazu nawiązywania kontaktów, również intymnych, z obywatelami upadłej Rzeszy, w ich zachowaniu wyczuwało się wyższość i pogardę dla przegranych.

Wkurzało go, że jego koledzy mierzą wszystkich jedną miarką. Może on miał większy dystans do tej sytuacji, ponieważ cały okres wojny spędził w Afryce? Dlatego między innymi postanowił dać szansę Erikowi, mimo że ten w czasach minionych należał do NSDAP. Weber nie powinien być uniewinniony przez izbę denazyfikacyjną, ale otrzymać drugą albo trzecią grupę. Gdyby jednak trzymano się ściśle litery prawa wymyślonego przez aliantów, nie miałby kto leczyć

schorowanych ludzi, których było pełno, udzielać porad prawnych, sądzić czy zasilić nowo powstałą policję wykwalifikowanymi kadrami.

Zdołał poznać kapitana Jacoba Egera i zdawał sobie sprawę, że Weber będzie miał z nim ciężkie życie. Pomyślał jednak, że taki stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie i zaraz alianci zawiną się z Niemiec, a w każdym razie z miejscowej administracji. Rok wcześniej odbyły się wybory i lada chwila państwo miało powrócić do względnej normalności. Tymczasem Erik Weber będzie w odpowiednim miejscu, by kontynuować swoją karierę śledczego. Był świetnym detektywem i to chyba wpłynęło na decyzję Connora. Gdyby nie przeczytał o jego osiągnięciach, nie postawiłby ani pensa, że Weber może być skuteczny. Facet był nieco flegmatyczny i ciągle narzekał. Nigdy się nie śpieszył, należał do osób bardzo skrupulatnych i może to właśnie okazało się jego największym atutem, gdy pracował jako śledczy.

Teraz Erik utyskiwał, że nie ma warunków do prowadzenia spraw, a zeznania spisuje ołówkiem w szkolnym zeszycie, ale Connor pocieszał go, iż na pewno zostanie opracowany jakiś plan wpompowania przez Amerykę potężnych funduszy w upadłe państwo.

– Nie wierzę – wzdychał Weber.

– Posłuchaj, miłość między nami a Sowietami się skończyła. Ci drudzy zechcą przeciągnąć ludzi na swoją stronę, obiecując im raj na ziemi. My też musimy coś zrobić. A może raczej Amerykanie, bo kasa królestwa brytyjskiego świeci pustkami.

– Jeśli trafi mi się taki potwór jak ten, którego udało mi się schwytać w trzydziestym dziewiątym i dzięki temu awansować, to leżę. Jednak miałem wtedy do dyspozycji sztab ludzi i najnowsze wynalazki techniki. A teraz jeżdżę rowerem – żalił się Erik.

– Naprawdę wolałbyś pracować w fabryce albo sprzątać gruz? – zdumiał się Connor.

– Pewnie, że wolę pracować w swoim fachu. Poradzę sobie, ktoś przecież musi łapać zwykłych przestępców, a nie tylko zbrodniarzy wojennych, ale pomarudzić chyba mogę – odpowiadał i zły humor mu mijał.

Niewiele wiedział o życiu osobistym Erika. Nie brał go na spytki, bo sam także nie miał ochoty się zwierzać. Wiedział, że Weber pracował w policji kryminalnej,

a on powiedział o sobie jedynie tyle, że przez większość swojego życia mieszkał i pełnił służbę w Egipcie. Nic więcej... Udawali więc przed sobą, że ich życie rozpoczęło się w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Evans zamieszkał w budynku, który nie ucierpiał tak mocno jak wiele innych. Część dzielnicy Tiergarten przylegająca do Mitte, pełna zakamarków i wąskich uliczek, kryła w sobie miejsca, które bardziej niż gdzie indziej nadawały się do zamieszkania. Potem jednak przeniósł się do kamienicy po drugiej stronie parku, bo irytowała go bliskość radzieckiej strefy i wiecznie zapijaczonych sowieckich żołnierzy.

Właściwie nazywanie Tiergarten parkiem było mocno przesadzone. Drzewa wycięto na opał, a ziemię podzielono na małe działki, na których uprawiano ziemniaki, kapustę czy cebulę. Podobnie zagospodarowano teren w okolicy Bramy Brandenburskiej, ponieważ w Berlinie, podobnie jak w innych niemieckich miastach, brakowało żywności.

To był przykry widok. Centrum Europy i pośrodku zagony kartofli. Oczywiście istniały już plany przywrócenia tym miejscom dawnego sznytu, ale na razie były pilniejsze potrzeby. Miasto dogorywało, a oni musieli sprawić, że zaczną żyć od nowa, Connor Evans zaś zapragnął być jednym z tych, którzy się do tego przyczynią.



Afryka Południowo-Zachodnia, 1889

Dziadek Ann-Katrin, Joseph Schneider, przybył na Wybrzeże Szkieletowe, nazywane także bramą prowadzącą do piekła, wraz z dziewiętnastoma śmiałkami i dowódcą, kapitanem pruskiej armii Curtem von François. Dostali zadanie, by naprawić błędy poprzednika i przykryć jego porażkę. Wcześniej tę ziemię miał zająć dla Drugiej Rzeszy doktor Heinrich Ernst Göring, ale jego misja okazała się kompletną katastrofą. Tymczasem niemieccy przemysłowcy domagali się, by Cesarstwo Niemieckie zaczęło robić to, co Brytyjczycy, Francuzi czy Włosi, którzy kolonizowali, co się tylko dało.

Istniał jednak taki fragment Czarnego Lądu, który nie był zbyt przyjazny dla obcych i inne kraje starały się go omijać. Marynarze, którzy w gęstej mgłę roztrzaskiwali swoje statki o skały, pozostawiali tam na zawsze, ale w charakterze zwłok. Z czasem ich ciała zamieniały się kupki kości i może dlatego ten region został nazwany Wybrzeżem Szkieletowym. Owszem, nie wszyscy kończyli tak źle, ale osiedlanie się na tym skrawku Afryki wydawało się szaleństwem.

Joseph liczył wówczas dwadzieścia lat i był żądny przygód. Nie interesował go sklep kolonialny w Bremie, który miał odziedziczyć po swoim ojcu. Chciał podróżować, odkrywać nowe lądy i bronić białych przed „dzikimi”. W owym czasie czarnoskórych tubylców nie traktowano jak ludzi. Dzikich należało wytresować, żeby dobrze służyli, i bezpardonowo mordować, jeśli będą stawiali opór, ponieważ żadna inna forma koegzystencji nie miała prawa się udać. Młody Schneider wyobrażał więc sobie, że wszyscy rdzenni mieszkańcy to osobnicy, którzy żyją jak ich przodkowie tysiąc lat temu. Zamieszkują prymitywne szałas, chodzą nago i tańczą wokół ognisk, wznosząc w niezrozumiałym języku modlitwy do pogańskich bóstw.

Teoretycznie ich oddział udawał się tam jako członkowie ekspedycji naukowej, ale w rzeczywistości nie mieli pokojowych zamiarów. Dlatego też po drodze zawinęli do jednego z portów Wysp Kanaryjskich i zaopatrzyli się w broń. Zakupili również kilka wielbłądów i zapas jedzenia na cztery miesiące. Ich dowódca nie był nowicjuszem, wcześniej pracował dla króla Leopolda jako najemnik i walczył z „dzikimi” w Kongo. O jego wyczynach krążyły legendy i wydawał się najwłaściwszą osobą do wykonania misji na tym trudnym terenie.

Przybili do portu w Walvis-Bay, największego na południowo-zachodnim wybrzeżu, ale nie tętnił on życiem, jak można byłoby się spodziewać. Nie pracowało tu zbyt wiele osób i nawet siedzący w biurach portu Brytyjczycy zdawali się ospali i znudzeni.

Zeszli z pokładu w korkowych kapeluszach i mundurkach khaki, jak wszyscy członkowie podobnych ekspedycji naukowych, jednak François w niczym nie przypominał zapalonego profesora antropologii, ale zachowywał się, jakby już został władcą tej części Afryki.

– Panowie gdzie się zatrzymają? – zapytał Brytyjczyk w kapitanacie.

– W Otjimbingwe, w domu sir Göringa – oznajmił François.

Mężczyzna za biurkiem uśmiechnął się głupkowato, co momentalnie rozzłościło przywódcę wyprawy. A najbardziej doskwierało mu to, że nie mógł zbyt obcesowo potraktować tego gryziopórka.

– Czy z domem doktora jest coś nie tak? – zapytał na tyle uprzejmie, na ile potrafił.

– Chyba wszystko w porządku, jednak mieszkają w nim teraz inni ludzie...

Zapewne François chciał powiedzieć, że wyrzucą ich siłą albo rozwalą mauserami 88 ich durne czarne łby, ale się opanował.

– Hm... Na pewno jakoś im wytłumaczymy, że powinni się wyprowadzić.

Młody Joseph miał ochotę zapytać kapitana, w jakim języku zamierza porozumieć się z tubylcami i objaśnić im, dlaczego muszą się wynieść, ale milczał, bo wiedział, że ze strony François to tylko gierka.

– W takim razie życzę powodzenia i mam nadzieję, że wyprawa będzie udana. A jak długo zamierzacie tu pozostać? – Urzędnik portowy zdawał się wciąż z ich naigrawać. Widocznie uznał, że ich plany nie mają większego znaczenia, ponieważ uciekną stąd szybciej, niż się spodziewają.

– Pierwsze, co zrobię, to zorganizuję sobie *chicottę* – mruknął pod nosem.

Mężczyzna, nawet jeśli usłyszał słowa François, zapewne nie miał pojęcia, co oznaczało to słowo. *Chicotta*, bardzo popularna wśród kolonizatorów Konga Belgijskiego, z pewnością w tej części Afryki nazywała się inaczej. Był to bicz z suszonej skóry hipopotama, który potrafił rozciąć ciało nie gorzej niż nóż.

Kiedy dotarli do Otjimbingwe, gdzie znajdowała się willa Göringa, doznali rozczarowania. Elita Hererów, jednego z tubylczych ludów, wcale nie nosiła na biodrach skórzanych opasek ani nie smarowała się ochrą. Ci bardziej obeznani w handlu z Burami, osadnikami holenderskimi, jak i z Brytyjczykami zdołali poznać smak cywilizacji. Nosili wojskowe mundury oraz przewieszane przez ramię karabiny i potrafili porozumieć się w innym języku niż tubylczy.

– Jestem kapitan Curt von François. My się tu wprowadzamy. To jest dom należący do Cesarstwa Niemieckiego. – Kapitan sylabizował bardzo głośno każde zdanie, jakby gromki głos miał spowodować lepsze zrozumienie jego słów.

– Jestem Tjamuaha i tu rządę, a wy tu nie mieszkać. Wy spać gdzie indziej. W biurze kolonialnym – odparł wódz Hererów.

– Nie, my tu zamieszkamy. Takie jest prawo. Znasz prawo, szympanse?! – wrzasnął François.

Kapitan zaczął powoli zsuwać z ramienia karabin, żeby rozprawić się z tym pewnym siebie gnojkiem, gdy nagle zastygł. Z okien willi, zza budynku stojącego kawałek dalej oraz zza wydmy usypanej przez wiatr z pustyni Namib wystawiło głowy kilkunastu strzelców, wyposażonych w brytyjskie strzelby. W tej sytuacji nie mieli szans. A nawet jeśli jakimś cudem pokonaliby celujących w nich Hererów, zapewne zaraz pojawiliby się inni, równie dobrze uzbrojeni. Gdyby François dysponował dwustoma albo trzystoma żołnierzami, zapewne nie zawahałby się i zastrzelił wodza Tjamuaha, ale w tej sytuacji musiał odpuścić.

Zgodnie z wytycznymi przywódcy plemienia kapitan pomaszerował wraz ze swoim oddziałem do Biura Kolonialnego, należącego do Brytyjczyków. Po drodze sarknął:

– Oni myślą, że są cwańsi i mądrzejsi od nas. Załatwimy ich inaczej. Tak, że sami przyjdą zebrać, abyśmy zamieszkali w willi i wzięli ich prymitywne plemię

pod opiekę. Może się nauczą czegoś więcej, aniżeli wtłoczył im do głowy jakiś misjonarzyna. Muszą zrozumieć, że nie mają wyjścia i powinni się podporządkować cywilizowanym białym przywódcom.

Joseph nie znał planów kapitana, ale wierzył w jego spryt. Czy się spodziewał, że przypląnął w to miejsce z okrutnym zbrodniarzem? Pewnie nie, chociaż sam nie miałby żadnych oporów, by traktować tutejszych wojowników jak każdego innego żołnierza wrogiej armii. Nie miał jednak poczucia, że powinno się masowo unicestwiać także starców, kobiety i dzieci.

Nazajutrz opuścili osadę i wyruszyli jakieś trzydzieści kilometrów w głąb lądu. W tym miejscu zaczynała się bezkresna i złowroga pustynia Namib. Wykorzystując wapienie, piach i łajno, zbudowali mały fort.

Mimo niesprzyjających warunków, bo trudno było porównywać ich fort do willi Göringa, Schneider pokochał to nieprzyjazne i dzikie miejsce. Z czasem przywykł, że piach jest wszędzie. Nie tylko w ich kwaterach, ale nawet w miejscach, gdzie była cywilizacja, a nadbrzeże znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Jednak wiatry nawiewały pustynny piasek, zasypując drogi, a nawet wejścia do domów. Joseph pomyślał, że to tak jak w Rzeszy, gdy nadchodzi sroga zima, tylko tutaj zamiast zamieci śnieżnych mieli piaskowe.

– I co dalej, kapitanie? – zapytał po trzech tygodniach ich pobytu jeden z żołnierzy, któremu chyba doskwierała nie tyle nuda, co jednostajna praca przy budowie fortu.

– Posłuchajcie, wybrałem to miejsce nieprzypadkowo. Wiem, że wy pewnie byście chcieli zamieszkać na wybrzeżu, ale tędy prowadzi jeden z najważniejszych szlaków handlowych. Zabawimy się w rozbójników. I wcześniej czy później Hererowie i ci drudzy, Nama, zechcą się z nami dogadać. Przy okazji zdobędziemy żywność i broń.

– A jeśli nie zechcą? – zapytał kolejny.

– Napiszemy do kanclerza i poprosimy o wsparcie, a gdy przybędzie odsiecz z Rzeszy, z Herero i Nama ocaleją tylko ci, którzy zechcą słuchać swoich białych panów – odparł wyniośle François. – W Kongo handlowałem takimi jak byłem.

Szkoda, że już nie można tego robić, zarobiłbym na jeszcze większą willę niż ta, która pozostała po nieudaczniku Göringu.

Schneider musiał przyznać, że kapitan jest człowiekiem nad wyraz przebiegłym, jednak mimo jego intryg, by poróżnić żyjące w tamtym rejonie plemiona, sprawił, że ci połączyli swoje siły, by przeciwstawić się niemieckim najeźdźcom. Ich dowódca nie złożył jednak broni, tylko wymusił na nowym kanclerzu, by ten przysłał mu wsparcie. Wkrótce na Czarny Łąd przybył nowy narybek.

Gdy prawie dwustu żołnierzy otoczyło osadę Hoornkrans, Joseph Schneider, który zdążył już awansować na porucznika, musiał przekazać swój oddział w ręce innego dowódcy. Leżał na pościeli, zmożony wysoką gorączką, i modlił się, żeby zaraza, która go dopadła, nie pozbawiła go życia. Okazało się, że nie była to malaria ani inna paskudna choroba, bo nazajutrz czuł się już znacznie lepiej. Wierzył, że za kilka dni powróci do służby.

O masakrze w Hoornkrans dowiedział się od swoich podkomendnych. Gdy wszyscy w osadzie jeszcze spali, dwustu żołnierzy niemieckich otworzyło ogień. Zdezorientowani mieszkańcy, w tym wiele kobiet i dzieci, wybiegli przed swoje *pontoki*^[2], a niedługo potem leżeli przed domostwami, zbroczeni krwią. Pozostał po nich jedynie tłący się w obozowisku ogień.

– Wystrzelaliśmy podobno z piętnaście tysięcy naboju – pochwalił się jeden z nich, gdy skończył opowiadać o perfekcyjnie wykonanej akcji.

– A ja dopadłem tego małego gnojka, syna wodza. I tak był wybrakowany, bo nie potrafił chodzić, tylko wił się jak żmija. Widziałem, jak czołga się w stronę nabrzeża. Podszedłem za nim, jakbym wybrał się na spacer, i gdy ten niewydarzony dzikus dotarł do oceanu, strzeliłem mu prosto w łeb.

Josepha zemdliło. Mimo że zdawał sobie sprawę, jakim okrutnym rasistą jest jego dowódca, nie sądził, iż będzie dokonywał rzezi niewiniątek. Pochwalił jednak swoich żołnierzy.

– Mamy coś dla porucznika – ze śmiechem poinformował jeden z podkomendnych.

– Wojenną zdobycz? Łuk i strzały? – zadrwił Schneider.

– Lepiej! Mamy niewolnice. A porucznik ma pierwszeństwo, by sobie wybrać najładniejszą.

– Dobrze, zaraz przyjdę i zobaczę – odparł sucho. – Idźcie już.

Jego żołnierze opuścili kwaterę, ale jeden z nich wciąż stał przy wejściu i miętosił w dłoni bandanę.

– Co jest, Kurt? – zapytał.

– Możemy chwilę porozmawiać, poruczniku? – Młodemu żołnierzowi drżał głos.

– Oczywiście, słucham cię – odparł Schneider.

– Czy to naprawdę było konieczne? Ta masakra? Zachowywaliśmy się jak barbarzyńcy... To nie był rozkaz porucznika, ale nie wiem, czy przypadkiem nie podadzą mnie do raportu... Tam była taka młoda dziewczyna, jedna z wielu. Uciekła w stronę zatoki, a Franz ją dopadł, przycisnął do skały i chciał roztrzaskać jej głowę. Ona... miała przerażenie w oczach i zebrała o litość. Odepchnąłem go, a jej nakazałem, by uciekła. – Żołnierz się jąkał i z trudem cedził słowa.

Joseph nie wiedział, czy chłopak bardziej czuł lęk przed konsekwencjami, czy był wstrząśnięty bezsensownymi i brutalnymi morderstwami.

– Następnym razem wykonuj rozkazy – burknął Joseph.

Mimo że on także był w szoku po tym, co zrobili żołnierze pod dowództwem François, nie mógł pokazać swojej słabości ani tym bardziej negocjować przy podwładnych rozkazów kapitana.

Po jakiejś godzinie wyszedł ze swojej kwatery i zobaczył kilkanaście wystraszonych dziewcząt z plemienia Herero, które postanowiono pozostawić przy życiu, by dogadzały niemieckim żołnierzom. Jedna z nich bardzo się wyróżniała. Po prostu była piękna. I wcale nie przeszkadzało mu, że jest dzikuską. Postanowił ją zatrzymać jedynie dla siebie. Nie tylko dlatego, iż pragnął ją posiadać, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli nie roztoczy nad nią opieki, codziennie będzie musiała obsługiwać gromadę spragnionych uciech żołnierzy. Podszedł do niej i zapytał:

– Jak na ciebie mówią?

– Kunene – wydukała.

– Jak ta rzeka?

Pokiwała głową.

– Chodź, Kunene, ze mną.

Skinął na nią dłoń, a ona posłusznie podreptała za nim. Najpewniej wolała zostać nałożnicą białego kolonizatora, niż skończyć jak inni mieszkańcy jej wioski.

*Berlin, 1947*

W piwnicznym pomieszczeniu, w którym po upadku Berlina zamieszkała Ann-Katrin, stały sprzęty znalezione w gruzowiskach i przywleczone do jej lokum. Nie starała się wybierać tylko takich, które przypadły jej do gustu, a tuż po zakończeniu wojny można było znaleźć wiele ciekawych okazów, dla niej najważniejsza była praktyczność i możliwość przetransportowania ich na własnych plecach. Łóżko było pojedyncze, drewniane i dość lekkie. Szafki niewielkie, z wyjmowanymi szufladami, a za łazienkę służył jej kącik z miednicą.

Niedaleko swojego domu, a może raczej tego, co z niego pozostało, zobaczyła w rumowisku duże lustro. Oprawa trzymała się nieźle, ale szklana tafla wypełniała ją tylko w połowie. Ucieszyła się ze znaleziska. Oparła swoją zdobycz o ścianę i przyglądała się swojemu odbiciu. Wyglądała kiepsko. Jeszcze kilka lat temu mężczyźni szaleli na punkcie jej seksownych krągłości i apetycznych piersi, dzisiaj była jedynie kupką kości, obleczoną w skórę. Nieco bardziej śniadą niż widywano w tej części Europy. Pomyślała, że gdyby nie Markus Stern, zapewne wylądowałyby w jakimś obozie albo została wyeliminowana ze społeczeństwa jako nieczysta rasowo. Nie zrobił tego jednak z dobroci serca, pewnego dnia musiała spłacić swój dług...

Sama o sobie mówiła niekiedy, że jest kundlem, ponieważ nie czuła się ani w pełni Niemką, ani Brytyjką. Jej światem była Afryka. Bywała w Europie, gdy jeszcze nikt nie spodziewał się hekatomb, która ogarnęła świat po trzydziestym dziewiątym. I zawsze czuła się tutaj obco. Doszła do wniosku, że kiedyś, gdy już minie zagrożenie, powróci do swoich korzeni. Może do Egiptu, może do innego kraju, ale któregoś dnia opuści to straszne miejsce, gdzie prawie przez cały czas było jej zimno. Może oprócz ostatnich dni, które należały do wyjątkowo gorących.

Została tutaj nie tylko dlatego, że w Kairze znało ją zbyt wiele osób i mogła trafić w ręce policji, a finalnie stanąć przed brytyjskim lub egipskim sądem, ale nic jej w Afryce nie trzymało. W tamtym mieście nie pozostał jej już nikt z rodziny. Straciła w ciągu ostatnich lat najbliższe swojemu sercu osoby – ojca, Adio Schneidera, i Latifę.

Adio oznaczało „sprawiedliwy” i taki właśnie był jej ojciec. Ożenił się z Brytyjką, od lat mieszkającą w tym rejonie świata, i nie zważał na animozje i napięcia, które wciąż były żywe po wielkiej wojnie. Dostała imię Ann-Katrin, co zapewne było pewnym kompromisem pomiędzy niemieckim ojcem i angielską matką. Niestety, swojej rodzicielki nie pamiętała, ponieważ ta zmarła, gdy dziewczynka miała niespełna cztery lata. Ojciec nigdy powtórnie się nie ożenił, ponieważ uznał, że żadna kobieta nie byłaby w stanie pokochać jego ukochanej córeczki tak jak rodzona matka. Wiedział, co mówi, bo sam żył pod jednym dachem z macochą, która nie okazywała mu żadnych ciepłych uczuć.

Ann-Katrin jako Karen Brener pracowała w dziale kryminalnym „Die Neue Zeitung”, którego siedziba znajdowała się w amerykańskiej strefie. Na początku była osobą w rodzaju „przynieś, wynieś, pozamiataj”, a po roku przeniesiono ją do działu miejskiego. Nie była żadną dziennikarką, po prostu siedziała w redakcji i opisywała przestępstwa kryminalne w Berlinie. To było naprawdę proste zadanie, bo wszelkie materiały otrzymywała od Jacoba Egera, szefa berlińskiej policji z ramienia władz okupacyjnych. Nie zamierzała wyważać otwartych drzwi i sprawdzać, czy Eger przekazuje jej wszystko, co powinien. Miała w nosie, o czym napisze. Grunt, że dostawała wypłatę i nie musiała pracować fizycznie.

W kwestii przestępstw w amerykańskiej strefie kontaktowała się z jakimś Thomasem Bauerem, ale ten był wyjątkowo powściągliwy i musiała pokątnie zdobywać informacje. Robiła to rzadko, bo nie zamierzała się przemęczać. Grunt, że Eger podawał jej wszystko na tacy. Od czasu do czasu wypuszczała się także do Sowietów, ale tam spotykała się jedynie z niechęcią i nikt nie zamierzał z nią rozmawiać. Zdawała sobie także sprawę, że gdyby chciała opisać wszystkie przestępstwa, do których dochodziło w Berlinie, musiałaby tymi informacjami zappełnić całą gazetę.

Nie lubiła Jacoba Egera. Był wyniosłym snobem, pozującym na luzaka. Podobno należał także do ludzi dość podłych i potrafił z byle powodu wpadać w furję. Dla Karen Brener był miły, chyba z racji jej nieco ciemniejszego koloru skóry.

Najpewniej doszedł do takiego samego wniosku co ona – gdyby miała mniej szczęścia, byłaby prześladowana przez poprzedni reżim, tak jak Żydzi.

Zebrała ciemne włosy w kucyk, posługując się gumką wyciętą ze starej dętki rowerowej, i jeszcze raz spojrzała w pęknięte lustro. Zmrużyła oczy i poprawiła o trzy rozmiary za dużą bluzkę, a potem mocniej ścięgnęła pasek w wojskowych spodniach, które za paczkę fajek odkupiła od byłego żołnierza. Wyglądała dokładnie tak jak większość mieszkańców Berlina, ale miała nadzieję, że pewnego dnia założy buty na obcasie albo rzemienne sandały i kolorową sukienkę w fantazyjne wzory. Na razie jednak pozostawało to w sferze jej marzeń.

Wzięła do ręki kromkę ciemnego chleba i posmarowała paskudną marmoladą. Posiliła się nią bez specjalnego apetytu, ale musiała coś jeść, żeby mieć siłę. Nie tyle do pracy, bo ta nie wymagała od niej fizycznego wysiłku, ale poruszała się po mieście piechotą. Jej redakcja znajdowała się w innej strefie, kawał drogi od jej lokum, i każdego dnia musiała przebyć kilkanaście kilometrów w obie strony. W Berlinie wciąż były problemy z zaopatrzeniem i jeśli miała co włożyć do ust, zjadała wszystko do ostatniego okruszka, ponieważ nie było pewne, czy następnego ranka zdoła cokolwiek zdobyć czy kupić. Niekiedy kolejki były tak długie, że na samą myśl o staniu w nich przestawała być głodna.

Karen Brener tego dnia postanowiła zacząć swoją pracę od wizyty w biurze Egera. Nadszedł poniedziałek, a ona musiała czymś zapełnić szpalnę.

– Mam mało czasu, panno Brener – powiedział kapryśnie Eger, gdy tylko weszła do jego pokoju.

Właściwie sekretarka mogłaby jej to powiedzieć. Tymczasem Jacob ją przyjął, ale chyba tylko po to, by uskarżać się na nawał zajęć.

– Jest coś nowego? – zapytała.

– Tak, ale to wstępna faza śledztwa. Odeślę panią do Erika Webera. On zajmuje się tą sprawą, ale bardzo bym prosił, żeby pani nie nalegała na informacje, które jeszcze nie mogą być publikowane – zastrzegł szybko.

– Co to za sprawa? – zadała kolejne pytania, puszczając mimo uszu jego wypowiedź, by nie nękała przydzielonego do sprawy komisarza.

– Morderstwo. Zapewne ten bydlak zasłużył sobie na śmierć, ale należy wszcząć śledztwo i tak dalej – odparł.

– Więc nie jest to sprawa kryminalna? – zapytała słodko.

– Oczywiście, że jest, i dołożymy wszelkich starań, by wykryć sprawcę tego ohydneho czynu – wygłosił formułkę, dając jej tym samym do zrozumienia, co ma się pojawić w gazecie. Oczywiście zaraz po jego nazwisku, wydrukowanym grubszą czcionką.

– Dziękuję, w takim razie udam się do tego Erika Webera – odparła.

Nawet nie poprosił, żeby usiadła, więc nie widziała powodu, aby spędzić w pokoju Egera więcej czasu.

Zapytała dyżurnego, gdzie znajdzie komisarza Webera. Chyba był tu nowy, bo nigdy wcześniej o nim nie słyszała.

Mężczyzna był dość wysoki, miał jasne włosy, a przez jeden z jego policzków przebiegała paskudna blizna. Z powodu tej szramy wyglądał bardziej jak rzezimieszek aniżeli policjant.

– Dzień dobry – powiedziała przymilnie. – Nazywam się Karen Brener i jestem z „Die Neue Zeitung”. Podobno mamy jakiegoś podejrzanego trupa.

Popatrzył na nią i powiedział chłodno:

– Czytam pani rubrykę, panno Brener. Owszem, mamy nieboszczyka, ale podejrzanego, niestety, nie.

Wyciągnęła z torby listonoszki, którą kupiła za dwa srebrne lichtarze, zeszyt i ołówek.

– Poproszę o nazwisko denata i wszystkie okoliczności zabójstwa – powiedziała.

Za każdym razem pracownicy komendy podawali jej wszystkie dane, które zdołali zgromadzić, a ona sporządzała notatkę, by dwie godziny później przepisać ją na maszynie Olivetti i oddać do redaktora.

– Proszę pani, do morderstwa doszło dzisiejszej nocy. Niewiele wiemy.

– Coś chyba jednak wiecie? – prychnęła niezadowolona.

– Tak, ale nie możemy podać tego do publicznej wiadomości – odrzekł. – Za kilka dni być może będę mógł coś więcej pani powiedzieć.

– W takim razie poproszę o nazwisko, adres i czy ten człowiek związany był z reżimem nazistowskim. – Ziewnęła.

Tej nocy prawie nie zmrużyła oka i marzyła o tym, by jak najprędzej odbębnić swoje zadania i wrócić na trzeszczące łóżko w piwnicy. Nie tylko po to, aby się

przespać, ale musiała się także zastanowić, czy powinna sama się czegoś dowiedzieć o Kleinie.

– Mężczyzna nazywał się Alfred Klein i był lekarzem w berlińskim szpitalu Charité. Do morderstwa doszło przy Pariser StraÙe.

– Numer budynku czy co tam z niego zostało?

– Nie ma potrzeby podawania dokładnego adresu. Dopóki nie zabezpieczymy wszystkich śladów, nie chcemy, by osoby postronne się tam kręciły.

Karen widziała, że Weber coraz bardziej się niecierpliwił.

– Naprawdę uważa pan, że wywoła to aż taką sensację? Chyba większą wzbudziłaby dostawa chleba – mruknęła.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Ale dobrze pani wie, jakie mamy ograniczone możliwości. Nie jestem w stanie wysłać tam ludzi, żeby pilnowali miejsca zbrodni dzień i noc.

Poczuła zawód. Jej notka miała mieć jedną linijkę. No, może dwie, jeśli wrzuci standardowy cytat z wypowiedzi Egera.

– A jeśli ja bym chciała tam się udać i zrobić z tego szerszy materiał? – Przestała być ironiczna i wpadła raczej w proszący ton.

– Nie teraz, pani Brener. Jest za wcześnie. – Weber upierał się przy swoim.

– Dobrze, więc niech mi pan podrzuci coś, o czym mogłabym napisać – westchnęła.

– Wczoraj okradziono magazyn UNRRA, proszę się udać do mojej koleżanki, Rity Lipszyc.

– Znam Ritę – burknęła.

– Rozumiem pani niezadowolenie, ale proszę o wyrozumiałość. Jesteśmy dopiero na początku śledztwa.

– Które za chwilę umorzycie z powodu niewykrycia sprawcy – westchnęła.

– Może tak się zdarzyć. Jak powiedziałem, mamy bardzo skromne zasoby. Zarówno ludzkie, jak i techniczne. – Gdy Erik Weber wypowiedział ostatnie zdanie, odniosła wrażenie, że chwilę potem komisarz rozplacze się z bezradności. Aż miała ochotę go pocieszyć.

– Mamy trudne czasy – bąknęła. – I musimy się wzajemnie wspierać, ale pan, jak widzę, nie jest skory do współpracy.

– Pani Brener, skończyłem i proszę wybaczyć, mam ważniejsze sprawy na głowie niż notka w waszej gazecie.

– Ale niech pan pomyśli... Jeśli podamy więcej danych, może zgłosi się jakiś świadek, który będzie mógł rzucić światło na to śledztwo.

– Wiem o tym, ale na to jest jeszcze za wcześnie. Jedyne, co zdołaliśmy ustalić, to prawdopodobna godzina zgonu. Do morderstwa doszło około północy, ale nie mamy jeszcze opinii patologa.

– To skąd wiecie, że to była północ?

– Mamy świadka, ale wciąż czekamy na pisemne potwierdzenie możliwych widełek czasowych dotyczących tego zgonu. Teraz będzie pani miała więcej tekstu...

– A czy świadek powiedział coś więcej? Widział sprawcę? – zapytała i przełknęła ślinę.

– Tak, prawdopodobnie była to kobieta. Jednak było kompletnie ciemno i jedynie błyskawica sprawiła, że zobaczyła cokolwiek. Trudno w takich warunkach zauważyć jakieś szczegóły. Dlatego mówię, że prawdopodobnie była to kobieta. Pewności jednak nie mam ani ja, ani świadek.

– O której widziała potencjalnego mordercę? – dopytywała, coraz bardziej zdenerwowana.

– Około drugiej – mruknął Weber i popatrzył na nią z wyrzutem. Zabierała mu cenny czas.

– W takim razie dziękuję, panie komisarzu. Dzisiaj dam panu spokój, ale tak łatwo się mnie pan nie pozbędzie. – Karen uśmiechnęła się sztucznie i udała do Rity Lipszyc, by ta mogła podać jej więcej szczegółów włamania do jednego z magazynów UNRRA.

Nie była zadowolona z wizyty w komendzie, ale miała chociaż materiał do swojej rubryki, którego dostarczyła jej Rita. Jeśli opíše wszystkie straty magazynu, wyrobi wierszówkę. Na razie musiało jej to wystarczyć.

Jednak pojawił się większy problem niż miały tekst, który wysmażyła. Zaniepokoiła ją sąsiadka doktora Kleina. Widziała ją, a nie mordercę. Ann-Katrin mogła mieć jedynie nadzieję, że kobieta naprawdę niczego istotnego nie zdążyła dostrzec i nikt do niej nie trafi.

*Berlin, 1947*

Po wyjściu bardzo namolnej dziennikarki Erik Weber usiłował zebrać do kupy wszystkie informacje, które zdołał uzyskać.

Kiedy przed szóstą rano podjechał przed kamienicę przy Pariser StraÙe, przed wejściem czekało na niego starsze małżeństwo. To właśnie oni powiadomili brytyjski patrol, że ich sąsiad został brutalnie zamordowany.

– Proszę wrócić do siebie – powiedział Erik. – Nie ma potrzeby, by państwo tu stali.

– Nie będziemy już do niczego potrzebni? – zapytał mężczyzna.

– Ależ będziecie państwo. Nie wiem, jak długo potrwałą czynności, więc nie potrafię powiedzieć, o której godzinie do was przyjdę, ale oczywiście będę musiał was przesłuchać, państwo... – odparł spokojnie.

– Kronenberg... – dokończyła za niego kobieta. – Podawaliśmy dane tym brytyjskim żołnierzom.

– Rzeczywiście. – Uśmiechnął się sztucznie i chciał na razie pożegnać państwa Kronenbergów, ale sąsiadka Kleina chyba miała ochotę sobie pogadać.

– To był taki porządny człowiek – westchnęła kobieta, gdy razem wchodzili na właściwe piętro.

– Znała go pani wcześniej? To znaczy przed wojną czy w czasie jej trwania? – zapytał.

– Nie, wprowadził się jakiś rok temu – odparła. – Spokojny, grzeczny, zawsze chętnie udzielał nam porad, i to za darmo. A mężowi nawet robił opatrunki, gdy ten miał takiego potwornego ropnia...

Zamierzała chyba powiedzieć coś więcej o swoim sąsiedzie, ale Erik już jej nie słuchał. Chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce zbrodni. Na razie nie miał nikogo do pomocy, a przecież nie był w stanie się rozdwoić.

Drzwi były otwarte na oścież, więc nie musiał się martwić, że na klamce zostawi swoje odciski palców. Mimo że na zewnątrz było już całkiem jasno, w mieszkaniu denata panował mrok. A to za sprawą zabitych deskami otworów okiennych, przez które przenikały jedynie wąskie smużki światła. Przekręcił włącznik, ale prądu nadal nie było. Zapalił więc latarkę, z którą prawie nigdy się nie rozstawał. Stwierdził, że gdy przyjedzie patolog, którego musiał ściągnąć ze strefy radzieckiej, ze szpitala w Moabicie, wyrwie kilka desek w oknie, bo i tak denatowi się już nie przydadzą.

Omiótł latarką przedpokój. Był pusty, jedynie pod ścianą stały mocno sfatygowane trzewiki, a na gwoździu powieszono szary prochowiec. Już chciał pójść dalej, gdy zobaczył krwawy odcisk czyjejś dłoni. Drobnej, jakby kobiecej. Zatrzymał się na chwilę i przyłożył do ściany swoją. Była zdecydowanie większa.

Przeszedł dalej, do niewielkiego pomieszczenia, które lokatorowi służyło jako salonik i kuchnia w jednym. Otomana była pocięta, a jej wypełnienie porozrzucał po pokoju. Podobnie było z ogromnym fotelem, który zajmował sporą część tego ciasnego pokoiku. Po zbombardowaniu Berlina widział wiele zdewastowanych mebli w miejscach zamieszkania berlińczyków, ale tego dzieła zniszczenia musiał dokonać morderca. Czegoś szukał. Pytanie tylko czego.

Miał już pewną hipotezę co do motywu zbrodni, chociaż nie zdołał jeszcze odnaleźć ofiary. Była najbardziej prawdopodobna – wielu nazistów ukrywało wywiezione z krajów okupowanych drogocenneści, być może i ów człowiek przytulił co nieco dla siebie. Może powinien się tymi zdobyczami podzielić ze współsprawcami szabru, ale postanowił zagarnąć wszystko dla siebie. Jego kompan czy może kompani zdenerwowali się i stwierdzili, że siłą odbiorą swoją część, a także tę, która należała do ofiary. Zapewne dopiero teraz odnaleźli swojego towarzysza i rozprawili się z nim bardzo brutalnie. Wersja Jacoba Egera, jakoby na doktorze dokonano zemsty za krzywdy doznane podczas wojny, właśnie upadła.

Udał się do niewielkiej sypialni, równie mrocznej co salonik. Zerknął na podłogę. Większość klepek parkietowych została wyrwana i porozrzucał po pokoju. Gdyby panowała sroga zima, mógłby pomyśleć, że mieszkaniec tego

lokum postanowił w ten sposób zdobyć opał, ale był początek czerwca, a pogoda – wyjątkowo upalna. We Frankfurcie odnotowano nawet rekord temperatury i wyniósł on trzydzieści pięć i pół stopnia. W Berlinie nieco mniej, ale i tak nie było czym oddychać. Nocna burza przeszła bokiem i nie przyniosła mieszkańcom miasta spodziewanej ulgi.

Podszedł bliżej i skierował strumień światła na zwłoki. Widok był dość przerażający, ale Erika mało co było w stanie zadziwić czy wywołać u niego torsje. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna został zastrzelony, jak również to, iż przed śmiercią został brutalnie pobity, a nawet był torturowany. To także potwierdzałoby wersję o rozliczeniach pomiędzy współnikami, którzy siłą chcieli zmusić Kleina do wyjawienia kryjówki ze zrabowanymi dobrami.

Wsunął na dłonie rękawiczki chirurgiczne, które pomógł mu zorganizować Connor, bo nawet z tym był problem. Nie zamierzał jednak zajmować się denatem, to zostawił patologowi, ale chciał się dowiedzieć czegoś więcej o martwym mężczyźnie i pomyszkować po jego pokoju. W sypialni oprócz zdewastowanej podłogi nie było żadnych innych śladów płądrowania.

Para, mieszkająca na tym samym piętrze co denat, powiedziała żołnierzom z patrolu, że zamordowany mężczyzna nazywał się Alfred Klein, ale Erik i tak będzie musiał sprawdzić, czy przypadkiem nie były to fałszywe dane. Mnóstwo prominentów, a także członkowie rozmaitych służb na potęgę organizowali sobie w powojennym bałaganie inne nazwiska, by uniknąć odpowiedzialności. To także pozwalało im na oczyszczenie się z jakichkolwiek zarzutów i podjęcie normalnej pracy. Osoby mocno powiązane z poprzednimi rządami mogły liczyć jedynie na zajęcie przy pracach budowlanych czy przy taśmie produkcyjnej w fabryce. Na początku bardzo przestrzegano, by żaden nazistowski aparatczyk nie otrzymał dobrej posady, ale wkrótce się okazało, że jeśli będą zbyt literalnie traktować swoje zarządzenia, nie będzie komu w tym kraju pracować w policji, sądach czy szkołach.

Nieopodal łóżka stała odrapana biała komoda z trzema szufladami, a po przeciwnej stronie – szafa gdańska z jednym skrzydłem drzwiowym. Zajrzał do niej. Na półkach leżało kilka sztuk bielizny, sfilcowany sweter, koszula w czerwonej kratę, a na najniższej półce wojskowe buty. Sprawdził, czy pomiędzy ubraniami ofiara niczego nie ukryła. Zrobił to właściwie bez większych nadziei, że coś odnajdzie. Cennych przedmiotów nie chowało się w tak oczywistych miejscach.

Przyjrzał się butom, wysokim oficerkom, i się zamyślił. Mimo mocno obitej twarzy Erik określił wiek ofiary na około pięćdziesiąt lat, zatem niewykluczone, że mężczyzna walczył na froncie i miał stopień oficerski. Niemniej jednak posiadanie takiego obuwia jeszcze o niczym nie świadczyło, ponieważ ów człowiek mógł je nabyć od handlarza, dokonać wymiany z kimś, ewentualnie zdjąć je ze stóp jakiegoś nieboszczyka, którego życia pozbawił wiatr historii i wojska alianckie.

Zajrzał do pierwszej szuflady białej komody. Wałało się w niej mnóstwo szpargałów, które nie pasowały do żyjącego samotnie mężczyzny, ale i one nie wzbudziły zdziwienia komisarza Webera. Srebrne ramki do zdjęć, fantastyczny nożyk do listów, gustowna mosiężna popielniczka czy pozłacana puderniczka mogły być jedynie środkiem płatniczym. Przeczesywanie gruzowisk, by znaleźć coś, co potem można było wymienić na jedzenie, alkohol czy papierosy, stanowiło część życia mieszkańców powojennego Berlina.

Na samym dniu Erik zobaczył mały notes w skórzanej okładce. Wziął go do ręki, ale ten nie był zapisany i najprawdopodobniej również należał do trofeów denata. Zauważył jednak, że pod okładkę ktoś wsunął zdjęcie. Wyciągnął je i omiół światłem. Na fotografii widniało czterech mężczyzn. Uśmiechali się do obiektywu. Jednym z nich był nie kto inny, ale feldmarszałek Erwin Rommel. Żołnierze mieli na sobie charakterystyczne bryczesy i wysokie buty nazywane *Tropische Schnürschuhe*. Zatem zdjęcie musiało pochodzić sprzed tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy wprowadzono zmiany w umundurowaniu Afrika Korps i wysokie sznurowane kamasze zastąpiono lekkimi trzewikami z płóciennymi ściągaczami, do których zakładano długie skarpety, gdy moskity nie dawały im spokoju. Grupka stała koło odkrytego gazika, a w tle widać było ciągnącą się aż po horyzont pustynię.

Z powodu zmasakrowanej twarzy denata nie mógł stwierdzić z całą pewnością, że jednym z mężczyzn, którzy widnieli na fotografii, był Alfred Klein. Jeśli tak, sprawa oficerskich butów, które znalazł w szafie, przestałaby mieć znaczenie, ponieważ nie przypominały one *Tropische Schnürschuhe*.

W pozostałych szufladach znalazł dokument tożsamości wystawiony przez aliantów oraz stare przepustki, zezwalające na poruszanie się po godzinie policyjnej między strefami okupacyjnymi Berlina. Zamknął szuflady i skierował światło na blat komody. Gruby czarny włos od razu rzucił mu się w oczy. Jego długość świadczyła o tym, że musiał należeć do kobiety. Nie spodziewał się, aby

jakakolwiek niewiasta mogła tak brutalnie poturbować tak rosnącego chłopca jak Klein. A zatem włos mógł należeć do kochanki doktora, która odwiedziła go kilka nocy wcześniej, albo morderca miał współniczkę. On obstawiał tę drugą opcję, ponieważ odcisk dłoni na ścianie w przedpokoju także bardziej pasował do kobiety. Ewentualnie do młodego mężczyzny. Intuicja, a może raczej zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że również mały facecik nie dałby rady tak mocno wymierzyć ciosów, by z twarzy Kleina zrobić krwawą miazgę.

Zaczął się zastanawiać, czy krzyki albo jęki, a przede wszystkim odgłosy wyrzucanych z szafek przedmiotów mogły być słyszane u sąsiadów, ale na razie nie był w stanie tego sprawdzić. Jednak odgłosy strzałów z broni palnej w pomieszczeniu, w którym nie było szyb, na pewno poniosły się po okolicy, a nie tylko po prawie opustoszałej kamienicy, więc będzie musiał przysłuchać nie tylko państwa Kronenbergów, ale także innych mieszkańców ulicy Pariser Straße.

– Komisarz Weber? – Usłyszał za plecami głos młodego człowieka, który niedawno został zatrudniony jako technik kryminalny.

– Tak, dobrze, że już jesteś.

– Mam na imię Johann. Jestem nowy, ale pracowałem już w tym zawodzie. – Chłopak od razu to zaznaczył, bo obecnie pewne rzeczy nie były takie oczywiste jak niegdyś.

– Wiem. – Erik się uśmiechnął. – Czytałem twoje papiery.

– Odkrył pan coś ciekawego? – zapytał Johann.

– Tak. – Weber podał mu fotografię. – Może uda ci się ściągnąć ze zdjęcia odciski.

– Na takim papierze odbijają się idealnie, gorzej z materiałem porównawczym – westchnął mężczyzna.

– Zaraz przyjedzie patolog, ale chciałbym, żebyś także zabezpieczył z blatu komody damski włos i zrobił zdjęcie tej odcisniętej dłoni ze ściany w przedpokoju.

– A skąd pan wie, że to damski? Czyżby tleniona blondynka? – śmiejąc się, zapytał Johann.

– Jest bardzo długi. I bardzo ciemny. Mogę się mylić, ale postawiłbym całą wypłatę, że należy do kobiety. Gdyby jakiś mężczyzna w Berlinie nosił takie włosy, wołaliby na niego Jezus i zrobiłby furorę w całym mieście.

– Dobrze, zajmę się tym.

– To zostawiam cię samego, patolog i samochód do zabrania zwłok powinien tu być w ciągu godziny, może dwóch. Będziesz sam buszował i nikt nie będzie ci przeszkadzał. Ale zanim wyjdę, spróbujemy usunąć deski z okien.

– Sam to zrobię, proszę się mną nie przejmować.

– W takim razie przejdę się do sąsiadów, którzy zgłosili morderstwo brytyjskiemu patrolowi. I wiesz co? Wziąłbym to zdjęcie, może rozpoznają na nim denata. Obiecuję, będę uważał i nie pozwolę państwu Kronenbergom go dotknąć – odparł, a potem dodał: – Posłuchaj, chciałbym, żebyś za jakieś dwie minuty krzyknął, ile masz pary w piersiach.

– Chce komisarz sprawdzić, czy sąsiedzi mogli słyszeć krzyki denata? Albo jakiś rumor?

Skinął głową.

– Musiał ostro oberwać i nie bardzo wierzę, że znosił to cierpliwie i w milczeniu. Myślę, iż odgłos strzałów musiał do nich dotrzeć, ale nie jestem pewny co do reszty. Kronenbergowie mieszkają w drugim końcu korytarza.

Johann podał mu szarą kopertę.

– Potem proszę wrzucić tutaj zdjęcie. Jak zdejmę odciski, spróbuję znaleźć jakiś zakład, który by powiększył ten odcisk dłoni ze ściany do skali 1:1. To będzie jak pantofelek Kopciuszka.

– Dziękuję. – Erik się uśmiechnął i ruszył w stronę wyjścia.

Opuścił mieszkanie doktora i przeszedł dość długim holem do lokalu zajmowanego przez małżeństwo Kronenbergów. Gdy tylko gospodarz zamknął za nim drzwi, dotarł do niego stłumiony krzyk Johanna.

– Słyszał pan? – zagadnął mężczyznę, który wpuścił go do mieszkania.

– Co miałem słyszeć? – zdziwił się Kronenberg. Być może był lekko przygłuchy z powodu swojego wieku, a może spotkało go to, co wielu mieszkańców bombardowanych miast. Huk bomb często osłabiał słuch.

Zapytał o to samo siedzącą w pokoju staruszkę, ale ona także twierdziła, że nic nie słyszała.

Kiedy tylko usiedli na kanapie, kobieta znowu rozpoczęła swoje peany na cześć doktora Kleina. Musiał przerwać na razie te wywody i podsunął jej pod nos zdjęcie czterech mężczyzn. Założyła okulary i chciała wziąć fotografię, by lepiej się jej przyjrzeć, ale Weber nie mógł na to pozwolić.

– Wydaje mi się, że to jest pan doktor. Ten, który stoi po lewej stronie feldmarszałka. Bo to feldmarszałek, prawda? Kiedyś jego zdjęcia często pojawiały się w gazetach.

– Rozumiem... Ale jest pani pewna czy bardziej się pani wydaje?

– Postura podobna, z doktora był kawał chłopca. I ten uśmiech... Tak, jestem prawie pewna, że to on.

A zatem wiedział już, że doktor służył w Afrika Korps. Być może zapewniał opiekę zdrowotną samemu Rommlowi, ponieważ z naramienników na mundurze wynikało, że miał stopień majora. A zatem był fiszą. Alianci uznali, iż żołnierze tej formacji nie mają na sumieniu cywili, więc mogli normalnie funkcjonować w nowym społeczeństwie niemieckim i pewnie dlatego Klein mógł bez przeszkód praktykować w szpitalu.

– Proszę mi wszystko po kolei opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w nocy – powiedział i dodał, widząc, że mężczyzna z trudem panuje nad ziewaniem: – Obiecuję, to nie potrwa długo i będziecie mogli odpocząć.

– Obudziłam się w nocy, bo mi się śniło, że ktoś strzela. Nie wiedziałam wówczas, że to wcale nie był koszmar. A wiem pan, po tym, co się tu stało, cały czas mi się śnią jakieś okropne rzeczy. Poleżałam kilka minut i ponownie zasnęłam. Nawet spojrzałam na zegarek. Dochodziła północ.

– Pamięta pani, ile strzałów się pani śniło? – zapytał bez większej nadziei.

– Nie wiem, kilka. Może pięć...

Zanotował tę informację, bo zapewne to wcale nie był sen. Kobieta zaczęła opowiadać ze szczegółami swój koszmar, lecz nie miał pojęcia, do czego mogłyby mu się przydać mary senne sąsiadki doktora.

– I co było dalej? – dopytywał.

– Udało mi się zasnąć, a może raczej zdrzemnąć, bo taka byłam jakaś wystraszona. Obudziłam się znowu koło drugiej, tak sama z siebie. Było mi duszno i poczułam pragnienie. Wie pan, ta pogoda jest okropna... Może także z powodu upału tak mi się ciężko spało tej nocy. Poszłam do kuchni, żeby napić się wody. I tylko dlatego, że znalazłam się bardzo blisko drzwi wejściowych, usłyszałam skrzypnięcie. Drzwi Kleina były wypaczone i strasznie piszczwały, bo obcierały o posadzkę w holu. Otworzyłam swoje, by sprawdzić, czy to doktor gdzieś wychodzi, i nawet się przywitałam, ale nikt mi nie odpowiedział. Potem

usłyszałam, że ktoś zbiegał po schodach. Było ciemno, nic nie widziałam. Podeszłam do okna, bo latem nie zabijamy go całkiem, żeby był przewiew, i wtedy pojawiła się błyskawica. Oświetliła ulicę i zdążyłam zobaczyć drobną postać. Szła szybko, ale nie biegła, i jakoś tak kręciła biodrami, dlatego wydaje mi się, że to była kobieta. Potem znowu zrobiło się całkiem czarno.

A zatem jego teoria, że w mieszkaniu Kleina przebywała kobieta, była jak najbardziej słuszna, a długi, ciemny włos nie należał do jakiejś kochanki, odwiedzającej doktora poprzedniej czy jeszcze wcześniejszej nocy.

– Nikogo więcej pani nie widziała? – dopytywał, bo mimo obecności w nocy jakiejś kobiety, wciąż uważał, że ta nie dałaby rady sama okaleczyć i pobić rosnącego majora Afrika Korps.

– Nie, poszłam obudzić męża i wyszliśmy na klatkę schodową. Poświeciliśmy latarką i zauważyliśmy, że drzwi do mieszkania pana Kleina są uchylone. Chcieliśmy powiedzieć o tym doktorowi. To niespokojne czasy, wszędzie grasują jacyś rabusie, więc otwarte drzwi mogłyby stać się dla nich zachętą. Widzieliśmy go około dwudziestej pierwszej, wracał z dyżuru w Charité, więc uznaliśmy, że powinien być w domu. Osoba, którą zdążyłam zobaczyć, na pewno nie była panem Kleinem. Pod drzwiami nawoływaliśmy, w końcu jeśli miał gościa, nie powinien spać, ale gdy doktor się nie pojawił ani nie odpowiedział, mąż wszedł do środka. Ja się bałam... Usłyszałam po chwili jego przestraszony głos, że doktora ktoś zamordował. Wyszliśmy na ulicę i udaliśmy się do miejsca, gdzie zawsze widywaliśmy patrole. Stało takich dwóch młodych żołnierzy, to im powiedzieliśmy, co się stało.

– Czy nikt z lokatorów nie usłyszał waszego nawoływania?

– Tu nikt więcej nie mieszka. – Pani Kronenberg machnęła ręką. – Na parterze, od podwórza, brakuje fragmentu ściany, nad nami piętro nie ma dachu, a trzecie w ogóle zniknęło. Boimy się, czy przypadkiem się ta kamienica w końcu nie zawali. Po wejściu aliantów byli tu tacy jedni, wynieśli bombę z parteru i orzekli, że nic się nie stanie, ale wiadomo to? Mieszkamy w tym domu od trzydziestu lat, nie chcemy się wyprowadzać i tak żyjemy tutaj jak na beczce prochu. – Kobieta się zafrasowała, ale nie tylko ci ludzie mieszkali w warunkach urągających wszelkim zasadom bezpieczeństwa.

– Rozumiem... – Weber właśnie się dowiedział, dlaczego nikt inny nie zainteresował się nocnymi hałasami w budynku.

Jednak zaczął mieć wątpliwości co do słuchu pani Kronenberg. Usłyszała skrzypnięcie drzwi, co było prawdopodobne, ale nie usłyszała krzyków Johanna, a więc i doktora Kleina? Może nie chciała się przyznać, że tej nocy coś jeszcze dotarło do jej uszu, ponieważ się obawiała, że ktoś mógłby jej zarzucić bierność?

– Pani Kronenberg, jeśli coś pani słyszała, ale boi się przyznać... To ważne – powiedział łagodnie.

– Kiedy mówię panu komisarzowi, że żadnych krzyków ani jęków nie słyszałam – upierała się kobieta.

– Przepraszam, że nalegam, ale być może niektóre głosy należały do sprawcy bądź sprawców. Moglibyśmy wówczas ustalić, czy był sam, czy powinniśmy raczej szukać całej szajki.

– Lepiej odnajdźcie tę kobietę – syknęła pani Kronenberg, poirytowana dociekliwością komisarza.

Pomyślał, iż nie będzie jej już o to nękał, bo kobieta za nic w świecie się nie przyzna, że ze strachu nie pomogła zacnemu i uczynnemu sąsiadowi.

Popytał jeszcze okolicznych mieszkańców, czy słyszeli strzały. Owszem, kilka osób nawet się obudziło, ale nie przejęli się nimi zbyt. Uznali, że to burza w końcu postanowiła dać o sobie znać. Pozostało mu więc jedynie sprawdzić, czy w aktach wszystkich przedstawicieli stref okupacyjnych widnieją jakieś dokładniejsze informacje o doktorze Kleinie. Potem porozmawia z personelem szpitala. Na odchodne zapytał:

– Czy doktora ktoś odwiedzał? Może ktoś z rodziny? Bardzo byście mi państwo pomogli, w końcu dobrze byłoby powiadomić bliskich ofiary.

– Nie pętała się tu żadna kobieta. Doktor dużo pracował, właściwie to rzadko bywał w domu, chyba mu nawet nie w głowie były panny. Nie mówił także zbyt dużo o sobie. Ani o rodzinie. Wie pan, to delikatny temat. Wiele osób straciło bliskich... Jedni sami opowiadają o swoich tragediach, inni wolą milczeć.

Niewiele się dowiedział o zmarłym od sąsiadów. Spodziewał się, że doktor i w swoim miejscu pracy był małomówny. Ludzie wciąż kogoś szukali, ale może Erikowi uda się to zrobić znacznie skuteczniej aniżeli Kleinowi. Niestety, jeśli odszuka kogoś z rodziny, tym razem nie zobaczy w ich oczach łez radości, ale rozpacz.



Berlin, 1947/Palestyna, 1914

Ojciec Connora Evansa najbardziej był dumny z tytułu szlacheckiego, otrzymanego z rąk króla Jerzego V. Gdy wielka wojna dobiegła końca, imperium osmańskie, Niemcy i Austro-Węgry przyjęły warunki rozejmu, a imperium brytyjskie triumfowało. Był to taki czas, gdy król szafował tytułami szlacheckimi na prawo i lewo. Dzięki temu jego ojciec stał się sir Thomasem Evansem. Connor nigdy jednak nie mówił tego przy ojcu. Wolał, aby ten uważał się kogoś wyjątkowego, a podobny zaszczyt spotkał tylko nielicznych.

Słyszał historię wręczenia tytułu wiele razy i za każdym razem Thomas Evans miał łzy w oczach, gdy opowiadał o ceremonii w pałacu Buckingham. Gala odbywała się w sali balowej, w której postawiono kilkanaście klęczników dla przyszłych szlachciców. Zaraz potem w otoczeniu rozmaitych dygnitarzy i dworzan w uroczystych strojach przybył król Jerzy z małżonką. Para królewska zajęła miejsce na podwyższeniu, a obok stał lord szambelan. Trzymał atlasową poduszkę, na której leżały ordery. Ojciec przyklęknął, a wtedy jeden z urzędników przewiązał go szarfą. Wygłoszono formułkę, dotyczącą przyznania odznaczenia, a król dotknął jego ramienia mieczem. Po ślubowaniu Thomas został Rycerzem Komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego.

Oczywiście, ojciec Connora miał swoje zasługi i każdemu, kto chciał go słuchać, opowiadał o swoich sukcesach, a także o współpracy ze słynnym Thomasem Edwardem Lawrence'em. Czuł dumę nawet z tego, że nosi to samo imię. Niekiedy zyskiwał wrogów tym poklaskiem dla Lawrence'a z Arabii, jak go nazywano, ponieważ był on człowiekiem tyleż genialnym, co mocno kontrowersyjnym. Tata Connora jednak ani słowem nie wspominał, że jego guru zlekceważył króla Jerzego i ostentacyjnie zrezygnował z tytułu szlacheckiego. Po prostu wyszedł

z sali, w której odbywała się ceremonia, mimo że ta została przygotowana tylko dla niego i miała się odbyć z jeszcze większą pompą niż zazwyczaj.

Thomas Evans przyплыł z Wielkiej Brytanii i dołączył do ekipy Lawrence'a na samym początku tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Niedługo potem odkrył, że tamten region nafaszerowany jest szpiclami z różnych stron świata, którzy, wykorzystując słabość imperium osmańskiego, starali się ugrać coś dla siebie.

Pewnego dnia przekonał się także, czym jest *chamsin*, czyli burza piaskowa, o której często mu opowiadano. Odkąd przeżył ją pośrodku pustyni, przestrzegał przed nią każdego, kto po raz pierwszy postawił nogę w Palestynie czy Egipcie. Początek *chamsin* przypominał normalną burzę. Zrywał się gwałtowny wiatr, spadało ciśnienie, ale zamiast deszczu wszędzie fruwały drobiny piasku. Wnikały w nozdrza, dostawały się pod ubranie, a człowiek nie miał jak złapać tchu. Widoczność spadała do jednego metra i można było się poczuć kompletnie zdezorientowanym.

– Zginiemy! – krzyknął do dwóch swoich towarzyszy, rozpaczliwie próbując zasłonić twarz bandaną. Naprawdę sądził, że są to jego ostatnie minuty na ziemskim padole.

– Do Beer Szewy już blisko, damy radę – odparł jego kompan i człowiek, który potem stał się sławny na niemal całym świecie, T.E. Lawrence.

Wydawało się mu, że idą na oślep i za chwilę znajdą się zupełnie gdzie indziej, niż planowali. Zanim aura gwałtownie się zmieniła, widzieli z oddali niewielką osadę, do której nakazano im się udać. Teraz trudno było mu dostrzec idących obok kompanów. Evans zaczął wpadać w panikę i złorzeczyć tym, którzy ich tam skierowali.

– A właściwie po co nas tu wysłali? Przecież to wioska zapomniana przez Boga i ludzi. – Thomas z trudem wypowiadał słowa.

– Musimy się zająć amerykańską ekspedycją, która przyjechała, by zbadać jakieś artefakty w Jerozolimie.

– I po to wysłano ludzi, którzy zajmują się wywiadem?

– Człowieku, zamknij się, bo połkniesz z kilogram piasku! – zirytował się w końcu Lawrence.

Ojciec Connora zamilknął i zaczął stawiać kolejne kroki. Wydawało się mu, że wioska była fatamorganą, a oni idą bez celu. Przecież znajdowała się tak blisko, a można było odnieść wrażenie, że pokonali już szmat drogi. Silny wiatr sprawiał, że poruszali się z trudem, a właściwie prawie dreptali w miejscu. I kiedy już zaczął się żegnać ze światem, o mały włos nie wszedłby na ścianę jakiegoś domostwa. W końcu dotarli do osady.

Zadekowali się w jednej z chałup i mimo że piach wdzierał się nawet do wnętrza, przynajmniej mogli swobodnie oddychać.

– To może teraz się dowiem... – zaczął Evans, wypluwając piasek. I tak było to bezcelowe, ale każdy odruchowo to robił, mając nadzieję, że drobiny przestaną chrzęścić im w ustach.

– Uważam, że ta cała ekspedycja to zwykli szpiedzy, a nie naukowcy. Musimy ich mieć na oku.

To zmieniało postać rzeczy, aczkolwiek Evans nie miał pojęcia, jakim cudem Lawrence ich tak szybko rozszyfrował.

Burza nieco zelżała, ale po amerykańskiej ekipie nie było śladu.

– Pewnie rozbili obóz kilka kilometrów stąd, bo złapał ich *chamsin*. Wyślę kogoś na zwiady, a potem pójdziemy wynająć wielbłądy. Jeśli się nie pomyliłem, co jest niemal pewne, złożymy wizytę kolegom naukowcom – odparł Lawrence. Jak zwykle był pewny siebie.

– No właśnie, co ekspedycja po Ziemi Świętej robi na syryjskiej pustyni? – zdziwił się Thomas.

– Otóż to. Widać, że jesteś nowicjuszem. Większość ekspedycji do Ziemi Świętej czy Egiptu to szpicle. Niemcy, Turcy, Amerykanie, Żydów też jest pełno... – Lawrence uniósł palec.

– Masz pomysł, jak szybko odkryć ich prawdziwe intencje? – dopytywał.

– To proste, będziemy udawali, że im wierzymy. A potem zaoferujemy daleko idącą pomoc, to znaczy nasze towarzystwo. Nie będą mogli odmówić.

Rzeczywiście Lawrence zarzucił młodych mężczyzn gradem pytań, na które odpowiadali w taki sposób, jakby się ich spodziewali i nauczyli się swoich kwestii na pamięć.

Evans dostał rozkaz, by nie odstępować Amerykanów na krok. Łaził za nimi przez cały czas i chyba znudziła się im już konspiracja, bo w końcu Thomas odkrył,

kim byli. Okazało się, że ci panowie w idealnie dobranych do gorącego klimatu strojach i z nieodzownym sprzętem do eksploracji nieznanymi artefaktów z rzekomej Fundacji na rzecz Badania Palestyny to pracownicy Standard Oil Company of New York, którzy w Ziemi Świątej szukali po prostu ropy.

Podobna historia dotyczyła pewnego niemieckiego dyplomaty, który okazał się szpiegiem i został wydalony z Kairu. Człowiek był niesamowicie uparty, bo ciągle wracał. Sprawdzał, czy Druga Rzesza mogłaby jeszcze coś z kolonialnego tortu uszczknąć, i Evans miał z nim prawdziwy krzyż pański. Kilka lat wcześniej zaś jego koledzy zatrzymali rumuńskiego Żyda, który działał w ruchu syjonistycznym i próbował ustalić możliwość osiedlenia się na Ziemi Świątej jego braci w wierze. Nie chodziło o kwestie wywiadowcze, ale o zbadanie tutejszej gleby, więc dali mu spokój.

Thomas chłonał wiedzę jak gąbkę. Oczywiście tę bardziej praktyczną. Wojna wisiała w powietrzu i każdy czekał na ruch Turków. Imperium osmańskie nie było wiodącym graczem, a wręcz coraz mniej się liczyło na arenie międzynarodowej, ale to od nich zależało, jak potoczą się losy ewentualnej wojny w Arabii. Evans miał przez cały czas ręce pełne roboty.

Po wielu latach przekazał swoją wiedzę jednemu synowi, Connorowi. Nawet nie brał pod uwagę, że jego pierworodny mógłby wybrać inną drogę życiową. W pewnym momencie nawet Connor nie był w stanie sobie tego wyobrazić. Jego matka mówiła, że swoim wyjazdem do Berlina zadaje sobie pokutę. Może coś w tym było, ponieważ nie potrafił sobie darować tego błędu.

Ojciec był świetnym pracownikiem wywiadu, ale w małżeństwie nie szło mu już tak świetnie. Pewnie dlatego, że rzadko bywał w domu. Z dala od czujnego spojrzenia żony Thomas dobrze się bawił. Poznał nawet pewną pięknooką Palestynkę i wdał się z nią w romans.

Connor był jeszcze kajtkiem, gdy przyszedł list od ojca. Nie był to ewenement, ale różnił się nieco od pozostałych. Właściwie młody Evans nawet nie pamiętał tej sytuacji i dopiero gdy stał się dorosły, matka mu o niej opowiedziała. W tym właśnie liście ojciec przyznał się do romansu i napisał, że odchodzi. Nie sądził, by

matka go okłamała, by usprawiedliwić swoją zdradę, ale jedno było pewne – ta korespondencja wszystko zmieniła i przewróciła ich życie do góry nogami.

Jego matka, Allison, wpadła wtedy w szal. Zapakowała małego Connora do wózka i udała się wprost do swojego teścia. Człowieka niezwykle pobożnego i surowego. Jeśli ktokolwiek był w stanie przemówić do rozsądku Thomasowi, to tylko jego ojciec. Connor na samo wspomnienie o dziadku czuł strach, więc rozumiał respekt, którym darzył go Thomas.

Kilka miesięcy później ojciec sprowadził ich do Palestyny, ponieważ nestor rodu po rozmowie ze swoją wzburzoną synową spakował kufer okrętowy i wyruszył do syna, by ustawić go do pionu. Od tamtej chwili podobno ojcu nawet nie przyszło do głowy, by wdać się w jakikolwiek romans. Mimo że się ustatkował, pewnego dnia matka Connora odplaciła małżonkowi pięknym za nadobne...

Sir Thomas Evans zginął tuż po wybuchu wojny w trzydziestym dziewiątym. Allison rok później wyszła za swojego egipskiego kochanka. Biznesmena, który dorabiał się albo na ludzkiej naiwności, albo na krzywdzie innych. Connor nigdy go nie lubił.

*Berlin, 1947*

Młody Evans, gdy już wiele osiągnął w MI6, zaczął się uważać, podobnie jak jego ojciec, za nieomylnego. Liczne sukcesy w tym fachu sprawiły, iż trochę poprzewracało mu się w głowie. Był tak pewny siebie, że niektórzy uznawali to za przejaw zarozumiałości. Mówili, iż szedł po trupach do celu, ale był skuteczny, więc przymykano oko na jego niestandardowe i kontrowersyjne metody działania.

Pokory nabrał, gdy wywiodła go w pole kobieta. Może gdyby była świetnie wyszkolona, darowałaby sobie wyrzuty, że to on pokpił sprawę. Ann-Katrin Schneider zdawała się zwykłą młodą kobietą, która szukała miłości, a przez przypadek wplątała się w paskudną aferę. Jakże się pomylił. Toczyła swoją grę i miała w nosie, po której stronie się opowie. Czuła się po trosze Niemką, trochę Brytyjką, a nawet Egipcjanką. Mawiała, że jest panią świata. Oczywiście, niby to był żart, ale teraz nabrał zupełnie innego znaczenia. Bo Ann-Katrin przez pewien czas faktycznie była panią świata. Jego świata. A teraz być może należała do tego, który stworzył jej Markus Stern. Najgorsze było to, że powinien po pierwszym jej kłamstwie śledzić każdy krok panny Schneider, a on dał jej szansę i postanowił zaufać.

Prawdziwego przyjaciela Connor znalazł dopiero wtedy, gdy wstąpił do służby. A był nim William Irving, przeciwieństwo typowego Brytola. Bardziej przypominał amerykańskiego kowboja i chyba za to Connor polubił go najbardziej. Nosił niesforną grzywkę, czego nie można było zobaczyć u brytyjskich żołnierzy, miał mocno zarysowaną szczękę i uśmiech prosto z Hollywood. Jedynie jego oczy, dość małe i w kolorze nieba nad Arabią, wydawały się zimne i trudno było z nich cokolwiek wyczytać. Pod tym względem był przeciwieństwem Connora. Gdy ktoś lepiej poznał Evansa, wystarczyło spojrzenie, by ludzie zaczęli mu ufać albo się

go bać. William patrzył na świat zawsze tak samo. Obaj robili furorę wśród kobiet i korzystali z tego. Connorowi nigdy nie przyszłoby do głowy, aby któraś z nich nim zawładnęła i sprawiła, że nie spałby przez nią po nocach albo upijał się z tęsknoty.

Pamiętał dokładnie, w którym momencie zaczął powoli się staczać po równi pochyłej. Tamtego dnia jednak jeszcze o tym nie wiedział, ponieważ nie miał pojęcia, że informacje, które przekazuje mu Irving, dotyczą Ann-Katrin Schneider. Kobiety, z którą tak pokpił sprawę. Gdyby od samego początku wziął ją na celownik, to on stałby się bohaterem, który namierzył niemieckiego szpiega. Tymczasem gdy po raz pierwszy zobaczył Ann-Katrin, coś niedobrego stało się z jego intuicją. Po prostu się pomylił i popełnił błąd. A może myślał wtedy nie głową, ale tym, co nosił w spodniach.

William powiedział mu wówczas:

– Nasi chłopcy zlokalizowali nadajnik. To najpewniej jest nasz ptaszek, który się nam wymknął w Alladynie.

– To na co czekamy? – zdziwił się Connor.

Wcześniej udało mu się wyeliminować Epplera i nie czuł zazdrości, że tym razem szpiega Rommla zlokalizował jego przyjaciel, nawet jeśli była to kwestia przypadku, a nie umiejętności.

– Mam pewien pomysł... Ten człowiek mieszka z taką jedną kurewką. Może przejrzałaby notatki swojego kochasia i doprowadziła nas do źródła przecieku.

– Egipcjanka?

– Gdzie tam. – William machnął ręką. – Niemka. Właściwie w połowie. Ale piękna cizia.

– I od razu mu wyśpiewa, że chcemy ją przekabacić – prychnął Evans.

– Mam plan, co zrobić, żeby zaczęła nam jeść z ręki. I ty mi w tym pomożesz. – Uśmiechnął się.

– Sypiasz z nią? – zapytał Connor.

– Nie, ale miałbym na to ogromną ochotę, dlatego ty ją zaszantażujesz. Jesteś większym twardzielem. Nawet jeśli się z nią prześpisz, nie przewróci ci w głowie, a mnie by mogła, zatem ty będziesz złym policjantem. – Roześmiał się.

Connora zdziwiły słowa przyjaciela, bo ten traktował kobiety z jeszcze większą lekkością niż Evans. Ale rzeczywiście nie był w stanie być wobec nich

wystarczająco stanowczy. Jeśli jakaś babeczka mu się spodobała, odgrywał rolę dżentelmena. Connor chciał jedynie osiągnąć cel i nie zależało mu na tym, co pomyśli o nim druga strona. Pewnie dlatego, gdy w grę wchodziła płeć piękna, on zawsze miał być tym gorszym.

– Jasne, mogę to zrobić. Wmówię jej, iż odpowie za szpiegostwo, a gość w dodatku ma na sumieniu kilka ofiar i zostanie czapę, ona zaś razem z nim. Beknie za współudział. Nie znam takiej, która by w podobnej sytuacji nie zmiękła. Nawet wielka miłość ma swoje granice. A jeśli jest zwykłą dziwką, tym łatwiej mi pójdzie, bo w ostateczności będzie można ją przekupić – odparł z ironicznym uśmiechem.

– Obiecuję, że gdy przyjdzie pora, ty go zgarniesz.

– A dlaczego nie ty? – zdziwił się Connor. – Przecież to ty go namierzyłeś i będziesz prowadził jego kochankę. Ja tylko pomogę ci ją przekonać, że współpraca z tobą po prostu będzie jej się bardziej opłacała.

– Bo ja będę wtedy odbierał pierdolony medal za zasługi dla imperium brytyjskiego. – Irving się zaśmiał.

Oczywiście żartował, ale finalnie było dokładnie tak, jak powiedział. Może z tą tylko różnicą, że William nie popłynął po medal, ale został odesłany na kilka dni do Jerozolimy. Wiedział, że przyjaciel chciał przeprowadzić wszystko od początku do końca, jedynie z jego niewielką pomocą, ale zapewne się nie spodziewał, że w tym czasie ptaszek wymknie mu się z rąk. I to przez Connora.

Irving nie przejął się zbyt, że nie dorwali Sterna, bo szala mocno przechylała się na stronę aliantów i nic nie wskazywało na to, by niemiecka armia mogła jeszcze zmienić bieg wydarzeń. Stwierdził, że to już nie ma tak dużego znaczenia i dopadną szpiega i mordercę, gdy skończy się ta cholerna wojna.

Dla Connora była to katastrofa. Osobista porażka i największe rozczarowanie w życiu. A najbardziej ucierpiało na tym jego rozbuchane ego. Dał się nabrać. Jak gówniarz, który po raz pierwszy zamoczył swojego ptaszka. Ann-Katrin dokonała w jego duszy i umyśle prawdziwego spustoszenia. Gdyby traktował to jako grę, miałby jakieś szanse na wygraną, ale on zaangażował się emocjonalnie. Tak bardzo, że ośleplł i ogłuchł. Mimo że przyłapał ją na kłamstwie, wciąż jej wierzył, i właśnie tego nie mógł sobie podarować.

A jednak gdy stało się jasne, kim naprawdę jest Ann-Katrin Schneider, i nie mógł się już dłużej oszukiwać, zrobił zupełnie coś innego, niż powinien. Kiedy panna Schneider została namierzona i powinna się dostać w ich ręce, by odpowiedzieć za szpiegostwo na rzecz Niemców i być może nawet za współudział w morderstwie wysoko postawionego oficera z Ministerstwa Wojny, stanął na głowie, by nie poniosła odpowiedzialności za swoje czyny. Ani za jego złamane serce. Pomógł jej, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli odda ją w ręce władz, Ann-Katrin dostanie karę śmierci.

Gdy losy wojny były już przesądzone, a wojska radzieckie i alianckie parły bez większych przeszkód na Berlin, odszedł ze służby w wywiadzie. Jego dowódcy usiłowali mu tłumaczyć, że porażki się zdarzają i kiedyś dorwie tę parkę, ale on nie chciał czekać, aż ktokolwiek dokopie się do prawdy i postawi mu poważne zarzuty. Teraz nie grzebali zbyt głęboko, ponieważ wojna dobiegła końca i nikt nie zamierzał podpalać świata, by dorwać pannę Schneider, nawet jeśli mogła coś wiedzieć o śmierci brytyjskiego oficera, a kto wie, może nawet brała w tej zbrodni udział. Zapewne dlatego, że ten okazał się bardzo niefrasobliwy i przez to narobił wszystkim problemów. Tak czy inaczej odejście Connora z MI6 definitywnie zamykało temat, tym bardziej że dotyczące tej sprawy akta wyparowały.

Po kapitulacji Niemiec zgłosił się na ochotnika, by objąć stanowisko w Radzie Kontroli w Berlinie. Mimo licznych doniesień z Europy nie spodziewał się, że znajdzie się w miejscu, które kojarzyło mu się z apokalipsą.

Za każdym razem, gdy zbyt długo rozmyślał o Ann-Katrin, miał ochotę zachlać się szkocką do nieprzytomności. Umawiał się wtedy z Erikiem na popijawę. Następnego ranka, gdy zaczynał go męczyć potworny kac, wyrzucał sobie głupotę. Kto jak kto, ale Ann-Katrin nie była warta tego, by się dla niej stoczyć na samo dno.

*Berlin, 1947*

Gdy wszyscy świętowali ogłoszenie planu Marshalla, Ann-Katrin zastanawiała się, co napisać, by jej rubryka nie zaczynała przypominać listy złych uczynków berlińczyków. Większość śledztw kończyła się umorzeniem z powodu niewykrycia sprawcy i tylko od czasu do czasu mogła poinformować czytelników, że złapano na gorącym uczynku złodzieja roweru. To były krótkie, sztapowe notki.

Sądziła, że komisarz Erik Weber wniesie nieco więcej profesjonalizmu do policji kryminalnej, ale któregoś dnia powiedział jej, że z pustego i Salomon nie należy. Śledztwo w sprawie morderstwa doktora ze szpitala Charité także utknęło w miejscu. Podobno nikt z bliskiej rodziny ofiary nie przeżył bombardowania Berlina, a reszta nawet nie próbowała odnaleźć krewnego. Odetchnęła z ulgą, że komisarz Weber nie dokopał się do informacji, iż Alfred Klein poszukiwał niejkiej Ann-Katrin Schneider. Gdyby dysponował większą liczbą personelu, pewnie już by o tym wiedział, ale na razie musiał się zająć kolejnym trupem.

Po tygodniu od śmierci doktora Jacob Eger poinformował ją, że znaleziono kolejne zwłoki i bardzo możliwe, iż oba zabójstwa są ze sobą powiązane. Poczowała strach już nie z powodu swojej wizyty w domu Kleina w noc morderstwa, ale zaczęła się zastanawiać, czy sprawca nie zechce zrobić jej tego samego. Oczywiście, to było irracjonalne, bo nie miała pojęcia, kto oprócz Williama Irvinga mógłby jej tak źle życzyć. No i Connora Evansa... Nie było także powodu, by ktoś miał na nią polować. Naprawdę słabo znała Kleina. Była ciekawa, czy nazwisko drugiej ofiary coś jej powie.

Zeszła do Webera i zapytała:

– Znowu mi pan nic nie powie, komisarzu?

Popatrzył na nią i odparł:

– Gdybym miał coś do powiedzenia, pewnie nie kryłbym tego.

– Proszę mi coś dać. Po Berlinie grasuje seryjny morderca, a ja piszę same bzdury – jęknęła.

Uśmiechnął się do niej.

– Dobrze, chociaż nie wiem, czy to seryjny zabójca. Ale za to wiem, że mam dzisiaj ochotę wypić z kimś piwo. Mój kumpel jest zajęty, więc może pani?

Erik niezbyt się jej podobał, ale doszła do wniosku, że jeśli zacieśni relacje z Weberem, ten zdradzi jej więcej tajemnic ze śledztwa. Zwłaszcza z tego, które ją najbardziej interesowało.

– A czy to nie będzie konflikt interesów? – zapytała i puściła do niego oko.

– Niech mi pani wierzy, nie będzie – odparł z westchnieniem.

Zgodziła się na popołudniowe spotkanie z Erikiem, ale była zdumiona jego propozycją. Jacob Eger patrzył na nią jak na kawałek mięsa i pewnie najchętniej zrobiłby to z nią choćby na swoim ogromnym dębowym biurku, ale Erik nigdy się w ten sposób nie zachowywał. Chwilami odnosiła nawet wrażenie, że jej nie lubił. Postanowiła, iż koniecznie musi o to zapytać swojego nowego adoratora. Znowu przychodziły jej do głowy jakieś szalone pomysły, jak na przykład ten, że komisarz zaczął ją o coś podejrzewać.

– Eriku, powiedz, dlaczego zaprosiłeś mnie na piwo – zagadnęła, gdy już zamówili w prymitywnej budzie po kuflu pierwszorzędnego piwa i kilka minut później przeszli na ty.

– Sam nie wiem... Może dlatego, że gdy nie jesteś taka namolna, to całkiem fajna z ciebie kobietka. Mimo paskudnego charakteru budzisz zaufanie. – Wzruszył ramionami.

Pomyślała, że trafił się jej wyjątkowo fajtłapowaty amant. „«Fajna z ciebie kobietka» to idealny komplement dla kobiety, z którą chce się pójść do łóżka” – zakpiła w duchu, jak również z tego, że wzbudziła w Weberze zaufanie. Przecież od pierwszego dnia tała przed nim niezwykle ważne informacje.

– W porządku... To teraz powiedz coś o drugiej ofierze.

Erik wyciągnął fotografię ukazującą czterech mężczyzn w mundurach Afrika Korps. Wśród nich rozpoznała roześmianego od ucha do ucha Rommla. Po jego lewej stronie stał Klein, po prawej zaś człowiek, o którym chciałaby jak najszybciej zapomnieć – zaufany szpicel feldmarszałka. Przełknęła ślinę i chyba zrobiła dziwną minę, bo Erik zapytał podejrzliwie:

– Znasz któregoś z nich?

Od razu przywołała się w duchu do porządku.

– Ja? No, znam. Rommla. – Wydęła usta. – Czy któryś z nich to ofiara?

– Nie jedna. Dwóch z nich nie żyje. Doktor Alfred Klein i Rudolf Schacht.

– A możesz pokazać palcem, którzy to dżentelmeni? – zapytała niewinnie.

Przez jedną krótką chwilę żywiła się nadzieją, że jako drugą ofiarę Weber wskaże jej dobrego znajomego, Markusa Sterna. Posługiwał się wieloma nazwiskami, być może teraz zidentyfikowano go jako Rudolfa Schachta. Wstrzymała oddech, ale Erik nie wskazał na tego człowieka, którego miała nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć. Alfreda Kleina nie musiał jej prezentować, poznała go od razu, ale z oczywistych względów nie powiedziała tego Weberowi.

– No, dobrze, ktoś morduje ludzi ze zdjęcia. Pomijam, rzecz jasna, Rommla, on i tak nie żyje – powiedziała, jak się jej zdawało, pewnym głosem, ale Erik wciąż patrzył na nią podejrzliwie.

Wpadła w kompletną panikę. Uznała, że nie ma wyjścia i zaczęła go uwodzić. Nie zamierzała wylądować z nim w łóżku, ale flirt by jej nie zaszkodził. Jednak Weber jakby był z kamienia. Nie reagował na nic, nawet wtedy, gdy prawie usiadła mu na kolanach. W końcu znużyły ją te zabiegi i powiedziała, nieco już poirytowana:

– A teraz powiedz prawdę. O co ci właściwie chodzi?

– Karen, nie zrozum mnie źle. Chciałem się z tobą zaprzyjaźnić, a może jedynie zakolegować. Nie mam ci nic więcej do zaoferowania... Nie chodzi o to, że nie interesuję się tobą... ja po prostu nie interesuję się żadną kobietą.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że Erik mógł się zakochać jedynie w mężczyźnie. Nie miała mu za złe, że wprost jej tego nie powiedział. Widocznie ukrywanie swoich skłonności weszło mu w nawyk. W końcu jeszcze nie tak dawno mógł za to wylądować w obozie, z różowym trójkątem przyszytym do pasiaka.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła dłoń. – Zatem zostaniemy dobrymi kumplami.

– Ale nie myśl sobie, że teraz wszystko będziesz mogła ode mnie wyciągnąć.

Weber wyraźnie się rozluźnił, a i jej ulżyło. Przynajmniej nie miała poczucia, że straciła całą swoją atrakcyjność, dzięki której kiedyś tak bardzo mieszała w głowach mężczyznom.

– I to jedyne, co masz, jeśli chodzi o powiązanie tych dwóch zabójstw? – Karen przeszła do rzeczy.

– Właściwie tak.

– A właśnie, miałam cię już wcześniej o to zapytać... Dlaczego ta sąsiadka Kleina jest taka pewna, że zobaczyła kobietę? Znam wielu mężczyzn, od których mogłabym pożyczać spodnie.

– Powiedziała, że ta osoba była nie tylko drobna, ale też kręciła tyłkiem. – Erik się roześmiał.

– A facet nie mógł tak zawijać zadkiem?

Także zaczęła się śmiać, ale teraz zeznanie sąsiadki zaniepokoiło ją jeszcze bardziej. Connor powiedział jej kiedyś, że rozpoznałby jej chód z daleka, ponieważ w charakterystyczny sposób kołysała biodrami. Wtedy uważała, że to tylko słowa mężczyzny, który jej pragnął, i wszystko, co robiła, wydawało mu się jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne. Była głupia, bo uwierzyła, że naprawdę był w niej zakochany.

– Mogą, ale znaleźliśmy jeszcze włos. Długi i bardzo ciemny... O, taki jak twój – powiedział, zerkając na jej głowę.

W tym momencie jej serce zatrzymało się na chwilę. Włos musiał należeć do niej. W końcu kręciła się po domu Kleina, a nawet nachylała się nad denatem, by sprawdzić, czy może mu pomóc. W duchu powtarzała sobie, że najważniejsze jest zachowanie spokoju. Nie mogła dać po sobie poznać, iż wie o całej sprawie nieco więcej, niż wydawało się Erikowi. Musiała zachowywać się tak, jakby nigdy nie poznała doktora Kleina.

– Tak, na pewno był mój. Sam mówiłeś, że doktor był przed śmiercią bity i torturowany. Czy ja wyglądam na sadystkę? – zakpiła.

– Oj, tak. – Przewrócił oczami. – Ale taką duchową. Nigdy nie chcesz opuścić mojego pokoju, dopóki czegoś ode mnie nie wyciągniesz. Wzbudzasz we mnie

poczucie winy, że cię zbywam, i w końcu pękam. Chyba złamałaś wiele męskich serduszek.

To była prawda, ale wystarczyło, że raz to ona została skrzywdzona i od tej chwili nie potrafiła zaufać żadnemu mężczyźnie. Nie zamierzała się jednak zwierzać Erikowi ze swoich intymnych spraw. Miała także nadzieję, iż nie będzie jej wypytywał o przeszłość. Tak jak ona nie chciała pytać jego. Z uwagi na sytuację tak było lepiej dla obojga. W tych czasach do pewnych uczynków nie należało się przyznawać.

– Nie przesadzaj z tym łamaniem serc. – Naburmuszyła się.

– Słuchaj, to bezpieczny temat. – Weber chciał, by nieco się otworzyła.

– Po prostu czekam na kogoś, kto zwali mnie z nóg. Mężczyznę, który sprawi, że narodzi się nowa Karen. Nie chodzi mi o takiego, który zostanie pantoflarzem czy brutalem, ale będzie takim człowiekiem, że ja sama będę pragnęła się zmienić.

– A co z tobą jest nie tak, że chcesz się zmienić? Będziesz nieautentyczna i nigdy się nie dowiesz, czy ktoś potrafi pokochać cię taką, jaka jesteś – powiedział ciepło Weber.

– Nie ufam facetom. Uważam ich za okrutnych drani, którzy nie potrafią kochać. A jeśli nawet mają pewną słabość do jakiejś i tak ją w końcu wykorzystają. To muszę zmienić, uwierzyć komuś. Przestać w ten sposób myśleć, tylko ufać, że nie wszyscy są tacy. Nowa Karen byłaby szczęśliwa, bo czułaby się bezpiecznie, a nie jak skrzywdzone zwierzątko, które ciągle musi być czujne, by nikt nie sprzedał mu kopniaka. – Wzruszyła ramionami.

– Myślę, że któryś cię cholernie zawiódł, a teraz patrzysz na wszystkich, jakby byli nim. Nie są, Karen.

– Mylisz się, Eriku. To nie romans z nim sprawił, że stałam się nieufna. Zawsze taka byłam, ale jemu postanowiłam dać szansę. I nagle się okazało, że przez cały czas miałam rację. Choć bardzo bym chciała się mylić... No a ty? Czekasz na kogoś?

– Karen chciała zmienić temat. Zbyt mocno bolała ją ta rana, żeby miała ochotę dodatkowo ją rozdrapywać.

– Czekałem, ale już nie czekam, bo wiem, że nie przyjedzie – westchnął.

Gdyby nie wojna, która niedawno minęła, zapytałaby, czy jego kochanek odszedł do innego, ale teraz pewniejsze było to, że zginął. Tak, to były straszne czasy – odzierały z nadziei. Nie wiedziała, co by poczuła, gdy ktoś jej powiedział, że

Connor nie żyje. Nienawidziła go, a jednak wołała, żeby istniał. Chyba na wypadek, gdyby się co do niego pomyliła i prawda byłaby zupełnie inna, niż sądziła. Istniał na to jeden procent szans, ale to było i tak więcej, niż miał Erik.

– Niekiedy lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć – szepnęła. To była prawda, ale ona zaliczała się do nielicznych wyjątków i wołałaby nigdy nie usłyszeć o śmierci Evansa.

Uśmiechnął się smutno.

– Masz rację. Najgorsze jest czekanie.

– Możesz teraz śmiało obejrzeć się za kimś innym. – Poklepała go po ramieniu.

– Nawet mi się taki jeden spodobał. Ale to stuprocentowy samiec. Absolutny wielbiciel kobiet. A może poznam cię z nim? On też jest samotny.

– No wiesz, podsyłasz mi jakiegoś dziwkarza? – Skrzywiła się.

– Nie rozumiesz... on chyba nie z tych, ale ja mógłbym wyglądać jak Rudolph Valentino, a i tak by się na mnie nie skusił – zakpił Erik.

– Rozumiem, ale to zły moment. Może za jakiś czas, jeśli wciąż będzie wolny, to czemu nie. Jeśli miałabym już mieć romans, to wołałabym nie krzywdzić miłego faceta. A dzisiaj tak właśnie by było. – Puściła do niego oko.

– A dlaczego nie teraz? Będziesz czekała, aż zrobisz się stara i brzydka? Dobry towar szybko znika. Chociaż spróbuj, przecież nie musisz za niego wychodzić.

– Kochany, teraz w Berlinie każdy towar szybko znika. – Zaczęła się śmiać i dodała: – Nie jestem jeszcze gotowa na poważną relację. Chyba na żadną nie jestem.

– A mnie się wydaje, że jakąś godzinę temu chciałaś mnie zbałamucić.

– Bo myślałam, że cię oczaruję, a ty mi dasz do wglądu akta sprawy. To był jedynie flirt. – Przeklęła w duchu swoją niekonsekwencję. Nie miała więc wyboru i musiała powiedzieć mu coś, co zamknie ten temat. – Nie jestem jeszcze gotowa, rozumiesz? – wycodziła, trochę zła na Erika, że na siłę próbował jej pomóc.

„Nie jestem jeszcze gotowa” – zdanie klucz. A może raczej wytrych. Gdyby nie sprawa, którą za wszelką cenę chciała załatwić, chętnie poznałaby uroczego kumpla Erika. Czuła się niekiedy samotna i przydałby się jej do towarzystwa jakiś przystojny kompan. A kto wie, może Weber miał rację i powinna jeszcze raz spróbować otworzyć swoje serce na oścież. Tylko teraz robiłaby to bardzo powoli, a nie jak wtedy, gdy ogarnęło ją kompletne szaleństwo.

Potem jakby się ocknęła i miała ochotę stuknąć się w głowę. Gdyby wyszła za Brytyjczyka, już przed nikim nie musiałaby się tłumaczyć. A najmniej z tego, że podróżuje po Europie. To byłaby jej szansa.

Weber uniósł rękę.

– Rozumiem, nie naciskam. Ale zastanów się, to naprawdę świetny facet. On na pewno zwałiby cię z nóg – zachwalał zalety kumpla, ale ją to wkurzało. Musiała pomyśleć, jak to rozegrać, żeby nie wpakować się w kłopoty.

– Zaraz cię kopnę w kostkę. Lepiej powiedz, czy wiesz, kto cię tak załatwił. – Dotknęła blizny na jego policzku.

– Paskudna, nie? – Skrzywił się.

– Przestań, jakąś godzinę temu siadałam ci na kolanach. – Parsknęła śmiechem. – A zatem pan komisarz nie wie... I jak tu ufać policji?

– Wyobraź sobie, że nie jest to rana wojenna. Ugodził mnie młody zwyrodnialec, który zamordował ojca.

– Raczej przeorał ci twarz – odparła ze smutnym uśmiechem i dodała: – Ta blizna dodaje ci męskości.

– Chwilami zapominam, że ją mam, ale kiedyś było trudno. Gdyby były inne czasy, może ładniej by mi to załatwili, ale to był czterdziesty czwarty i w Rzeszy już się dobrze nie działo.

– Ale schwytałeś go?

– Oczywiście, więc mnie możesz ufać.

Niestety, nie mogła... Gdyby nie znaleziony w mieszkaniu włos, uznałaby wieczór za udany. Obawiała się jednak, że jeśli komisarz w jakiś czarodziejski sposób powiąże ją ze sprawą morderstwa Kleina, nie wywinie się od stryczka. Erik nigdy nie zachowałby się jak Connor i nie chroniłby jej, a to oznaczało, że był ostatnią osobą, której mogła zaufać.



Afryka Południowo-Zachodnia, 1900

Kunene, młoda kobieta z plemienia Herero, mogła się nazywać szczęściarą. Nie była jedyną, którą jakiś żołnierz czy osadnik wziął do siebie na służbę. Oczywiście tę nocną także. Często traktowano tutejsze mieszkanki jak niewolnice, które w ciągu dnia zajmowały się domem, a wieczorem dogadzały swoim panom. Gdy robiły się starsze i mniej świeże, odsyłano je do swoich. Często obrywały *sjambokiem* albo pięścią, gdy ich chlebodawca nie był z nich zadowolony. Niektóre miały po czternaście lat. Kunene, gdy Joseph zabrał ją do siebie, także była bardzo młodziutka. Kilka miesięcy wcześniej skończyła siedemnaście lat.

Jednak Schneider zachowywał się inaczej i traktował Kunene jak życiową partnerkę. Przynajmniej w swojej kwaterze. Nie używał pejcza, w tej części świata nazywanego *sjambokiem*, w który zaopatrywali się nie tylko oficerowie z Schutztruppe, ale także osadnicy. Niewolnictwo oficjalnie się skończyło, ale batożenie stało się standardową karą dla krnąbrnych sług z plemienia Herero, Nama czy Witbooi.

Na szczęście jego brutalny dowódca, François, został odesłany do domu, a zastąpił go Theodor Leutwein. Rząd naciskał, by w końcu zaprowadzono na tym obszarze porządek.

Po zjednoczeniu Niemiec w wyniku rewolucji przemysłowej zubożali rolnicy ciągnęli do miast, by szukać zajęcia. Każda metropolia miała swoje dzielnice biedy, a co sprytniejsi emigrowali do Ameryki. Taki odpływ ludności niepokoił *Keisera* i dlatego postanowił wzmocnić Schutztruppe. Jednak martwiła go nie tylko niemal masowa emigracja, ale również problemy mieszkaniowe, brud i epidemie wybuchające w dzielnicach biedoty. Na obrzeżach Berlina budowano

siedmiopiętrowe domy z mieszkaniami tak małymi, że stały się w pewnym momencie symbolem upadku.

Leutwein nie był potulnym barankiem, który nie podniósłby ręki na czarnoskórego człowieka, ale też nie urządzał im krwawych łaźni. Po kilku klęskach i oporze rdzennych mieszkańców postanowił pozostawić im pewną niezależność. Uznał, że niczego więcej nie może zrobić, nawet jeśli będzie dochodziło do lokalnych konfliktów.

I wtedy nadszedł Rinderpest. Tak nazwali ten śmiertelny wirus Burowie. Brytyjczycy mówili o nim „Steppe Muraine”, czyli pomór bydła. To była prawdziwa klęska, ponieważ tutejsze plemiona bez bydła nie istniały.

– Dużo zabitych zwierząt. Po co zabijacie bydło? – zapytała pewnego dnia Kunene, gdy przejeżdżali wozem wzdłuż Namibu.

Podążali wówczas do Windhuku, miasta bardziej przypominającego cywilizowany świat. Schneider musiał się tam spotkać z lokalnymi władzami na zebraniu zorganizowanym przez szefostwo biura kolonialnego, podczas którego mieli ustalić plan działania na najbliższy czas.

– One były chore. Same padły. – Wzruszył ramionami.

To był apokaliptyczny widok. Setki martwych zwierząt zalegały na pastwiskach i pustynnych szlakach. Tubylcy zdawali sobie sprawę, że zakażone zwierzę należałoby spalić, ale w pewnym momencie zrobiło się ich tak wiele, że nie byli w stanie tego robić, więc zakopywali je w pustynnym piachu. Wystarczył jednak silniejszy podmuch wiatru, by truchła znalazły się na powierzchni.

– Herero nie mieć co jeść. Herero głodować – odparła smutnym głosem Kunene.

Miała przerażenie w oczach. Nie z uwagi na zwierzęta, ale swoich współplemieńców, dla których podstawą żywienia były mięso i mleko.

Joseph pogłaskał ją po dłoni.

– Ale to nie jest nasza wina – powiedział, ponieważ odnosił wrażenie, że tubylcy oskarżają ich nawet o plagi i wszelkie zarazy.

Fakt, mieli podstawy, by ich nienawidzić. Nie uznawali oddawania ziemi i pragnęli niezależności, którą Niemcy chcieli odebrać im siłą, więc przypisywali im odpowiedzialność za każdą swoją klęskę.

– Tak. – Pokiwała głową i ścisnęła jego dłoń, a potem powiedziała nagle: – Ja mieć dziecko.

– Przestań żartować. – Roześmiał się. – Nie masz dziecka.

– Ja mieć – upierała się Kunene, a potem zadarła płócienną sukienkę i wskazała palcem na brzuch.

– Jesteś w ciąży? Urodzisz dzieciaka? – dopytywał, chociaż w pierwszej chwili nie wiedział, czy powinien się martwić, czy cieszyć.

Zarówno osadnicy, jak i żołnierze z Schutztruppe wiązali się z tutejszymi kobietami i nierzadko mieli z nimi potomstwo. Tajemnicą poliszynela było, jakie relacje łączą niektórych ze służbą. A kiedy na świecie pojawiały się dzieci mieszanej pary, niczego już nie można było ukryć. Niektórzy wyrzucali swoje ciężarne kochanki, ale wielu tworzyło z nimi normalne rodziny.

– Zostaniesz moją żoną – oświadczył, a potem zaczął się śmiać. – Będę ojcem.

Kunene jakby ulżyło. Zapewne doskonale wiedziała, co często spotkało inne dziewczyny i kobiety, które trafiały na służbę. Rzadko kiedy wychodziły za mąż i cieszył je nawet konkubinaty, ale zdarzało się, że musiały wracać z dzieckiem do swoich.

– Tak. Ja myśleć, że to być syn – powiedziała.

– A skąd niby to wiesz? – zdziwił się Joseph.

– Ja mieć nisko brzuch. – Uśmiechnęła się, ukazując olśniewające zęby, które na tle jej ciemnej skóry wydawały się jeszcze bielsze, niż były w rzeczywistości. Nie miał pojęcia, który szaman jej o czymś takim powiedział.

Zawsze gdy jechał do Windhuku i szedł na lokalne zebranie, Kunene spacerowała po mieście, odwiedzała targ albo sklepy założone w miasteczku przez osadników. Teraz nie chciał, by sama włóczyła się po ulicach. Zawiózł ją więc do domu misjonarza, który przybył tu z Kraju Przylądkowego, by szerzyć chrześcijańską wiarę wśród tubylców. Nazywał się Dawid Huckmann i trudno było określić jego narodowość. Świetnie władał językami nie tylko tubylców, ale także kolonizatorów.

Wokół kłębiły się tłumy wygłodniałych Herero. Jęczeli, by ktoś im pomógł. Prawie się nie poruszali, jakby mieli jedynie siłę, by wyciągnąć wychudzone ręce po jałmużnę. Dopiero gdy w drzwiach domu misyjnego pojawiła się zakonnica w szarym habicie, która trzymała garnek ugotowanego ryżu, w tłumie zapanowało poruszenie. Ludzie zaczęli się przepychać i tratować, by otrzymać chociaż garść pożywienia.

Schneider z trudem precyzyjnie się przed głodującymi Herero, by w końcu dotrzeć na posesję i poprosić o rozmowę z Huckmannem. Patrzył na Kunene, obserwującą tłum. Znowu miała tak zawiedzione spojrzenie, aż coś ścisnęło go za gardło, ale przynajmniej pierwszy raz w życiu nie czuł się za tę sytuację odpowiedzialny. Obawiał się, że Kunene za chwilę zacznie płakać, i pomyślał, że przyprowadzenie jej tutaj było błędem.

– Moja Kunene jest w ciąży, a ja muszę iść na zebranie Towarzystwa Kolonialnego. Nie chcę, żeby sama kręciła się po miasteczku – zwrócił się do Huckmanna, gdy ten raczył wyjść przed budynek.

– Niech idzie na werandę – powiedział Dawid. Zrobił to w języku Herero i tonem, który bardzo nie spodobał się Josephowi.

Kunene była posłuszna, więc bez słowa udała się na ocienioną werandę. Joseph znów spojrzał na kłębiące się przy płocie ludzkie szkielety. Sytuacja Herero naprawdę była tragiczna, a nikt nie zamierzał zbyt się wysilać, by im pomóc. Jedynie na misji mogli otrzymać darmowe wsparcie. Złość na Huckmanna minęła Schneiderowi w jednej chwili.

– Dziękuję, wielbny. Przyjadę po nią za jakieś dwie, trzy godziny. Musimy coś postanowić w kwestii pomoru bydła, więc nie wiem, jak długo potrwa zebranie – zwrócił się do Dawida.

– To kara boska za pogańskie obrządki. Jeśli tutejsze rody zwrócą się ku Bogu, pomór odejdzie. W Biblii jest napisane, że poganie zostaną ukarani. – Huckmann był tak nawiedzony, że nie tylko wciskał swoje teorie tubylcom, ale naprawdę w nie wierzył.

Schneider nie miał jednak ochoty słuchać kolejny raz o karze boskiej. Z tego, co wiedział, zaraza dziesiątkowała bydło w całej Afryce, a jej ognisko znajdowało się w Erytrei, do której Włosi sprowadzili bydło z innego kontynentu. Postanowił zmienić temat.

– Ożenię się z Kunene.

– Najpierw powinienes się ożenić, a dopiero potem płodzić dzieci. – Dawid się skrzywił. – Ale przynajmniej jest nadzieja, że Kunene nawróci się na chrześcijaństwo. Sądzę, Josephie, że dotychczas za bardzo jej pobrażałeś i akceptowałeś jej szatańskie wyznanie.

– Nigdy nie byłem specjalnie pobożny. – Wyszczерzył zęby w nienaturalnym uśmiechu.

Dla Huckmanna lokalne pogańskie praktyki religijne były gorsze niż masowe mordy na tubylcach, bo te drugie nie budziły w misjonarzach aż tak wielkiej trwogi. A może jedynie oddawali Bogu, co Boskie, a cesarzowi to, co cesarskie.

W biurze kolonialnym wrzało. I jak dotychczas nigdy w spotkaniach nie uczestniczyło tak wielu osadników. Przybyli tu nawet z dalszych rewirów kolonii, by ktoś zaradził problemowi.

Jakiś jegomość z sumiastym wąsem wymachiwał zapisaną kartką i grzmiał:

– Te padłe zwierzęta zatrują wody gruntowe i studnie! Tylko patrzeć, jak z naszych wodociągów zacznie płynąć skażona woda!

– Nie mamy środków, żeby zebrać tyle martwego bydła – zaprotestował osadnik, który posiadał w Windhuku największą parcelę.

– To uważa pan, że lepiej będzie, jeśli wszyscy pomrzemy? Zewsząd napływają Herero i Nama, byśmy dali im pracę i jedzenie. A to oznacza, że nie mają wyboru, bo stracili swoje stada.

– Sądzę, że każda osada powinna radzić sobie sama. My z pomocą wojska oczyścimy teren w promieniu... powiedzmy... trzydziestu kilometrów, żeby nic nie mogło nam zagrozić. Poruczniku Schneider, czy oddziały Schutztruppe włączą się do pomocy? – zapytał dyrektor biura kolonialnego.

– Wojsko również ma z tym problem. Musimy zadbać o forty, w przeciwnym razie grozi nam epidemia. Jednak porozmawiam z dowództwem i myślę, że podeślą wam oddział – powiedział ostrożnie Schneider.

– Oddział? – Dyrektor był wyraźnie niezadowolony. – Szacuje się, że padło jakieś dwadzieścia tysięcy sztuk.

– Powiedziałem, wojsko ma podobny problem – zakończył temat. I tak niewiele od niego zależało.

– A co zrobimy z tymi, którzy okupują nasze misje i zalegają na ulicach, zebrząc o pomoc? – zapytał któryś.

– Trzeba pożyczyć im trochę pieniędzy i jada – zaproponował starszy mężczyzna o dobrotliwym wyrazie twarzy.

– Ciekawe, kiedy oddadzą! – krzyknął ktoś z głębi sali.

Jakiś potężny mężczyzna, ubrany w strój khaki i korkowy kapelusz, podniósł się z krzesła i oznajmił:

– Przestańcie się przekrzykiwać. Przecież to jest dla nas szansa. Możemy im pożyczać pieniądze albo dawać jedzenie, ale nie za darmo. Niech to będzie pożyczka pod zastaw ich ziemi.

– Herero ani nie oddają, ani nie sprzedają swojej ziemi obcym. To jest ich podstawowa zasada – westchnął któryś.

Postawny mężczyzna zaśmiał się szyderczo.

– Jeśli będą mieli do wyboru życie za ziemię, podejmą właściwą decyzję, naginając swoje zasady.

– A jeśli odbudują swoje stada? – zauważył ktoś. – Przecież oni płacą bydłem za broń. Zechcą odzyskać swoją ziemię siłą i znowu będziemy mieli wojnę.

– Schutztruppe ma jednak nieco lepsze wyposażenie. Poradzimy sobie – zapewnił Schneider, chociaż wcale nie był pewny, czy daliby radę pokonać wszystkich Hererów, a potem Witbooiów. Nie chciał jednak wprowadzać zamętu i poczucia strachu wśród osadników.

– Trzeba by stworzyć im takie miejsca, których nie będą mogli opuszczać. Niech żyją w rezerwatach, z dala od nas – mruknął mężczyzna z sumiastym wąsem.

– Najpierw spróbujmy się z nimi dogadać – zaproponował Schneider.

Zdawał sobie sprawę, że gdy tylko zdziesiątkowani przez kataklizmy tubylcy odzyskają siły, będą chcieli toczyć boje o swoje pastwiska. To było nieuniknione, miejscowi nigdy nie poddali się bez walki. Mimo wsparcia z Rzeszy wciąż było ich zbyt mało, by rozłożyć Hererów, Nama czy Witbooiów na łopatki. To jednak była bliżej nieokreślona przyszłość, bo w tej chwili plemiona walczyły o życie, a nie o ziemię.

Wypowiedź Josepha została nagrodzona oklaskami, a niedługo potem Niemcy zaczęli wykupywać najlepsze ziemie od plemienia Herero.

Być może tubylcy przetrwaliby jakoś paskudnego wirusa dziesiątkującego ich bydło, ale stali się zupełnie bezbronni, gdy nadeszła plaga tyfusu i malarii. Na tym nie skończyły się problemy w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, bo jeszcze tego samego roku nawiedziła to miejsce szarańcza, a zaraz potem susza. Dawid Huckmann niezmiennie grzmiał, że to kara boska za pogańskie wierzenia plemion.

Joseph Schneider także skorzystał z okazji i wykupił ziemię od Herero, a później, gdy już się wzbogacił, zbudował okazałych rozmiarów dom w Windhuku. W końcu miał żonę, a niedługo po ślubie przyszedł na świat jego pierwszy i ostatni syn – Adio. Miał nieco jaśniejszą skórę niż jego matka i blond loczki, co wyglądało dość komicznie. Urodę także zawdzięczał swojej rodzicielce, bo Schneider nie należał do zbyt przystojnych mężczyzn.

Joseph pokochał swojego syna całym sercem od chwili, gdy dzieciak pojawił się na świecie. Kunene, która ostatni trymestr ciąży spędziła na błogim lenistwie, wyręczając się tanimi służkami z Herero, teraz jakby dostała zastrzyk energii i nawet gdy chłopcem zajmował się jego ojciec, nie spuszczała go z oka i zamiast odpocząć, pilnowała, by Adio nic się nie stało. Była jak lwica gotowa pożreć każdego, kto chciałby skrzywdzić jej potomstwo. Wiedział, że cokolwiek się stanie, Kunene zrobi wszystko, by chronić Adio.

*Berlin, 1947*

Rudolfa Schachta znaleziono na gruzowisku. Nie miał tak ciężkich obrażeń jak Klein, ale otrzymał trzy kulki w serce, mimo że jedna w zupełności by wystarczyła. Trudno było orzec, czy ciało tylko tam podrzucono, czy zginął w ruinach. Szukanie śladów w takich miejscach było niczym próba odnalezienia igły w stogu siana.

– Johann... – Erik odwrócił głowę w stronę swojego kolegi. – Czy przyszły wyniki balistyczne w sprawie Kleina?

– Jeszcze nie, ale to był kaliber siedem sześćdziesiąt pięć milimetra. Browning – odparł.

– Walther pp...

– Sądzę, że tak. – Johann skinął głową.

– Właściwie *modus operandi* zupełnie inne. Doktor został zastrzelony we własnym łóżku, ten na zewnątrz. Klein był torturowany, ale jedynie wyrwane paznokcie i połamane palce wskazywałyby na kogoś, kto kiedyś służył w gestapo albo innej tego typu formacji. Ten, sądząc na pierwszy rzut oka, nie doznał większych krzywd, zanim zginął.

– Rozumiem, że jeśli i tutaj znajdziemy ten sam kaliber, będzie to jakaś część wspólna – odparł Johann.

– Walther to popularny pistolet. Ta sama broń byłaby tylko potwierdzeniem moich hipotez. Trzy strzały w obu przypadkach, wszystkie w serce. Czy to jakaś symbolika, do cholery? – jęknął Weber.

– Nie mam pojęcia, może oddaje trzy strzały dla pewności.

– Nie wiem jak tutaj, bo jest pełno krwi, ale podczas sekcji widziałem idealny trójkąt z otworów wlotowych. Tylko czy z bliska jest to takie trudne?

– Ale patolog z Moabitu twierdzi, że nie oddano strzałów z przyłożenia. To musiały być minimum dwa metry – odparł Johann. – Słuchaj, sprawdzimy tego i wszystko będzie jasne. A jeśli to miałyby być symbolika, to czego?

– Chrześcijańskiego Boga? To kompletnie bez sensu. Czy coś jeszcze znalazłeś w domu Kleina?

– W każdym pomieszczeniu była krew, oprócz przedpokoju.

– A odcisk drobnej rączki? – zakpił.

– Owszem, ale innych śladów nie ma, więc sprawca po prostu oparł się ręką, gdy wychodził z domu doktora. W salonie i łazience znalazłem tylko rozbryzgi. Tak jakby maltretowano go w każdym z pomieszczeń.

– Zastanawiam się nad jednym... Facet, który zamordował Kleina, a wcześniej się nad nim pastwił, zrobił straszny kipisz w mieszkaniu doktora. Pomijam przygłuchych staruszków, którzy niczego nie słyszeli, ale to musiał być niezmiernie pracowity typ. Załóżmy, że kobieta dobrze określiła czas i Klein pożegnał się z życiem o północy, sprawcy zostały więc dwie godziny, żeby to wszystko zrobić. Sąsiadka widziała wychodzącą kobietę około drugiej.

– A ty byłeś tam już o szóstej rano... Co za tempo! – Johann się zaśmiał.

– Zastanawiam się nad współnikiem. Jeden znęca się nad doktorem, drugi robi kipisz.

– Wygląda na to, że faktycznie morderca nie mógł działać w pojedynkę. Ale ta kobieta widziała jedną osobę – zauważył Johann.

– To żaden dowód. Pamiętasz tę ogromną wyrwę w ścianie od podwórza? Słoń by tamtędy wyszedł albo czterdziestu rozbójników. Jeśli uciekł tamtędy, kobieta mogła go nie zauważyć. Jednak ja mówię o czymś zupełnie innym... Tam musiał być ktoś jeszcze. Nie wierzę, że współnik tej kobiety, najpewniej mężczyzna, wyrobił się sam ze wszystkim, ale także w to, iż kobieta wyrwała klepki podłogowe na całej powierzchni pokoju. Chociaż kto to wie...

– Bez przesady, zaraz dojdziemy do tego, że szalał tam cały pułk. Może dojdziemy do czegoś, kiedy przyjdą wyniki odcisków palców – powiedział Johann.

– Tak, do tego, że na komodzie są jeszcze linie papilarne handlarza starociami – prychnął Weber.

– Niekoniecznie, udało mi się zdjąć odciski z klamki. Jeśli będą pasować do tych z komody, a nie będą należały do Kleina, mamy sprawcę, przynajmniej jednego –

odparł Johann.

– Naprawdę? To gdy tylko ustalisz jego dane, pojedę do niego i go aresztuję.

Głos Erika był nie tyle pełen ironii, ile rozzalenia, że odciski palców mogą być dowodem w sprawie przed sądem, gdy okażą się tożsame z liniami papilarnymi mordercy. Tylko że oni nie mieli nawet jednego podejrzanego. Jacob Eger miał słuszność – laboratorium nie mogło mu za bardzo pomóc.

– Rozejrzyjmy się. Może jakichś świadków znajdziemy – powiedział bez przekonania Johann.

Erik okręcił się dookoła, a potem spojrzał na kompana.

– Chyba żartujesz!

– Nie, tutaj ludzie mieszkają w piwnicach. Jeśli dobrze poszukasz, znajdziesz ich. Może akurat przechodzili, może jakiś dzieciak coś widział – pocieszał go, jakby Weber był nowicjuszem. Doskonale wiedział, o co pytać, problem tylko polegał na tym, czy będzie miał kogo.

Gdy Johann próbował zabezpieczyć jakiegokolwiek ślady pozostawione przez mordercę, Erik pokonywał kolejne rumowiska, by odnaleźć ślady życia. Tuż za jedyną ocalałą ścianą kilkupiętrowego budynku zobaczył grupę grających w piłkę chłopców. Bramki zrobili z cegieł, a ich boiskiem było pokryte grubą warstwą pyłu klepisko. Gdy biegali, wzniecali tumany kurzu, a ich ubrudzone twarze wyglądały dość osobliwie.

– Chłopcy, jestem z policji, czy możecie zrobić przerwę?! – krzyknął.

Zaciekawieni, przestali się uganiać za piłką i podeszli do Erika.

– Widzieliście tego trupa na gruzowisku? – zapytał.

Jeden, prawie łysy wyrostek powiedział:

– Ja widziałem. Szedłem po wodę i widziałem. Ale tam już jacyś ludzie się kręcili i brytyjski żołnierz, nie pozwolili mi podejść. Wielkie mi co, jakbym trupa nie widział.

– A gdzie ty mieszkasz?

Chłopak wskazał dłonią doszczętnie zrujnowany dom.

– W tym rumowisku? – zdziwił się Erik, mimo że w Berlinie mało co powinno go zdumiewać.

– Tam jest wjazd do piwnicy – oznajmił.

– A zanim wyszedłeś po wodę, coś słyszałeś?

Pokiwał głową.

– Słyszałem, że ktoś strzelał. A potem warkot, jakby samochodu.

A zatem sprawca mógł być zmotoryzowany. Pod warunkiem że nie było to przypadkowe auto. Od biedy to mogła być pewna wskazówka, bo prywatnych pojazdów było w mieście jak na lekarstwo. Ale równie dobrze mógł to być kierowca pracujący w jednej z firm rozwożących towar.

– A był może ktoś jeszcze w domu...? To znaczy tam, na dole?

– Babcia i dziadek. Ale oni myśleli, że kawałek muru odpadł. To ja mówiłem, że ktoś strzela.

– Ktoś jeszcze coś widział? – dopytywał.

Jakiś malec podniósł rękę, jakby zgłaszał się do odpowiedzi w szkole.

– Ja, proszę pana, pamiętam takiego jednego, co go tu wcześniej nie widziałem. Taki nie młody ani nie stary.

– A był wysoki, niski, może utykał albo nie miał ręki?

– Taki średni. I miał wszystko. Dwie nogi i dwie ręce. I był bardzo ładnie ubrany. Tak czysto.

– Był w garniturze?

– Nie, ale w białej koszuli i w krawacie. I buty miał prawie nowe. Takie pantofle miał, nie z Wehrmachtu.

Nie tak często można było teraz spotkać dobrze ubranych mężczyzn, ale to była bardzo marna wskazówka, bo przecież nie robi przeglądu wszystkich eleganckich facetów w mieście.

– A może nosił zegarek albo miał taką bliznę jak ja?

– Nie widziałem – odparł dzieciak.

– A włosy jasne czy ciemne? A może łysy?

– Ciemne.

Weberowi coś przyszło do głowy.

– A długie? No, takie jak kobieta? – zapytał desperacko.

– Krótkie.

Załamał się kompletnie. Czyżby w okolicy grasował cygański gang? A potem pomyślał, że niekoniecznie cygański, ale na przykład... egipski. Dla tego dzieciaka nie było różnicy. Pewnie zanim weszli alianci, nie widział w Berlinie osób o ciemniejszym kolorze skóry. Wolał się jednak upewnić.

– Ale ten pan wyglądał jak Cygan?

– Nie, normalnie. Tylko miał ciemne włosy. I takie jakby go krowa polizała. – Malec zachichotał.

Nikt więcej niczego nie słyszał i nie widział. Weber powrócił więc do Johanna, który studiował dokumenty denata.

– Rudolf Schacht, urodzony w Berlinie w Roku Pańskim tysiąc dziewięćset siódmym – wyrecytował Johann.

– Dobrze, podaj adres, pojedę do jego mieszkania. Wcześniej jednak wrócę do biura i zerknę na zdjęcie, które znaleźliśmy w domu Kleina. Ten trup nie przypomina mi żadnego z nich, ale wolałbym porównać ze zdjęciem z paszportu. Patolog i samochód sanitarny powinni przyjechać w ciągu półgodziny.

– Nawet nie mamy go czym przykryć – westchnął Johann i dodał: – Pobiorę jeszcze próbki krwi, chociaż nie wiem po co.

– Może liczysz, że to jest morderca Kleina, który pod wpływem wyrzutów sumienia strzelił sobie trzy razy w serce, z tym że drugą i trzecią kulkę wpakował sobie już po śmierci? – zakpił Erik.

– To nie byłby żaden dowód...

– Wiem, przecież żartuję. Po prostu zaczynam kpić, bo nic innego mi nie pozostaje. Zaraz się okaże, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą, a ja kompletnie nic o nim nie wiem – westchnął. – Tylko tyle, że jakiś obcy się tu kręcił. I miał ciemne włosy potraktowane brylantyną, bo nie wierzę, że taki elegancik nie myłby włosów przez miesiąc. Ale przecież to Berlin, a nie głucha wieś. Jednak to zawsze jakiś trop, bo jeden dzieciak słyszał odgłos silnika samochodowego, a drugi widział eleganckiego mężczyznę w nowych pantoflach.

– Tak, te czyste buty są charakterystyczne. Mało kto nosi teraz nowe – zadrwił Johann.

Weber wrócił do komisariatu i przyjrzał się dokumentom denata, a potem wziął lupę i zerknął na fotografię odnalezioną w domu Kleina. Teraz już nie miał wątpliwości, że sprawcą był ten sam człowiek czy może jakaś krwiożercza parka. Ofiara także widniała na zdjęciu z Rommlem. Schował je do sfatygowanej teczki i wyszedł z biura. Musiał jeszcze ustalić, czy mężczyzna oprócz służby w Afrika Korps miał coś jeszcze na sumieniu. Był przekonany, że nie, ale musiał to potwierdzić w miejscu, gdzie posiadano największą wiedzę o zbrodniarzach wojennych.

Rudolf Schacht mieszkał w kamienicy przy Kantstraße w Charlottenburgu. Trzymała się nieźle, ale lokal zajmowało kilka rodzin, a denat zajmował zaledwie jeden z pokoi. Inaczej niż u doktora tu panował porządek. Wnętrze urządzone było wręcz ascetycznie, bo znajdowało się w nim tylko zdezelowane łóżko i prosta szafa. Erik nie znalazł żadnych bibelotów czy pamiątek. Było tu jak w bezosobowym pokoju hotelowym. Jak się okazało, Schacht wprowadził się do niego jakieś pół roku wcześniej, a i tak ostatnio w ogóle nie przebywał w miejscu zamieszkania.

Otworzył szafę i znalazł równie ubogą garderobę, co w przypadku Kleina. Koło starej, porysowanej szafy stała sfatygowana walizka. Zajrzał do niej, ale jedyne, co znalazł, to bilet na parowiec z Aleksandrii do Marsylii, datowany na dwa tygodnie przed zabójstwem. Tak jakby wrócił z podróży i kilka dni później zamordowano jego przyjaciela. Gdyby żył, zapewne znalazłby się w gronie podejrzanych. Jednak wyjaśniło się, dlaczego nie przebywał pod wskazanym adresem.

Najbardziej irytujące było to, że wiele wątków prowadziło do Egiptu, a Weber miał związane ręce. Lokatorzy gremialnie stwierdzili, że Schacht był podejrzanym typem. Z nikim nie rozmawiał, ograniczając się jedynie do zdawkowych „dzień dobry”.

Gdy już zbierał się do wyjścia, jedna z kobiet powiedziała:

– Przypomniało mi się coś...

W Erika od razu wstąpił nowy duch. Nareszcie ktoś miał dla niego jakieś informacje.

– Co takiego? – zapytał i ponownie otworzył notes.

– Może wejdziemy do mnie? – zaproponowała.

Zgodził się bez wahania, licząc, że na osobności kobieta może mu powiedzieć coś więcej. Może sypiała z nim? Wyglądała na babeczkę, która chętnie nawiązałaby jakąś ciekawą relację z mężczyzną. Krygowała się bezustannie, poprawiała włosy i kierowała w jego stronę powłóczyście spojrzenie.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, usiadła na krześle, zakładając nogę na nogę. Rozpinana sukienka uniosła się, odsłaniając jej dość apetyczne uda. Przycupnął obok i powiedział ciepło:

– Proszę mówić, pani...

– Elise Schwartz. – Kobieta uśmiechnęła się do niego, a potem oblizwała usta. Zapewne niejednen amant by się na nią skusił.

– Więc?

– Zaraz jak pan Schacht wrócił z podróży, no nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, wieczorem odwiedził go jakiś mężczyzna. Taki postawny, dość przystojny, około pięćdziesiątki. Posiedział może ze dwie godziny i wyszedł. Wie pan, nawet mi się spodobał, to wyszłam do przedpokoju, gdy usłyszałam, że u pana Rudolfa otwierają się drzwi. I wydawało mi się, że albo pokłócił się z panem Schachtem, albo ten przekazał mu jakieś złe wieści. Nie słyhać było żadnej awantury, więc myślę sobie, że raczej usłyszał coś niepokojącego.

– A skąd takie przypuszczenie?

– Kiedy zadzwonił i otworzyłam mu drzwi, był bardzo uprzejmy i uśmiechnął się do mnie. Gdy wychodził, wyglądał na przybitego i nawet się nie pożegnał. Staralam się go zagadnąć, wspomniałam, że pogoda jest okropna, ale on nie odpowiedział, tylko wyszedł ze spuszczoną głową. No, wie pan...

– Rozumiem. Ale nie słyszała pani, o czym rozmawiali? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie, oni dość cicho rozmawiali, nic nie było słyhać – odparła nieco zmieszana.

Być może miała ochotę ich podsłuchać i słabo jej to wyszło. Weber odnosił jednak wrażenie, że co nieco wpadło w ucho przystojnej lokatorce z Kantstraße, jedynie wstydzila się swojego wścibstwa.

– Może jednak... Wszystko może być ważne – jęknął.

– Ten, co przyszedł, tylko raz podniósł głos. Wykrzyczał coś takiego, że wszystko jej powie. Czy raczej: „Ona musi dowiedzieć się prawdy”. I jeszcze że ktoś ich

oszukał. To wszystko, przyrzekam. – Elise uderzyła się w obfite piersi, chyba na znak, że mówi prawdę i niczego nie ukrywa.

Na szczęście zabrał z biura zdjęcie, które mężczyźni zrobili sobie z feldmarszałkiem. Pokazał je pannie Schwartz, a ona od razu wskazała Kleina. To był ten mężczyzna, który odwiedził jej sąsiada. Problem w tym, że doktor już niczego nie mógł im powiedzieć. Oczywiście Rudolfa Schachta także rozpoznała bez najmniejszego trudu i cienia wahania.

Nazajutrz Weber był tak przybity, że zaszedł do biura Connora Evansa, ale ten ostatnio miał zbyt wiele zajęć, by spędzać popołudnia na piwie. Po ogłoszeniu planu Marshalla, którego nie zaakceptował Stalin, relacje między Sowietami a aliantami zrobiły się bardzo napięte i wciąż dochodziło do jakichś prowokacji. A Evans miał między innymi łagodzić sytuację i starać się utrzymywać względny porządek w mieście.

I gdy już Erik sądził, że tego dnia będzie pić do lustra, do biura wpadła ta męcząca dziennikarka z rubryki kryminalnej. Pomyślał, że może prywatnie nie jest tak uparta i dociekliwa, i zaproponował jej piwo. Na szczęście nie musiał żałować swojego zaproszenia, ponieważ Karen okazała się całkiem miłym kompanem. Gdyby lubił kobiety, na pewno zwróciłby na nią uwagę, bo miała nieco ciemniejszy kolor skóry niż ludzie z tej części świata. Śmiał się nawet z niej, że jest idealną kandydatką na współniczkę mordercy. Być może u Brenerów zdarzyło się wymieszanie krwi, w końcu Niemcy także mieli swoją kolonię. Nie wypytywał jej jednak o to. Zastanawiał się jedynie, jak się zdołała uchować w Berlinie, gdy rządzą nim naziści, kompletnie zafiksowani na tle czystości rasowej. Miał nadzieję, że gdy lepiej się poznają, Karen sama opowie mu historię swojej rodziny.



Okolice Oranienburga, 1947

Rodzina Dagenhardtów zajmowała dom znajdujący się kilka kilometrów za rogatkami Oranienburga. Oprócz Hermanna i jego żony Helgi mieszkali w nim także ich dorośli dzieci – córka Gertrude z mężem i wnukiem, a także syn Lucas.

Lubiła Hermanna, bo zawsze okazywał jej wiele serdeczności i szczerze interesował się jej losem, gdy w jej życiu zabrakło ojca. Jego żona i córka były dla niej wredne, a Lucas należał w Kairze do grupy bogatych, rozwydrzonych młodzieńców, którzy trwonią pieniądze podczas gier karcianych i w alkowach luksusowych domów publicznych, a to kompletnie nie był jej świat, mimo że pracowała w nocnym lokalu. Pomyślała, że pewnie teraz młodemu Dagenhardtowi było wyjątkowo trudno. Musiał przywyknąć do tego, że dawne czasy się skończyły. Chociaż pieniądze pozwalały na hulaszczy tryb życia w każdym miejscu, nawet w zubożalej Europie.

Odkąd rodzina Dagenhardtów przybyła do Niemiec, Ann-Katrin często się zastanawiała, dlaczego postanowili przenieść się do tego straszego miejsca. Ten kraj obecnie nie miał swoim mieszkańcom do zaoferowania nic oprócz biedy i poniżenia. Byli wyklęci, znienawidzeni i godni potępienia. Dopiero od niedawna zaczęło się coś zmieniać, jednak wciąż istniał podział na dobrych i złych Niemców. Tych pierwszych była garstka, reszta zaś miała zapłacić wysoką cenę za wyniszczającą wojnę, która niemal całą Europę doprowadziła do ruiny. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to jakieś rodzinne kłopoty, które sprawiły, że musieli uciekać na inny kontynent.

Zapewne nie miałyby nawet pojęcia, że postanowili rozpocząć nowe życie w zrujnowanym kraju, gdyby nie spotkała Gertrude w biurze poszukującym osób zaginionych. Wtedy dopiero zaczęła pracę w „Die Neue Zeitung”

i przygotowywała materiały dla innych dziennikarzy. Tego dnia wysłano ją po statystyki dotyczące liczby zgłoszeń osób zaginionych i odnalezionych.

– Gertrude! – krzyknęła wówczas.

Sądziła, że wiecznie nadęta córka Dagenhardtów chociaż w takiej chwili się ucieszy na jej widok, ale Ann-Katrin odniosła wrażenie, że kobieta najchętniej by czmychnęła z tego miejsca i udawała, iż nie spotkała swojej znajomej z Kairu. Nigdy się nie zaprzyjaźniły. Właściwie nic ich nie łączyło, a to dlatego, że Gertrude nią pogardzała. Oczywiście z uwagi na jej przodków, a raczej ciemnoskórą babkę, która pochodziła z plemienia Herero, żyjącego w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej.

– Ann-Katrin – wydukała pobladła Gertrude i zaczęła się rozglądać, jakby szukała drogi ucieczki.

– Posłuchaj... teraz nazywam się Karen Brener – powiedziała ściszym głosem.

– Wiesz, to z powodu moich problemów w Kairze. Nawet wuj nie byłby w stanie mnie z nich wyciągnąć. A tutaj kręci się pełno Brytyjczyków i nie wiadomo, jakie akta przywieźli z Egiptu. Może umieścili mnie w jakimś karnym rejestrze.

– Rozumiem – bąknęła. – Zapamiętam.

– Lepiej powiedz, co robisz w Berlinie, a może w ogóle w Rzeszy.

– Nie ma już Rzeszy – mruknęła. – Ojciec powiedział, że odkąd Brytyjczycy na dobre opuścili Egipt, nie ma tam sprzyjających warunków do robienia interesów.

– A tu są? – Zaśmiała się.

– Nie wiem, ojciec podjął taką decyzję, jego zapytaj. Zapiszę ci adres, przyjeżdż któregoś dnia. Kolej już dojeżdża do Oranienburga, a stamtąd będziesz do nas miała niedaleko.

– A kogo szukasz? – wyrwało się Ann-Katrin.

– Koleżanki – odparła i uciekła wzrokiem na ścianę z przyczepionymi kartkami, co często było lepszą formą komunikacji aniżeli przepelnione biura.

Nie uwierzyła jej, Gertrude, podobnie jak ona, spędziła całe swoje życie na innym kontynencie i raczej nie miała znajomych w Rzeszy. Ale kto wie, kiedyś wuj Hermann z rodziną często podróżowali do Europy i może Gertrude się z kimś zaprzyjaźniła. A może miała kochankę z Afrika Korps i z uwagi na męża nie chciała się do tego przyznać? Nie zamierzała jednak naciskać na Gertrude, bo, prawdę mówiąc, nie bardzo ją obchodziło, kogo szukała.

Dagenhardtów odwiedziła dwa tygodnie później, ale przez ten cały czas zachodziła w głowę, co takiego się wydarzyło, że ta rodzina przywlekleła się do Europy, jeśli w Kairze mieli swoje interesy, znajomych i swoich zaufanych i mocno skorumpowanych urzędników.

Przypomniała się jej pewna scena, która rozegrała się w domu Dagenhardtów, a która miała ogromny wpływ na ich życie. W trzydziestym ósmym roku jej wuj pochwalił się interesem, który powinien mu przynieść krocie. Oto zjawilo się u niego dwóch Egipcjan. Mieli ze sobą aktówkę, którą za sute wynagrodzenie przekazali wujowi. Akurat zupełnie przypadkiem Ann-Katrin trafiła na ten moment. Hermann, widząc ją w swoim salonie, zmieszał się trochę, ale po chwili jak zawsze się do niej uśmiechnął i ucałował ją czule.

– Poczekaj na patio, skarbie. Dobijam właśnie targu, potem ci wszystko opowiem – powiedział ściszone głosem.

Nie było to niczym niezwykłym, wuj robił rozliczne interesy. Odprowadził ją na patio i polecił swojej służącej, żeby przygotowała dla Ann-Katrin coś do picia.

– Wujku, aż mnie korci, żeby zapytać... Co jest w tej teczce? Materiały szpiegowskie? – zapytała ze śmiechem.

– Nie bawię się w takie gównno. To bardzo ciekawe dokumenty. Ci dwaj pracują dla kairskiej policji. Przez przypadek natrafili na kwity dotyczące pewnej działki nad Suezem. Jest do kupienia za całkiem przyzwoite pieniądze, a jest warta jakieś sto razy więcej. Nie z powodu tego, co jest na niej, tylko pod nią... Ogromne złoża ropy naftowej.

– I rząd pozwoli ci ją kupić? – zapytała, bo w tym kraju wszystko było możliwe.

– Dogadam się z Hamidem Faroukiem – odparł Hermann i zatarł dłonie.

Hamid Farouk był szemranym typem i jasne było, że gdy tylko nadarzy się okazja, pozbędzie się Dagenhardta z interesu. Gdyby nie jego koneksje, także wśród Brytyjczyków, zapewne wuj nie zechciałby wchodzić z nim w spółkę.

Wtedy właśnie Ann-Katrin pomyślała, że wuj musi mieć naprawdę szerokie wpływy, jeśli policjanci bez zażenowania sprzedawali mu poufne informacje.

Na nieszczęście Hermann wybrał sobie także innego współnika. Jej ojca. Zaakceptowała pomysł, ale długo nie mogła zrozumieć, dlaczego Adio Schneider

się na to zgodził. Nie potrzebował wiele, mógłby utrzymać ich z procentów, a i ona nie musiała prowadzić trybu życia księżniczki. Jedyne zaś, czego pragnęła Latifa, to najeść się do syta i być kochaną. Ojciec przekonał Ann-Katrin, że musi zabezpieczyć dostatni byt swoim dwóm córkom, chociaż ta druga została nią całkiem niedawno...

Śmiała się niekiedy, mówiąc:

– Będę właścicielką szybu naftowego. Kupię sobie elegancką limuzynę i piękne stroje, a gdy dotrę na swoją działkę, zamienię kiecę na spodnie z szelkami.

– Ann-Katrin, pamiętaj, pieniądze mogą dać wolność i szczęście tylko wtedy, gdy będziesz mądrze je traktowała. Nie chodzi o wydatki, ale o to, byś nie straciła z oczu czegoś ważniejszego i potrafiła się cieszyć życiem, nawet jeśli wszystko stracisz.

– To rzeczywiście bardzo mądre – zakpiła.

– W życiu różnie bywa – odparł.

Ona lubiła śpiewać i tańczyć, ojciec wolał, by się wykształciła. Poszli na kompromis, ponieważ uczęszczała zarówno na lekcje śpiewu i tańca, jak i do niemieckiej szkoły.

A jednak przyszedł moment, gdy ojciec i wuj odkryli, że dwaj egipscy policjanci są oszustami. Pod działką nie było ropy, a jej ojciec stracił wszystkie pieniądze. Nawet nie mieli się komu poskarżyć, a i owi policjanci zniknęli nie wiadomo gdzie. Dla Hermanna nie stanowiło to tragedii, był podobno dużo bogatszy od swojego przyjaciela, ale Schneiderowie mogli się pożegnać z luksusami, a ona ze szkołą w Europie, do której zapragnął wysłać ją ojciec. Nie zmąciło to jednak jej szczęścia. Żyli skromniej, ale nie biedowali.

Kilka miesięcy później, gdy interes z roponośną działką nie wypalił, ojciec został zamordowany. Nie miała pojęcia, jak by sobie wtedy poradziła bez wsparcia wuja Hermanna.

– Wujku, jak dobrze cię widzieć – przywitała się z Hermannem.

– Dziecko kochane – odparł i mocno ją przytulił.

Zrobiła to również jego małżonka, ale jak zawsze w jej głosie można było wyczuć chłód.

– Dlaczego tu przyjechaliście? Przecież tu się nie da żyć – zapytała prosto z mostu.

– Stary Kontynent potrzebuje kapitału, a w Kairze bez Brytyjczyków to już nie to samo.

Helga dziwnie prychnęła, ale Hermann zgromił ją wzrokiem. Najwyraźniej jej pomysł powrotu do Europy niezbyt się spodobał.

– Tak czy inaczej, bardzo się cieszę, że was widzę. I macie piękny dom. Dzisiaj to wielki luksus.

– To prowincja. Chociaż na pewno mamy lepiej niż mieszkańcy Berlina czy Drezna – odparł wuj i dodał: – A ty nie myślałaś, żeby przenieść się do jakiejś mniejszej miejscowości, ale mniej zrujnowanej?

– W Berlinie dużo się dzieje i odbudowa szybko postępuje, a ja przywykłam do wielkiego miasta. Chyba nie potrafiłabym się odnaleźć na prowincji. Poza tym, wujku, łatwiej zniknąć w tłumie, a wiesz, że Brytyjczycy łatwo mi nie odpuszczą. Winna czy niewinna, ale zamieszana byłam. Nie chcę spędzić reszty życia w więzieniu za coś, czego nie zrobiłam, ale kto mi uwierzy?

– Masz słuszność. Niedługo alianci się wyniosą, ale czy odpuszczą...

Nie wiedziała, jak będzie, więc jedynie wzruszyła ramionami. Nie chciała mówić Hermannowi, że taki jeden się na nią wziął i zapewne nie spocznie, dopóki jej nie dopadnie, ale czy wyjazd na prowincję coś by zmienił? Musiałaby chyba uciec do Ameryki Południowej, ale wciąż nie posiadała paszportu na swoje fałszywe nazwisko, tylko jakiś gówniany kwitek z Czerwonego Krzyża. Poza tym chciała rozwikłać tajemnicę śmierci Latify, a do tego potrzebny był jej William Irving. Niestety, żeby go odszukać, także potrzebowała paszportu.

Dagenhardt postanowił zmienić temat.

– Pamiętasz doktora Kleina? – zapytał z żalością w głosie.

– Oczywiście – odparła z kluską w gardle.

– Biedak nie żyje. Został brutalnie zamordowany – westchnął Hermann. – Co za tragedia! Przeżył wojnę, a kiedy ta się skończyła, jakiś bandzior go zamordował.

– Wiem, wujku, pisałam o tym w swojej rubryce. Na początku w ogóle nie skojarzyłam, o kogo chodzi, w końcu mogła to być zbieżność nazwisk, ale gdy się

dowiedziałam, że ofiara służyła w Afrika Korps, wszystko stało się jasne.

– Widziałaś się z nim wcześniej? Tu, w Berlinie? Ja nawet nie miałem pojęcia, że tutaj zamieszkał, ale Alfredowi zawsze były bliskie sprawy kraju. Zapewne teraz chciał mu służyć w inny sposób.

– Niestety nie, wujku. Ja także nie wiedziałam, że wrócił. Zresztą to nie był mój bliski znajomy, abym miała się interesować jego losami – skłamała.

– To był porządny człowiek i porządny Niemiec.

– Słabo go znałam. Powiedz, wujku, zanim wyjechałeś, krążyły o mnie jakieś plotki? – zagadnęła, przygryzając usta. Nie chciała już rozmawiać o Kleinie.

– Pewnie. Niemcy byli z ciebie dumni, Brytyjczycy się odgrażali, ale nie roztrząsali tego, bo w końcu ten ich prominent się nie popisał, a Egipcjanie, jak to oni, mieli wszystko w nosie. Najbardziej żalowali, że już im nie zaśpiewasz.

– A ty nie miałaś żadnych kłopotów? Przeze mnie?

– Niechby spróbowali mnie ruszyć. – Wuj zrobił groźną minę. Kiedy zapytała, jak radzi sobie Lucas, Hermann uśmiechnął się i powiedział: – Dorósł. W końcu. Prowadzimy mały sklepik. Lucas liczy, że za kilka lat będzie to wielki dom handlowy. No, zobaczymy.

Naprawdę Hermann uważał, że o takie drobne interesy chodziło jego synowi? Jeszcze do niedawna potrafił w ciągu jednej nocy przepuścić równowartość takiego sklepiku. Chyba zrobiła dziwną minę, ponieważ dodał ściszone głosem:

– Wiesz, że mój syn lubił się pakować w kłopoty. Nie chcę, by zajmował się czymś większym. A ja jeszcze mam siły, żeby pewne rzeczy załatwiać samemu. Rozumiesz, co mam na myśli. – Puścił do niej oko.

Nie wypytywała, jakież to wielkie interesy prowadził jej wuj. O takich kwestiach Hermann nigdy z nią nie rozmawiał. Był człowiekiem starej daty, który uważał, że są to męskie sprawy.

Posiedziała w domu Dagenhardtów jeszcze trochę, ale z uwagi na dzieci Hermanna odmówiła pozostania na noc. Wykpiła się, że nie zdąży rano do pracy. Wuj zaproponował, żeby Lucas odwiózł ją na dworzec. Zgodziła się bez wahania. Chwilami miała dosyć marszruty, a komunikacja szwankowała w całych Niemczech.

Gdy dotarli na stację, zsiadła z motocykla i poprawiła rozwiane włosy.

– Dziękuję – powiedziała gromko.

Lucas zgasił silnik i zapytał:

– Nie poszłabyś ze mną... gdzieś...? Może potańczyć?

– Pewnie brakuje ci znajomych. – Uśmiechnęła się, chociaż nie miała najmniejszej ochoty na spotkania z nim.

– Najbardziej brakowało mi ciebie – odparł.

– Przestań – westchnęła.

– Poprosiłem cię o rękę, a ty mi odmówiłaś – powiedział cicho.

– Proszę, naprawdę zamierzasz do tego wracać? – bąknęła.

Owszem, kiedyś Lucas się jej oświadczył. Był wtedy pijany i upalony haszyszem. Nie potraktowała tego poważnie, a on nigdy nie powrócił do tego tematu.

– Nie, chcę się z tobą umówić. – Roześmiał się i dodał: – Nie musimy się spotykać jak kochankowie, ale jak przyjaciele.

– W takim razie zostawię ci adres i numer telefonu do mojej redakcji. – Wyciągnęła z torby notes. Zawsze nosiła go przy sobie.

Rozumiała, że Lucas czuł się samotny. Od pewnego czasu również jej towarzyszyło podobne uczucie. W pociągu nie myślała jednak o młodym Dagenhardcie, ale o Latifie. Gdyby jej z ojcem nie pomogli, zapewne umarłaby w jakimś zaułku, ponieważ oprócz tego, że była niedożywiona, dziewczynka cierpiała na dezynterię. Ojciec nie szczędził pieniędzy i znalazł dla niej najlepszych lekarzy w Kairze, a gdy Latifa wyzdrowiała, pozostała z nimi na zawsze. Zaczęli ją traktować jak członka rodziny i Ann-Katrin w pewnym momencie nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez ciemnoskórej dziewczynki, której śmiech rozpraszał wszystkie smutki. Bardzo jej brakowało przyszywanej siostry, przy niej nigdy nie czuła się samotna.

Tak, kiedyś żyło im się we troje całkiem dobrze. Niestety, do czasu... Kiedy zginął ojciec, wszystko spoczęło na jej barkach, a ona nie było mistrzynią inwestowania i wkrótce przejadły większość tego, co zostawił po sobie Adio Schneider. Natomiast to, co było najcenniejsze, musiało przez jakiś czas pozostać w ukryciu.

*Berlin, 1947*

Erik odwiedził majora Evansa, ponieważ potrzebował rady. Śledztwo dotyczące Kleina i Schachta utknęło, a nic powiązań wiodła do Kairu.

– Connor, siedziałeś tam całe lata. Co ja gadam, wychowałeś się tam. Masz jakiś pomysł, jeśli chodzi o te morderstwa? Gdyby faceci okazali się jakimiś farbowanymi liskami, którym udało się prześlizgnąć przez weryfikację, i okazałoby się, że pracowali w gestapo albo innej parszywej formacji, miałbym pewną hipotezę. Mogłoby chodzić o zwykłą zemstę. Przecież Żydzi robią to często, jeśli nie mogą się doczekać sprawiedliwego osądzenia ich oprawców. Nie żał mi tych zbirów i tak finalnie poszliby na stryczek, ale żołnierze Afrika Korps nie pasują mi do tego obrazka.

– A nie pomyślałeś, że może chodzić o jakieś wewnętrzne rozgrywki? Człowieku, tam rządzą gangi. To świat ciemnych interesów, a w takim środowisku konflikty rozwiązuje się gnatem. Przecież te ślady plądrowania mówią same za siebie. Każdy chce uszczknąć coś dla siebie w nadziei, że będzie miał wystarczająco dużo forsy, żeby wyjść z podziemia i ułożyć sobie życie gdzieś, gdzie ludzie mieszkają w normalnych domach, a chleb nie jest na bony. Jedyne, co masz, to zdjęcie paru facetów w mundurach. Wszyscy gdzieś walczyli, to nic nie znaczy.

– Zależli za skórę komuś w armii i nagle po dwóch latach od zakończenia wojny ci dokonują zemsty? – zdziwił się Weber.

– A pamiętasz, jaki panował burdel po kapitulacji? Może dopiero teraz się odnaleźli. Posłuchaj, kiedy Rommel odnosił sukcesy i szedł przez pustynię jak burza, ludzie z jego armii zgarniali wszystko, co miało jakąś wymierną wartość. Podobno za święty spokój domagali się okupów i zgromadzili kilka okazałych skrzyń ze złotem i cennymi dziełami sztuki. Musiało być coś na rzeczy, ponieważ

w czterdziestym trzecim do poszukiwań złota Rommla zatrudniono szkockiego, a gwoli ścisłości bardziej litewskiego, króla kasiarzy z Glasgow, Johnny'ego Ramensky'ego. Dowództwo dało mu kilku naszych komandosów i mieli odnaleźć najcenniejsze skarby „Lisa Pustyni”. Bezskutecznie. Kto wie, może któryś z nich coś wiedział, dobrał się do sezamu i nie podzielił się z innymi? – zastanawiał się nad różnymi wariantami. – Pamiętam, jak krążyły plotki, że ten cenny ładunek został zatopiony przez żołnierzy u wybrzeży Libii, potem ktoś szeptał o Korsyce. Ale nie umiem ci powiedzieć, ile było w tym prawdy, bo nie bardzo się tym interesowałem.

Znalezione w domu Kleina zdjęcie leżało na biurku Connora niczym wyrzut sumienia.

– Jesteś pewien, że oprócz doktora Alfreda Kleina nie rozpoznałeś żadnego z nich? – Erik zapytał kolejny raz o to samo. Być może hipoteza o złocie Rommla nie wydała mu się zbyt wiarygodna.

– No i jeszcze feldmarszałka, ale nie poznałem go osobiście. – Zaśmiał się. – Nie miałem pojęcia, że doktor Klein jest z Afriki Korps. Może powinienem być bardziej czujny... Na swoje usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że zamieniłem z nim kilka zdań i widziałem go ze dwa razy. Mój przyjaciel William chyba znał go trochę lepiej, ale też raczej towarzysko. Gdybym wiedział...

– Zdaje się, że facet był całkiem w porządku. W szpitalu miał świetną opinię, nie tylko jako dobry fachowiec. Poza tym gdyby był zamieszany w ukrywanie jakichś skarbów, nie robiłby tego w Berlinie. Może chodzi o coś innego?

– Może handlował lekami i na tym się dorobił, a potem nie podzielił się z kumplami? Naprawdę niewiele mogę powiedzieć o tym facecie, ale napiszę do Williama. On był bliżej ludzi, którzy prowadzili szemrane interesy. Zawsze potrafił zdobyć świetny alkohol za przyzwoitą cenę. – Evans się uśmiechnął, ale wcale nie było mu do śmiechu.

Właśnie przed chwilą okłamał komisarza niemieckiej policji. I właściwie nie miał pojęcia dlaczego. Owszem, rozpoznał kogoś jeszcze. Markusa Sterna, jednego z najlepszych szpiegów Rommla i swoją największą porażkę. Nie wstydził się już, że z nim przegrał, ale w sprawę wmieszana była Ann-Katrin, a on nawykł, żeby chronić ją za wszelką cenę, nawet jeśli nie miało to sensu. U licha, po co jego była kochanka miałaby mordować i torturować jakichś niemieckich oficerów? Jednak gdyby puścił parę z ust, mogłaby mieć poważne kłopoty z innymi służbami.

Zresztą czego mógł się spodziewać po Ann-Katrin? Przecież było wiadomo, że jeśli natrafi na jakieś bagno, to na pewno w nie wdepnie. Tak, mieli do wyrównania rachunki, ale to były ich prywatne sprawy i nikogo nie powinny interesować.

– Nie słuchasz, co mówię... Ta dziennikarka jest naprawdę ładna.

– Masz rację, nie słuchałem – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Dobry z ciebie kumpel, ale proszę, nie swataj mnie z nikim, dobrze? Mam teraz naprawdę roboty co niemiara, Sowietci zaczynają szaleć.

– Przepraszam. Zresztą po co miałbym to robić, jeśli wolnych i chętnych Niemek są w Berlinie tysiące i każda z nich z ochotą wyszłaby za Brytyjczyka – zakpił.

Rzeczywiście Niemki polowały na brytyjskich mężów. Nie dlatego, że byli tacy wyjątkowi, ale pragnęły wyrwać się z biedy. Dzięki takim mariażom mogły wyjechać do Anglii i nie głodować. Niektóre miały po szesnaście lat, gdy proponowały żołnierzom, że chętnie za nich wyjdą.

– Właśnie. – Poklepał Webera po ramieniu. – Mogę przebierać jak w ulęgalkach, więc poradzę sobie.

– Dobrze, poddaję się. I proszę, jeśli uda ci się porozmawiać telefonicznie ze swoim kumplem, zapytaj go o Kleina i Rudolfa Schachta. Listy strasznie długo idą, nawet te służbowe.

– Nie ma sprawy. Ty naprawdę chcesz rozwiązać tę sprawę.

– Albo będziemy poważną policją, albo ten burdel nigdy się nie skończy – odparł Weber. – Nawet jeśli nie znajdę drania, muszę mieć poczucie dobrze wypełnionego obowiązku.

Connor po wyjściu Erika zachodził w głowę, o co może chodzić w sprawie morderstw mężczyzn z fotografii. Czy to przypadek, że pozwali razem do tego zdjęcia? I co ich łączyło ze Sternem? Może dobrze kombinował i stanowili szajkę, która się pokłóciła o skradzione dobra?

Nazajutrz przemierzał ulice Berlina zdezelowanym gazikiem, gdy zobaczył idącą szczupłą kobietę w niekształtnych wojskowych spodniach polowych. Nie z powodu stroju zwrócił na nią uwagę, ponieważ ludzie zakładali to, co udało się im zdobyć i niekiedy potrafili wyglądać dziwnie. Jednak ona kręciła pośladkami w sposób, który doskonale pamiętał. A w dodatku miała długie ciemne, niemal czarne włosy

zebrane w koński ogon. Serce zaczęło mu walić, jakby za chwilę miało wyskoczyć przez gardło. Podjechał bliżej i zatrzymał samochód.

Odgłos hamowania sprawił, że dziewczyna odwróciła głowę. Ich spojrzenia się spotkały. W ułamku sekundy jej wzrok zmienił się diametralnie. W oczach Ann-Katrin dostrzegł bowiem autentyczne przerażenie. Poczł dziwną satysfakcję. Już nie patrzyła na niego z butą i pogardą, ale przestraszyła się go.

Nie zdążył się zastanowić, jak się z nim przywita i czy po chwili rozmowy znowu stanie się bezczelna, ponieważ kobieta rzuciła się do ucieczki.

– Zaczekaj! – krzyknął, ale nie zareagowała.

Zanim zdążył wyjąć kluczyki i wysiąść z auta, Ann-Katrin zniknęła w jednej z zagruzowanych uliczek. Biegł na oślep jak idiota i dopiero gdy nie był w stanie złapać tchu, zatrzymał się i zaczął rozglądać po zrujnowanych domach. Panna Schneider mogła się ukryć w każdym z nich. Jego pościg nie miał sensu, a on musiał wrócić do auta, zanim ktoś rozbierze je na części albo powybija w nim szyby.

Nie był załamany, wręcz przeciwnie – uśmiech nie schodził mu z ust. Jeśli Ann-Katrin mieszkała w Berlinie, tak jak się tego spodziewał, wcześniej czy później się na nią natknie. Panna Schneider nie miała już dokąd uciec i wiedziała, że nadejdzie taki dzień, kiedy stanie z nim twarzą w twarz. Bała się go, i bardzo dobrze. Za te zmarnowane lata należała się jej kara. Za to, co zrobiła, i tak nie była wysoka.

Tak, cyniczna i wyrachowana Ann-Katrin właśnie została zapędzona w kozi róg i teraz codziennie będzie się musiała oglądać za siebie i zasypiać z zaciskającą się na jej szyi niewidzialną obręczą strachu.

Gdy odpłynęła statkiem Royal Navy do Europy, on zastanawiał się niemal codziennie, jak sobie poradziła w nieznanym jej miejscu i w dodatku bardzo niebezpiecznym. Czy znalazła bogatego kochanka, czy może śpiewała w jakiejś włoskiej knajpie swoje szlagiery, bo tam jej oliwkowy kolor skóry nie budziłby sensacji. A potem puknął się w głowę. Markus Stern, pochodzący z Berlina, był jej coś winny. Uratowała mu życie i sypiała z nim. Dlatego wydedukował, że właśnie tam się udała.

Był ciekawy, czy w końcu zostali parą. Kolejny raz się uśmiechnął. Stern nie tylko był niemieckim szpiegiem, ale najpewniej miał na sumieniu brytyjskiego

pułkownika Paula Wintera i kilka innych osób. Naprawdę chętnie zobaczyłby tego drania na ławie oskarżonych. A wyrok mógł być tylko jeden. Jednak marzył o tym nie z powodu tego głupca, Wintera, który dał się podejść Ann-Katrin jak dzieciak, ale miał ze Sternem własne rachunki do wyrównania. Connor Evans był jedynakiem i nie lubił się dzielić z innymi. Dotyczyło to także kobiet.

Kiedy wrócił do swojego biura, zajrzał do niego jeden z sierżantów. Przyniósł mu kopertę z dokumentami i powiedział:

– Kapitanie, słyszał pan najnowsze plotki? Podobno Rommel wcale nie umarł na zawał serca, ale popełnił samobójstwo.

– Może wiedział, że Rzesza pada i nie chciał na to patrzeć – odparł Connor.

– Podobno on także był spiskowcem i nawet chciał zostać prezydentem po śmierci Hitlera. Amerykanie znaleźli w archiwach gestapo zeznania spiskowców. Jeden z nich wydał Rommla, a reszty dowiedziało się Counter Intelligence Corps. – Sierżant był wyraźnie podekscytowany.

– Może znaleźli żonę Rommla – odparł.

– Nie pytałem, kapitanie. – Uśmiechnął się i odmeldował.

Evans zajął się meldunkami od dowódców, ale pierwszy raz od dawna marzył, by jak najszybciej zakończyć swoje zajęcia. I ani przez chwilę nie zastanawiał się nad rewelacjami dotyczącym feldmarszałka w roli spiskowca.

Wrócił do domu i zaczął sporządzać notatki na temat tego, czego dowiedział się od Erika Webera i o czym sam wiedział. Po stronie niemieckiej wypisał nazwiska doktora Kleina, Rudolfa Schachta i tego gnojka, Markusa Sterna. Po egipskiej – rodzinę Dagenhardtów oraz szemranego biznesmena, Hamida Farouka, i jego syna.

Co wiedział o rodzinie Dagenhardtów? Nestor rodu, Hermann, był niemieckim osadnikiem i dopiero gdy Niemcy straciły kontrolę nad terenem w Afryce Południowo-Zachodniej, przybył do Kairu. Robił rozliczne interesy i niejako był pośrednikiem pomiędzy Europą a Arabią. Wiedział, że stary Dagenhardt przyjaźnił się z dziadkiem Ann-Katrin. Obaj byli pionierami w niemieckiej kolonii. Panna Schneider bardzo dobrze wyrażała się o Hermannie, natomiast niezbyt dobre relacje miała z jego dziećmi – córką Gertrude, żoną jakiegoś kompletnego fajtlapy, i synem Lucasem, utracjuszem i hazardzistą. Cała rodzina miała egipskie paszporty, ale wciąż dumnie nazywali siebie Niemcami. Zapewne sympatyzowali

z reżimem Hitlera i nie tolerowali Ann-Katrin z powodu koloru jej skóry. Biologiczną babką panny Schneider była bowiem czarnoskóra kobieta z plemienia Herero.

William Irving miał kontakty z Hamidem Faroukiem i jego synem, poznał go również pewnego dnia z doktorem Kleinem. Czy wiedział, że rozmawiał z lekarzem Rommla? Raczej nie, walczyli ostro ze Szwabami i trzęśli się, by „lisy pustyni” nie zajęły Kairu. Gdyby jego przyjaciel o tym wiedział, na pewno wykorzystałby tę znajomość. William, podobnie jak Evans, uwielbiał odnosić sukcesy w swoim fachu i nie lekceważył żadnej szansy, by dopiąć swego.

Niewiele wiedział o Adio, ojcu Ann-Katrin. Tylko tyle, że ten pożegnał się z życiem w dość młodym wieku. Został zamordowany przez jakichś bandziorów, którzy włamali się do ich domu. Schneiderowie także byli niemieckimi rezydentami w Kairze. Po jego śmierci Adio jego córka sprzedała dom i razem z Latifą, dziewczynką, którą stary Schneider postanowił się zaopiekować, przeniosła się do dużo mniejszego. Gdy przygarnęli tę sierotę, miała zaledwie dziewięć lat, a Ann-Katrin traktowała ją jak młodszą siostrę i czuła się za nią odpowiedzialna.

Czekał na odpowiedź od Williama. Gdyby ten podrzucił mu jakiś trop, spróbowałby się czegoś dowiedzieć w Kairze. Po zakończeniu wojny ludzie powinni być bardziej rozmowni. No i w końcu odwiedziłby matkę. Zapewne znowu będzie go namawiała na pozostanie w Egipcie, ale nie zamierzał się ugiąć. Jego życie w Arabii się skończyło.

Powrócił do powiązań między morderstwami w Berlinie i ludźmi mieszkającymi w Kairze i coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że chodziło o jakieś szemrane interesy pomiędzy żołnierzami Rommla i egipskimi handlarzami. Niemieccy żołnierze potrzebowali forsy, a nie złotych figurek.

Doktor Klein był widywany w lokalu Alladyn, w którym śpiewała i tańczyła Ann-Katrin. To tam lubili się zabawiać brytyjscy oficerowie i zapewne dlatego pojawił się w tym miejscu również następca „Kondora”, szpicel Markus Stern. Metoda zawsze była podobna jak w przypadku poprzedniego szpiega z Kairu, Epplera. Kaperował atrakcyjne dziewczyny, napuszczał je na wysokich rangą brytyjskich wojskowych, a kiedy te szły z nimi do łóżka, Stern mógł się dostać do zawartości ich służbowych aktówek. Problem w tym, że „Kondor” zachowywał się niefrasobliwie, zwłaszcza że miał opłaconych policjantów egipskich i czuł się

bezkarny, Markus natomiast był dużo ostrożniejszy i namierzyli go przez przypadek. A może raczej jego nadajnik, który umieścił w domu Ann-Katrin.

Nie mógł się doczekać listu od swojego przyjaciela, dlatego postanowił, jak sugerował Erik Weber, połączyć się z nim telefonicznie.

– Witaj, drogi przyjacielu. – Irving ewidentnie się ucieszył.

– Jaka pogoda na Wyspach? – Postanowił zacząć rozmowę zupełnie zwyczajnie.

– Pada od rana, a w Berlinie?

– Pewnie dzisiaj będzie burza – odparł i przeszedł do rzeczy: – Słuchaj, William, pamiętasz człowieka o nazwisku Klein? Był lekarzem i przyjacielem rodziny Dagenhardtów.

– Nie pamiętam nikogo takiego – powiedział William po chwili zastanowienia.

– Poznałeś mnie z nim. W knajpie Klejnot Kairu. Twierdziłeś, że to Afrykaner z Kraju Przylądkowego. A potem rozmawialiśmy z nim na mieście. To było przypadkowe spotkanie.

– A widzisz, już sobie przypomniałem. Teraz wiem, o kogo ci chodzi. Chciałem go wy badać, ale się okazało, że to zwykły nudny doktorek z Aleksandrii. Polował na brytyjskie leki, ale chyba niewiele zdziałał. Poznałem go kiedyś przez Hamida.

– Nic dziwnego, że się nimi interesowałeś, w końcu był lekarzem w szeregach Rommla, chociaż ja nie podejrzewałbym majora Afrika Korps o taką bezczelność. Teraz gdy na to patrzę, myślę sobie, że Dagenhardt był jego polisą. Znał wszystkich. Hitler niekoniecznie chciał inwestować w tę armię, ponieważ uznał, że to mało ważny front. Pewnie i lekarstw im skąpiono, więc wysłali Kleina, by ten uruchomił swoje kontakty – odparł na odczepnego.

Wydawało mu się, że William nie mówi mu całej prawdy. Nie mógł uwierzyć, że nie sprawdził Kleina i nie odkrył, iż ten był w Afrika Korps. Może jego przyjaciel dorabiał sobie, sprzedając po paskarskich cenach brytyjskie medykamenty, za co mógł zostać oskarżony o zdradę? Nawet jeśli jego kumpel chciałby się mu do tego przyznać, na pewno nie powiedziałby niczego przez telefon. Na informacje listowne także nie mógł liczyć.

Na zakończenie zapytał jeszcze:

– A czy mówi ci coś nazwisko Schacht? Rudolf Schacht?

– Kompletnie nic – odparł William.

Powiedział to zupełnie inaczej niż w przypadku Kleina. Teraz Connor był w stanie uwierzyć, że jego kompan naprawdę usłyszał to nazwisko po raz pierwszy w życiu.

Irving poznał doktora za pośrednictwem Hamida Farouka, który handlował wszystkim, co się dało. Informacjami także. Co zrozumiałe, jego kumpel nie mógł się bratać z Dagenhardtami, gdy Niemcy były z Anglią w stanie wojny, poza tym gdyby wiedział o nich coś kompromitującego, na pewno powiedziałby mu o tym jeszcze w Kairze.

Sprawa robiła się coraz bardziej zagadkowa. Ann-Katrin mogłaby mu wiele wyjaśnić, ale najpierw musiałby ją znaleźć. Ale kiedy już do tego dojdzie, zmusi ją, by wyśpiewała wszystko jak kanarek.



Arabia, 1914

W czasie gdy sir Thomas Evans poznawał Arabię, jego żona narzekała na gorący klimat. Poza tym nie miała tu zbyt wielu znajomych czy przyjaciół, a jej mążzonek był wielkim nieobecnym.

Tymczasem wywiad brytyjski musiał być czujny. Nie tylko z uwagi na Amerykanów, którzy byli zainteresowani ropą, ale także syjonistów pragnących osiąść na ziemi, którą zamieszkiwali w czasach biblijnych. Pod koniec tysiąc dziewięćset dziewiątego roku amerykańscy Żydzi otworzyli Żydowską Stację Doświadczalną w Palestynie. Na swoją siedzibę wybrali malowniczą skarpe z widokiem na Morze Śródziemne, kilka kilometrów od osady Zichron Ja'akow. Stary Evans pilnie przyglądał się poczynaniom instytutu, ponieważ był przekonany, że eksperymenty to tylko przykrywka, a stacja jest komórką wywiadowczą Stanów Zjednoczonych.

Jednak jego założenie okazało się mylne, ponieważ w ciągu kilku lat instytut Atlit zagospodarował pola, założył sad i cieplarnię oraz wybudował drugi, bardziej okazały budynek, mieszczący w swoich podwojach laboratoria, mieszkania dla kadry, a nawet bibliotekę. Rychło instytut ogłosił, że są w stanie uzyskać z jednego *dunama*^[3] dużo wyższe zbiory niż inni rolnicy. Tym samym władze Atlitu zaczęły zachęcać Żydów do osiedlania się w tym miejscu, nie bacząc na konsekwencje polityczne. Najpierw Żydzi próbowali odkupić ziemię od sułtana, ale odmówiono im. Niezniechęceni tym afrontem działali dalej i udali się do Konstantynopola, żeby przekupić tureckich urzędników, by ci opiekowali się osadnikami. Po jakimś czasie, gdy liczba Żydów wynosiła już dziesięć procent całej ludności, pojawił się kolejny pomysł – opiekę nad osadnikami powierzono imperium brytyjskiemu.

Sir Thomas Evans zamiast więc szpiegować przybyłych Żydów, musiał sprawdzać, czy nic im nie zagraża. Tymczasem przybywający do Ziemi Świętej Żydzi radzili sobie coraz lepiej. Posiadali lepszy sprzęt i ich uprawy wyglądały zupełnie inaczej niż arabskich sąsiadów. Budziło to niechęć miejscowych i od czasu do czasu dochodziło do napaści, więc Żydzi założyli oddziały samoobrony, które były całkiem nieźle zaopatrzone w broń.

Wkrótce sytuacja w Europie uległa zmianie i Thomas musiał się skupić na innych, dużo ważniejszych zadaniach. Szykowano się do wojny i chyba nikt już nie wierzył, że pokój uda się uratować. Wciąż kalkulowano, kogo Niemcy przeciągną na swoją stronę. Z uwagi na położenie Arabii Evans i jego dowódca zerkali z niepokojem w kierunku Turcji i w końcu Thomas otrzymał potwierdzenie najgorszych obaw.

– Turcy dogadali się z Niemcami, a wojna wisi w powietrzu – powiedział wówczas dowódca, George Newark. – Musimy się teraz skoncentrować na planach imperium osmańskiego. Niech Żydzi robią, co się im podoba, mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Jeśli Turcy przejmą kontrolę na Kanałem Sueskim, stracimy jeden z najważniejszych szlaków handlowych. Tylko gdy ta wojna wybuchnie, a my będziemy mieli za wrogów i Turków, i Niemców, może być krucho – westchnął Evans. – Jeśli Turkom uda się wejść do Egiptu, to po nas... I jeszcze nie wiadomo, czy nie odeślą naszych chłopców do Europy, bo tam przecież będzie najważniejszy teatr działań wojennych.

– Może nie będzie tak źle – odpowiedział dowódca, ale Evans wiedział swoje. – I jeśli będzie trzeba, nasi żołnierze popłyną do Europy. Tutaj nikt z miejscowych nie odważy się nas atakować.

Nie chciał mówić głośno, że w Egipcie Brytyjczycy byli tak znienawidzeni, iż nie było mowy o przetrzuceniu wojsk do Europy. Gdyby tylko tutejsza ludność zwąchała, że szeregi wojska się uszczupliły, zaczęłyby się jatka.

Pułkownik Newark pochylił się nad mapą, sporządzoną przez naukowców, którzy pod pozorem badań historycznych wykonali świetną robotę dla wojsk brytyjskich.

– Evans, zinfiltrowuj dyskretnie tereny u wybrzeży Palestyny. Na południe aż do zatoki Akaba. Sprawdź drogi, oazy, źródła wody i nastawienie miejscowych.

Musimy mieć pewną strefę buforową – powiedział pułkownik, który zapewne otrzymał wytyczne na ten temat od najważniejszego człowieka w Egipcie, konsula generalnego Wielkiej Brytanii w Kairze, generała Horatia Herberta Kitchenera.

Thomas Evans nie był zbyt zadowolony z przedzielonego mu zadania. Zatoka Akaba oddzielała Półwysep Arabski od Synaju, a wąski pas, który miał zbadać, był wyjątkowo trudnym terenem. Każdego dnia przemierzał na wielbłądzie pustynne drogi, jałową ziemię i górzyste przesmyki. Nawet nie widział światła w tunelu. Był przekonany, że tędy nie będą mogły przejść oddziały brytyjskie.

Zatrzymał się przy jednej ze skał, która dawała odrobinę cienia, i pociągnął z bukłaka łyk piotunu. Napój był tyleż obrzydliwy w smaku, co skuteczny w niwelowaniu pragnienia. Wyciągnął lornetkę Gordon i przyglądał się niewielkiej osadzie Akaba, która nazywała się tak samo jak zatoka Morza Czerwonego. Prymitywne chaty ciągnęły się wzdłuż wybrzeża, a kawałek dalej dostrzegł niewielki fort. Nie wyglądało to zbyt imponująco, podobnie zresztą jak szlak wiodący do niej. Evans stwierdził, że wojska tureckie na pewno nie zdecydują się pójść przez nieprzyjazną pustynię Sin. Musieliby być szaleni. Zresztą chyba żaden dowódca by się na to nie odważył.

Gdy powrócił do bazy, oświadczył:

– Akaba. To jedyne miejsce, w którym mogłoby się zatrzymać nasze wojsko. Ale i tak uważam to za fatalny pomysł.

– Dobrze, w takim razie się tam wybierzemy i sam ocenię sytuację. To już nie należy do pana kompetencji – oznajmił pułkownik.

– Raczej nie powitają nas z radością – mruknął Evans.

– W takim razie wyślemy tam naukowców. Kogoś proponujesz?

– Lawrence’a. On jest niesamowity. – Evans uśmiechnął się sztucznie.

– Zatem przygotuj wszystko do drogi. Nie chciałbym umrzeć z głodu i pragnienia w tym piekle – dodał Newark.

Tak jak przewidział Evans, turecki gubernator nie był zachwycony wizytą brytyjskich naukowców i właściwie zakazał im wszystkiego. A dopilnować tego miała miejscowa policja. Oczywiście Lawrence nie miał żadnych oporów, by grać na nosie tutejszym przedstawicielom prawa. Sprawiał wrażenie człowieka

pozbawionego instynktu samozachowawczego albo naprawdę uważał, że jest w stanie porozumieć się z każdym. Evans zazdrościł mu tak ogromnej pewności siebie.

– Niech sobie zakazują i niech mnie pilnują, jeśli nie mają nic lepszego do roboty – oznajmił wówczas Lawrence i bezczelnie zaczął eksplorować niewielki fort leżący przy zatoce.

Towarzyszył mu Evans i kilka innych osób, ale mało kto potrafił dotrzymać kroku Lawrencowi. Co chwilę gdzieś się przemieszczał, denerwując tym samym policjantów, którzy ledwie zipali, usiłując za nim nadążyć. O to chodziło. Mieli się zmęczyć i odpuścić.

Tego dnia, gdy Lawrence zmordował marszrutami po pustyni nie tylko tureckich policjantów, ale także Thomasa, doszło w domu Evansów do potwornej awantury. Matka Connora zaczęła krzyczeć na swojego męża, gdy ten tylko przekroczył próg. Zapewne gdyby nie wyczerpująca wędrówka, Thomas próbowałby uspokoić małżonkę, ale tego popołudnia nie miał już na to siły.

– Zapomniałeś, że masz rodzinę? – Allison podniosła głos. – A przede wszystkim syna? Czy kariera wojskowa jest dla ciebie ważniejsza aniżeli żona i dziecko?

– Kobieto, zaraz będzie wojna. Naprawdę nie mam ani siły, ani chęci wysłuchiwać tych wszystkich bzdur! – Naprawdę miał tego dnia dość wrażeń.

– Masz poświęcać nam czas! – wrzasnęła matka.

Tryb rozkazujący działał na starego Evansa jak płachta na byka. Allison mogła mu wiercić dziurę w brzuchu, ale dla głowy rodziny było nie do pomyślenia, aby małżonka wydawała mu rozkazy. To mogli robić jego dowódcy, ale nie kobieta, którą utrzymywał. Naprawdę jego żona naczytała się zbyt wielu magazynów dla emancypantek.

– Jeśli ci się nie podoba, to wracaj do Europy albo znajdź sobie w Jerozolimie jakiegoś amerykańskiego nacierza i daj mi święty spokój. Ach, przepraszam, prawie wszyscy wyjechali z powodu cholery wojny! To może jakiś Beduin albo rosyjski Żyd cię zadowolili! A teraz się zamknij i podaj mi obiad!

Matka jak zawsze w takich przypadkach zaczęła płakać, ale posłusznie zrobiła, co jej nakazał kapitan Evans.

Po obiedzie ojciec zabrał Connora na spacer po Jerozolimie. Co prawda, pogoda nie zachęcała do tego, ponieważ upał panował ogłuszający, ale Thomas chciał spędzić trochę czasu z synem. W pewnej kwestii Allison Evans miała słuszność – zbyt mało uwagi poświęcał Connorowi. Thomas pragnął go wychować na odważnego i prawego człowieka, ale jak miał to zrobić, jeśli chłopiec przebywał głównie z matką, której największym problemem była przegrana w kanastę?

W Jerozolimie panowała tak napięta atmosfera, że powietrze można było ciąć nożem. Dochodziło nawet do drobnych incydentów z udziałem Żydów, a od czasu do czasu jakiś brytyjski żołnierz obrywał kamieniem. Nie miał na sobie munduru, ponieważ nie chciał się rozpraszać i czujnie rozglądać, czy jakiś Arab nie rozbije mu głowy. Mimo to i tak czuł dziwny niepokój. Gdy przechodził z synem wąskimi uliczkami, rozmowy nagle zamierały i tylko patrzono na nich spode łba. Jakby się zastanawiano, czy mają do czynienia z cywilem, czy z żołnierzem. W zaułkach i na małych placach zbierały się grupki Arabów i żywo dyskutowały o tym, co się wydarzy. Byli bojowo nastawieni i czekali na fatwę, wzywającą ich do dżihadu.

– Tato, będzie wojna? – zapytał mały Connor.

– Będzie – odparł z westchnieniem.

Nie miał pojęcia, jak się rozwinie konflikt w Arabii, jeśli Turcy dogadali się z Niemcami, ale nie sądził, by walki ominęły ten teren. Amerykanie, którzy inwestowali w złoża ropy naftowej, a przy okazji w infrastrukturę drogową, zawiesili działalność i większość z nich wróciła do ojczyzny. To oznaczało, że lada dzień dojdzie do konfliktu zbrojnego. Kto jak kto, ale Amerykanie zawsze byli świetnie poinformowani.

– Ale ty nie zginiesz? – zapytał Connor.

– Nie wiem, synu. Na wojnie bywa różnie. Tylko tchórze chowają się po kątach, a odwaga zawsze niesie za sobą ryzyko.

– Mama dzisiaj bardzo się rozgniewała – powiedział w końcu Connor.

– Posłuchaj, tak to jest. Jeśli okażesz zbyt wiele serca kobiecie, na pewno to wykorzysta. – Ojciec uśmiechnął się do niego. – Nie martw się. Matka się nudzi. Gra ze znajomymi albo w tenisa, albo w kanastę. I dlatego zrobiła się marudna. Jak pójdziesz spać, pogodzę się z mamą.

W tamtym czasie Connor nie wiedział, dlaczego jego rodzice najpierw przez całe popołudnie i wieczór się kłócili, a rano zachowywali się jak dwa gruchające

gołąbki. Musiało minąć wiele czasu, zanim młody Evans w końcu rozszyfrował tę zagadkę.

Wojna wybuchła następnego dnia, chociaż nie dotarła jeszcze w te regiony świata. Licytowano się, robiono zakłady, a przede wszystkim monitorowano depesze z Europy.

Connor musiał się pogodzić z faktem, że teraz będzie widywał ojca jeszcze rzadziej, ale przynajmniej jego matka przestała się awanturować. W obliczu wojny nawet nie śmiała utyskiwać na nieobecność swojego małżonka w domu.

Wszyscy czekali na ruch Turcji, więc gdy ta we wrześniu ogłosiła powszechną mobilizację, wzbudziło to grozę. Oczywiście najgłośniej biadolili żydowscy osadnicy, którzy uważali, że bez względu na strony konfliktu oni i tak cierpią najbardziej. Obawiali się rekwizycji, więc chowali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, i panikowali, jakby to oni w tej wojnie mieli grać pierwsze skrzypce. Niektórzy się śmiali, że martwili się o swoje interesy, a nie o życie, jak wszyscy pozostali mieszkańcy Arabii.

Co kilka dni Evans składał niepokojące meldunki:

– Turcy za namową Niemiec próbują się dogadać z beduińskimi wojownikami, by ci wystąpili z nimi ramię w ramię przeciwko Brytyjczykom – przekazał Newarkowi.

– Skąd masz te informacje? – zapytał pułkownik, by się upewnić, że nie jest to tylko plotka, ale fakt.

– Od Hamida Farouka – odparł.

– Ten drań robi interesy z Niemcami, Żydami, Amerykanami i jakby mógł, to nawet dogadałby się z Aborygenami – syknął.

Był wściekły, ponieważ zdawał sobie sprawę, że Hamid tak dobrze zarabiał na sprzedaży informacji z powodu swojej wiarygodności. Jeśli Hamid Farouk coś powiedział, z pewnością była to prawda. A ona nie była zbyt optymistyczna.

– Turcy chcą wysłać do Egiptu swoich tajnych agentów, by podżegali Arabów do islamskich rozruchów. Za chwilę będziemy tu mieli zabójstwa polityczne i zamachy bombowe – ze smutkiem dodał Evans.

– Niech Hamid nadal nas informuje na bieżąco. Cena nie gra roli – mruknął pułkownik. – I liczę na jakiś sukces, kapitanie.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak groźba i Thomas Evans wiedział, że musi zatrzymać jakiegoś sabotażystę czy szpiega, by móc myśleć o awansie. Chodziło bardziej o to, żeby uzasadnić wydatki wywiadu. Hamid Farouk był potwornie drogi i Evans musiał znaleźć dobry powód, dlaczego płaci mu taką fortunę.

Na szczęście kilka dni później udało mu się zatrzymać niejakiego Roberta Morse'a, Niemca, który rzekomo przybył do Aleksandrii, by zabrać do Europy swoją rodzinę. Jednak w jego bagażu oprócz wytwornych strojów znaleziono także zapalniki do bomb. Oczywiście gdyby nie okazały się kwoty wypłacane Hamidowi Faroukowi, nie miałby pojęcia o chytrym planie eleganckiego jegomościa.

Mężczyzna miał idealnie skrojony jasny garnitur, złoty zegarek, który pięknie odbijał egipskie słońce, i kufry okrętowe z monogramem. Był kompletnie zaskoczony zatrzymaniem. W końcu miał dobry powód, żeby przyplłynąć do Egiptu. I pewnie cała sztuka by mu się udała, gdyby nie dobrze poinformowany Hamid Farouk. Thomas niekiedy się zastanawiał, jak długo uda się temu człowiekowi grać na tyłu frontach. Ktoś w końcu się na niego mocno zdenerwuje i mężczyzna skończy w odmętach Nilu.

– Wiesz, że grozi ci kara śmierci – powiedział wówczas Evans, wskazując na trefny bagaż Morse'a.

Ten przez chwilę milczał, ale Thomas zauważył na jego czole krople potu. Po dłuższej chwili mężczyzna wydukał:

– Nie wiem, dlaczego ktoś włożył to do mojego kufra. Ja przecież tylko przyjechałem po żonę i dzieci. Możecie sprawdzić, podam wam adres. Pewnie czekają i już mnie wypatrują.

– Ktoś ci to podłożył? No co za straszny typ – odparł z ironią Thomas i zagwizdał. – A ja jestem król Jerzy i na co dzień jeżdżę kareta. Człowieku, lepiej się zastanów. Powiedziałem ci... Czapa. Cz-a-p-a.

– A mógłbym jej uniknąć?

– Pewnie, dlaczego nie. Osobiście nic do ciebie nie mam. Zrobimy tak, Morse, ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie. Umowa stoi? – Mężczyzna jedynie skinął głową.

– Nie martw się, wszystkim pokieruję. Twoi niemieccy kołesie nawet się nie połapią.

– Dobrze, tylko nie wiem, czy zdołam zrobić wszystko jak należy. – Morse zaczął się asekurować.

– Chciałeś przemycić zapalniki do bomb. Zdobyć odpowiednich informacji to dla ciebie będzie pestka.

– Ale... – Chciał coś dodać, jednak Thomas mu przerwał.

– Umowę już mamy, panie Morse. A z umów należy się wywiązywać.

Od tej chwili kariera kapitana Evansa ruszyła z kopyta, ponieważ Morse okazał się istną skarbnicą wiedzy. No i w przeciwieństwie do Hamida Farouka nic go nie kosztował.

*Berlin, 1947/Egipt, 1942*

Ann-Katrin o mały włos nie wpadłaby do leja po bombie, gdy uciekała przed Connorem Evansem. Nie miała pojęcia, co ten drań robił w Berlinie. Przecież był teraz bogaty i nie musiał dzielić losu przegranych.

A co, jeśli się pomyliła i oskarżyła go bezpodstawnie? Już sama nie wiedziała, co byłoby dla niej lepsze. Jeśli rzeczywiście był niewinny w tej sprawie, nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak bardzo Evans musiał jej teraz nienawidzić. Posądzała go o straszny czyn, ale miała ku temu podstawy. Problem w tym, że coraz częściej się przekonywała, iż nic nie jest takie, jak z pozoru wygląda.

W Berlinie Evans miał władzę i mógł się na niej odegrać. Najgorsze było to, że miał za co. Przede wszystkim za Sterna... Pewnej nocy poznała ich obu – Connora Evansa i Markusa Sterna. I od kilku lat przeklinała tę chwilę...

Był ciepły czerwcowy wieczór, gdy Ann-Katrin weszła do Alladyna. Sala była pełna, a to oznaczało, że jej gwiazda nie zgasła. A może raczej mała gwiazdka.

Lokal był dość obszerny, urządzonej elegancko i zapowiadał rozrywkę na najwyższym poziomie. Pośrodku znajdowała się okrągła scena, na której występowała panna Schneider. Wokół niej ustawiono stoliki z białymi jak śnieg obrusami, a cały wystrój przypominał bardziej londyński klub dla dżentelmenów aniżeli kairskie knajpy, w których zazwyczaj siedziskami były pufy i wygodne, miękkie otomany. Tam również palono sziszę, oglądano taniec brzucha i zaciągano się haszyszem, który swoim słodkawo-ziółowym zapachem wypełniał pomieszczenie. Alladyn miał reprezentować zupełnie inną jakość i zamiast wygodnych kanap wstawiono pikowane skórzane fotele, a przy stolikach solidne krzesła z wysokimi oparciami. W narożnikach paliły się mosiężne kinkiety,

a kelnerzy nosili odprasowane koszule. Tuż nad sceną wisiał ogromny kryształowy żyrandol i Ann-Katrin zastanawiała się niekiedy, czy przeżyłaby, gdyby nagle spadł jej na głowę. Przyciemnione światła były łaskawe dla wzorzystych tapet ze złoceniami i rzeźbionego mahoniowego baru i nie widać było, że ostatni raz przeprowadzono tu remont dobrych kilka lat wcześniej.

Kiedy nie występowała, w tle leciała spokojna muzyka, która w żaden sposób nie kojarzyła się z Orientem. To miejsce miało przypominać brytyjskim gościom ich dom. Zamysł był dobry, ponieważ lokal ściągał w swoje progi wielu oficerów i wyższych rangą urzędników.

Mimo że knajpa sprawiała wrażenie eleganckiej, zaplecze nie prezentowało się już tak dostojnie. Liczne korytarzyki tworzyły labirynt, wzdłuż którego znajdowały się magazynki, miejsce do zmywania naczyń, pokój kelnerów i biuro właściciela. Każde z tych pomieszczeń było małe i ciemne i widać było, że projektantowi zależało, by sala główna zajmowała lwią część budynku. Na samym końcu krętego korytarza znajdowały się wąskie schody prowadzące do garderób tancerek i gwiazd wieczoru. Ponieważ występowała prawie codziennie, miała do dyspozycji swój pokój i w porównaniu z kantorkiem kelnerów było tu sporo przestrzeni.

Weszła do garderoby i zaczęła się szykować do występu. Mocny makijaż, strojna błyszcząca suknia i długie fantazyjne kolczyki stanowiły nieodzowne elementy jej scenicznego image'u. Musiała wyglądać jak prawdziwa diwa, a nie podrzędna tancerka, której mężczyźni rzucali moniaki na scenę i nigdy się nie zdarzyło, by trafił się banknot pięciofuntowy. W Alladynie nikt nie ośmieliłby się zrobić czegoś podobnego. Jeśli występ albo artystka się komuś spodobały, przysyłali bukiety, drobną biżuterię i dobry alkohol, który był towarem nie tyle deficytowym, co drogim.

Patrząc na Ann-Katrin, można było odnieść wrażenie, iż ta zarabiała za swoje występy krocie, ale właściciel, Omar Kahil, wychodził z założenia, że zatrudnionym przez niego gwiazdkom powinien wystarczyć sam prestiż miejsca. Uważał, nie bez powodu zresztą, że większość z kobiet występujących w jego lokalu kończy swoją pracę nie z chwilą, gdy na scenie zgasną kolorowe światła, ale nad ranem, w łóżku jakiegoś brytyjskiego oficjela albo zamożnego biznesmena. Każda z jej koleżanek miała swojego stałego i bogatego kochanka, dlatego bardzo mocno zaniżały gąże w tej branży. Ann-Katrin nie zamierzała jednak sypiać z nikim dla pieniędzy. Uważała, że słowo „kochanek” to po prostu subtelniejsze

określenie klienta, korzystającego z uciech cielesnych za pieniądze. Dla niej to była prostytutka i takie zajęcie nie różniło się niczym od pracy dziewcząt w domach publicznych.

Wykonała swój program, który jak co wieczór został przyjęty gromkimi brawami, po czym udała się do baru i poprosiła o sok z pomarańczy. Aby żadnemu z gości nie przyszło do głowy, żeby spróbować ją poderwać, nigdy nie zostawała dłużej na sali, tylko szła do swojej garderoby. Tej nocy było podobnie. Zamierzała zmyć makijaż, przebrać się i wrócić do domu.

Za kotarą, za którą znajdowało się obskurne zaplecze lokalu, zaczepił ją właściciel.

– O co chodzi? – zapytała znudzona i pociągnęła łyk soku.

– Posłuchaj, jest dzisiaj w lokalu pułkownik Winter i jest gotowy bardzo dużo zapłacić, żeby spędzić z tobą noc.

Mimo że zbierała co wieczór oklaski, jej dochody naprawdę nie należały do imponujących. Niewielkie oszczędności ze spadku już jakiś czas temu się skończyły, a ona musiała zacząć żyć nieco oszczędniej niż w czasach, gdy utrzymywał ją ojciec. Nie mogła ruszyć żelaznego kapitału przekazanego jej przez Adio Schneidera, dopóki nie dotrze do Europy. Jednak jej tata nie przewidział, że niedługo po jego śmierci wybuchnie straszliwa wojna, którą rozpętał Hitler. Czekala, aż sytuacja się ustabilizuje, ale trwało to tak długo, że skończyła się jej forsa. Niemcy zajęli pół Europy i ryzyko utraty jej dziedzictwa było dość wysokie. Na razie miała z czego żyć i nie martwiło jej, że czasami brakowało pieniędzy na luksusy. Uznała, że ta wojna nie potrwa dłużej niż ta poprzednia. Niemniej zastrzyk gotówki bardzo by się jej przydał, pod warunkiem że nie wiązałby się z zaspokajaniem potrzeb jakiegoś starego pryka.

Chwilami miała ochotę zignorować słowa ojca i uszczknąć przedwcześnie kawałek swojego dziedzictwa, ale wciąż dudniły jej w uszach słowa, że może przez to stracić życie i musi najpierw znaleźć się daleko od Kairu. Jej tata nie zdążył wyjaśnić, dlaczego to takie niebezpieczne, ponieważ niedługo potem jego serce przestało bić. Posłuchała go, martwa nie potrzebowałaby już żadnych pieniędzy.

Oczywiście obruszyła się, gdy Omar zaproponował jej spędzenie nocy z pułkownikiem Winterem z brytyjskiego Ministerstwa Wojny.

– Od kiedy jesteś sutenerem, Omar? – zapytała z ironią.

– Po prostu nie rozumiem, jak możesz rezygnować z takich pieniędzy. On byłby gotów zapłacić ci więcej funtów za jedną noc niż ja za cały miesiąc. Wciąż mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Nie jestem sutenerem, ale gdyby po mieście rozniosła się informacja, iż za odpowiednią cenę można mieć Ann-Katrin tylko dla siebie, cała śmietanka Kairu zaczęłaby odwiedzać nasz lokal.

– To sam idź z nim do łóżka – burknęła. – Może przyciągniesz jeszcze lepsze towarzystwo.

Omar Kahil chciał coś dodać, ale usłyszeli jakiś rumor dochodzący z sali. Właściciel klubu wyrzwał przez zasłonkę i powiedział:

– Cholera, szukają kogoś! Przyszła Królewska Policja Wojskowa i jacyś brytyjscy żołdacy. Porozmawiamy innym razem, muszę sprawdzić, czy przyjechała także egipska policja. Zaraz ci dranie wypłoszą mi wszystkich gości. Przecież to tak nie może być... Jeszcze mi zamkną budę, jeśli pozwolę nękać Brytyjczykom moich gości.

Zamieszanie było jej na rękę. Trwała wojna, więc co chwilę ścigano jakichś niemieckich szpicli albo współpracujących z nimi Egipcjan. Jednak nieodzowna była obecność miejscowej policji, w przeciwnym razie działanie Brytyjczyków uznawano za nielegalne i niezgodne z zawartymi umowami.

Odwróciła się i udała w stronę garderoby. Ta afera kompletnie jej nie obchodziła. Ona miała inne problemy. Musiała zmieniać swoją garderobę na występy oraz wyżywić siebie i Latifę, a jej miesięczna gaża mogła jedynie wystarczyć na to drugie. Zakup towarów luksusowych na czarnym rynku był poza jej możliwościami, ale nie mogła tańczyć i śpiewać w kółko w tej samej sukience, bo niechybnie znudziłaby się gościom. Jej wygląd podczas występów był równie ważny co repertuar. Poza tym była jeszcze Latifa, która często chorowała, a lekarstwa i wizyty dobrych medyków sporo kosztowały.

Zanim dotarła do końca korytarza, rozpętało się piekło. Zamierzała właśnie wejść na schody wiodące do jej garderoby, gdy zza kotary dobiegły jej uszu odgłosy przewracanych krzesel i brzęk tłuczonego szkła. Przez chwilę się zastanawiała, co zrobić i czy powinna iść do siebie, czy sprawdzić, co się dzieje na sali. Doszła do wniosku, że tym powinien się martwić Omar, a nie ona. Nie zdążyła jednak zrobić kroku w żadną stronę, ponieważ poczuła na swoich odsłoniętych plecach zimną lufę pistoletu.

– Musisz mi pomóc. – Usłyszała zdyszany głos. – Albo już nigdy nie zatańczysz ani nie zaśpiewasz. Idź do swojej garderoby. Byle szybko.

Nawet nie zamierzała dyskutować z napastnikiem i weszła po schodach, wciąż czując pod żebrami lufę. Otworzyła drzwi i wpuściła mężczyznę do swojej garderoby. Pamiętała, jak bardzo się wówczas bała. I najbardziej w tym momencie martwiła się o Latifę. Jak sobie poradzi bez niej, gdy ten drań postanowi pozbawić ją życia? Latifa miała zaledwie trzynaście lat i wciąż na coś chorowała. Ann-Katrin nawet sobie nie wyobrażała, by bidula mogła pracować fizycznie.

Nie miała pojęcia, dlaczego w tak dramatycznej sytuacji przypomniła sobie późne kairskie popołudnie, gdy oboje z ojcem spotkali na swojej drodze zabiedzoną dziewczynkę, która siedziała na kamiennych schodkach i płakała. Jej rodzice umarli, a krewni, którzy mieli się nią opiekować, wyrzucili dziecko na ulicę. Adio miał dobre serce, a także wiedział doskonale, co to znaczy stracić matkę. Poznał także na własnej skórze, jak to jest być niekochanym.

Po śmierci ojca Latifa stała się dla Ann-Katrin najważniejszą osobą w życiu, jej ukochaną siostrzyczką, i może dlatego w takiej chwili myślała tylko o niej i jej przyszłości.

– Co mam teraz zrobić? – zapytała przerażona, gdy mężczyzna zamknął drzwi.

– Posłuchaj, nic mi po tym, że cię teraz zastrzelę, ale jeżeli mi pomożesz, zapłacę ci. Naprawdę dobrze – szepnął.

Usłyszała, że ktoś się kręcił po zapleczu. Nie miała zbyt wiele czasu do namysłu. Podjęła więc decyzję. Jedną z najgorszych w swoim życiu.

– Za oknem jest mały daszek. Gdy z niego zeskoczysz do ogrodu, znajdziesz się na tyłach sąsiedniej posesji i będziesz mógł się stamtąd wydostać na cichą uliczkę, którą dotrzesz do nadbrzeża Nilu. Potem idź na Zamalek. Na Al Gabalayah jest mała knajpa. Ma szyld z namalowaną sziszą. Nazywa się Czerwony Smok. Poczekaj tam na mnie – powiedziała szybko.

Mężczyzna cmoknął ją w policzek i wygramolił się przez okno. Szybko zamknęła okiennice, a potem zsunęła z siebie sukienkę. Gdy już była do połowy naga, do jej pokoiku wtargnęli egipski policjant i brytyjski oficer. Nawet nie zapukali, tylko władowali się jak do siebie. Stróż prawa, widząc ją w negliżu, od razu się wycofał, ale ten drugi chyba nie zamierzał tego robić. Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem, a potem chrząknął i zapytał:

– Czy może się pani czymś zakryć?

– To pan tu wszedł bez pytania. I bez pukania – odparła, wciąż stojąc z nagimi piersiami i opuszczoną na biodra sukienką. Wyglądała, jakby zamierzała za chwilę rozpocząć taniec brzucha, tylko bez stanika z frędzlami.

Mężczyzna zapukał w drzwi, wciąż bezczelnie się na nią gapiąc.

– Puk, puk. Wystarczy? – burknął.

Pomyślała, że niewychowany z niego typ, i sięgnęła po jedwabną narzutkę. Założyła ją, zawiązała pasek i dopiero wówczas całkiem zsunęła z siebie suknię. Białe okrycie ledwie zasłaniało jej pośladki. Popatrzyła na intruza i powiedziała zimno:

– Już. I co dalej? Może mam jeszcze zrobić panu drinka?

– Szukamy pewnego mężczyzny. Biały, wysoki, dobrze zbudowany. Miał na sobie jasny garnitur.

– Przystojny? – zapytała drwiąco.

– Był czy nie? A może wciąż tu jest? – warknął mężczyzna.

Jego głos był stanowczy i nieprzyjemny. Od razu straciła pewność siebie, ale zamierzała udawać hardą. W końcu powinna się zachowywać tak, jakby nie miała niczego na sumieniu.

– Nie było u mnie nikogo takiego i nie ma, ale proszę sprawdzić, jeśli mi pan nie wierzy. – Wzruszyła ramionami.

Słyszała, że inni kotłują się po całym obiekcie, ale temu brytyjskiemu oficerowi jakoś nigdzie się nie śpieszyło. Powoli zajrzał za kotarę, za którą stała mała szafka, a na niej miska i dzbanek z wodą, a potem podszedł do szafy i ją otworzył, a kiedy skończył oględziny, zajrzał za otomanę. Nic nie mówiła, jednie z niesmakiem przyglądała się tym zabiegom.

– Może uciekł oknem? – zapytał w końcu.

– Proszę sprawdzić, może wciąż tam jest i czeka, aż pan sobie pójdzie – powiedziała z ironią.

Nawet jeśli ścigany mężczyzna nie zdążyłby uciec, miała to w nosie. Żal jej będzie jedynie pieniędzy, które jej zaoferował. Za uratowanie go przed karzącą ręką sprawiedliwości zapewne nie byłaby to mała kwota.

– Nie wiem dlaczego, ale wierzę pani. – Uśmiechnął się obłudnie, a potem krzyknął: – Sprawdźcie dokładnie sąsiednie podwórze!

– Właśnie słyszę, jak bardzo mi pan ufa – odparła. Jej głos wciąż był pełny drwiny.

Gdy mężczyzna skończył przeszukiwać każdy zakamarek jej garderoby, stanął naprzeciwko niej i wgapił się w nią, jakby sprawdzał, czy mówiła prawdę. Przenikliwie, a jednocześnie – jak się jej zdawało – bardzo chłodno. Zazwyczaj widziała błyski pożądania w oczach mężczyzn, a ten zachowywał się, jakby nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Ani jej nagie piersi, gdy wtargnął do pokoju, ani długie smagłe nogi, które miał okazję oglądać później. Nawet nie był uprzejmy, jak większość brytyjskich oficerów, ale arogancki i złośliwy.

– Coś jeszcze? Wydawało mi się, że się panu bardzo śpieszy – burknęła w końcu, ponieważ irytował ją świdrujący wzrok mężczyzny.

Podszedł do niej bardzo blisko. Stwierdziła, że źle odczytała jego zamiary i jednak zrobiła na nim duże wrażenie. Czowała na szyi jego oddech i zastanawiała się, co zamierza teraz zrobić ów bezczelny człowiek. Powie jej coś miłego czy od razu się na nią rzuci jak pies na kość i będzie musiała go spoliczkować. On jednak uśmiechnął się drwiąco i powiedział bez troski:

– Ładne ma pani kolczyki.

Po chwili odwrócił się na pięcie i wyszedł, nawet nie zamykając za sobą drzwi.

To był kapitan Connor Evans.

Do tej pory, gdy wracała wspomnieniami do owej pamiętnej nocy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Connora, nogi się pod nią ugiwały. Bo Evans zdawał się zupełnie inny niż pozostali mężczyźni. Nie łąsił się do niej, mając nadzieję, że rozłoży przed nim nogi, ani nie obsypał pochlebstwami, którymi raczyli ją niemal wszyscy faceci.

Po opuszczeniu Alladyna przez cały czas oglądała się za siebie i sprawdzała, czy nikt jej nie śledzi. Wystarczył jakiś przechodzień widziany z oddali, a skręcała nie w tę uliczkę, co powinna, by zmylić trop. W końcu spocona jak mysz dotarła na wyspę i przed zamknięty lokal z czerwonym szyldem.

– Tę knajpę zamykają o północy – warknął napastnik z Alladyna, wyłaniając się jak duch zza śmietnika znajdującego się za lokalem.

– Skąd mogłam wiedzieć? Nie chadzam do takich spelun. – Wzruszyła ramionami.

– Strasznie tu cuchnie – odparł i przeszedł na niemiecki. Nie przeszkadzało jej to. Znała ten język równie dobrze co angielski i arabski. – Ale nieważne. Muszę się gdzieś zadekować, bo lecę z nóg. Jak zdążyłaś zauważyć, ścigają mnie.

– Zdemolowali pół lokalu, Omar pewnie teraz liczy szkody i płacze. Mam tylko nadzieję, że nikogo nie zabiłeś – jęknęła.

– To co, pomożesz zbłąkanemu rodakowi? – zapytał zniecierpliwiony, zmieniając temat.

– Pomogę, ale nie za darmo. Zresztą sam deklarowałeś, że będzie mi się to opłacało.

– Dlaczego piękne kobiety nie potrafią być bezinteresowne? – westchnął i dodał: – Ile chcesz za wynajęcie mi miejsca do spania?

– Wynajmę ci cały pokój. A na jak długo?

– Zobaczymy, ale na długo. – Uśmiechnął się do niej.

– Sto funtów za miesiąc – powiedziała bez mrugnięcia okiem, mimo że kwota była zawrotna.

Średnia płaca Egipcjanina wynosiła około funta. Ale ona nie była Egipcjanką, podobnie jak on Egipcjaninem. Europejczycy operowali innymi kwotami.

– Posiadasz pałac sułtana? Do cholery, dam ci trzydzieści. To dobra cena.

– Sześćdziesiąt i możesz się wprowadzać – upierała się przy swoim.

– Dobrze, niech będzie. – Mężczyzna był naprawdę zdesperowany i co chwilę rozglądał się czujnie.

– Najpierw moje pieniądze. – Wyciągnęła dłoń.

– A jeśli mi uciekniesz? – zapytał.

Przewróciła oczami.

– Masz pistolet, do diabła.

Idąc ciemnymi uliczkami wyspy na Nilu, znowu pomyślała o małej Latifie. Dziewczynka zapewne będzie bardzo zdziwiona, gdy usłyszy, że jakiś mężczyzna spędzi w ich domu noc, a nawet wiele nocy. Ann-Katrin nigdy nikogo do siebie nie

zapraszała. Chciała, żeby Latifa dostała dobry przykład i przekonała się, że nie każda tancerka i pieśniarka jest dziwką. Teraz jednak sytuacja była inna. Niemiec z Alladyna miał zostać jej lokatorem. Owszem, obawiała się tego człowieka, w końcu groził jej bronią, ale wynegocjowana kwota była nie do pogardzenia. Musiała zdobyć fundusze nie tylko na nowe sukienki, ale również dokonać naprawy wodociągu, który ciągle szwankował.

Mijali po drodze domy, dużo mniejsze niż kolonialne wille bogaczy, ale za to schludne i eleganckie, zamknięte na głucho sklepiki i małe bary. W końcu dotarli do niewielkiego budynku z białą elewacją, ozdobioną gdzieś orientальnymi ornamentami. Nieopodal w świetle latarni połyskiwały wody Nilu, na którym cumowały łodzie, pomalowane na jaskrawe kolory, w większości pełniące funkcje mieszkalne.

Jej dom nie przypominał kolonialnych willi, ale też nie był jednym z tych domostw, które wybudowano z najtańszych materiałów, bez ładu i składu. W biedniejszych dzielnicach Kairu takich prowizorek stało pełno i gnieździły się w nich ubogie wielodzietne rodziny. Zapewne dlatego dzieci w takich miejscach czas spędzały głównie na zewnątrz.

Po otwarciu dwuskrzydłowych drzwi wchodziło się bezpośrednio do niewielkiego salonu z kilimami na ścianach i ręcznie tkanym owalnym dywanem na podłodze. Jedna z przeszklonych ścian była jednocześnie wyjściem na małe patio i skrawek ziemi, na której pysznił się zadbany oleander o kwiatach w kolorze fuksji. Pod dłuższą ze ścian salonu stały obita aksamitem otomana i rzeźbiony stolik. Obok kanapy Ann-Katrin ustawiła prostą biblioteczkę i małą komodę, na której znajdował się zestaw do parzenia kawy, a w narożniku zegar. W powietrzu unosił się delikatny zapach jaśminowego kadzidelka.

Oprócz salonu w domu znajdowały się także dwie sypialnie. Jej i Latify. Były to ciemne pokoiki z szerokimi tapczanami i wnękowymi szafami. Na nic więcej nie było już w nich miejsca.

– Ładnie mieszkasz – powiedział mężczyzna, rozglądając się ciekawie. – Ale moje lokum w Berlinie także by ci cię spodobalo. Ta uliczka jest tak cicha, jakbyś żyła na dalekich peryferiach. Ja widzę z okna swojego mieszkania szeroką arterię, która tętni życiem. Uwielbiam taki miejski zgiełk, dodaje mi energii. Jednak od czasu do czasu lubię ciszę, więc myślę, że będzie mi u Ciebie dobrze.

– Niestety, na wyspie nie ma szerokich arterii. Usiądź, przygotuję ci pokój.

– Sądziłem, że będę go dzielił z tobą. – Popatrzył na nią bezczelnie.

Wyciągnęła zza biustonosza funty otrzymane od mężczyzny i podała mu je.

– Zabieraj to i się wynoś! – syknęła.

– Dobrze, już dobrze. Ja właściwie także lubię zasypiać sam. Nie będę się pchał do twojej sypialni i liczę, że ty nie będziesz się dobijała do mojej.

Denerwował ją.

– Posłuchaj, nie mieszkam tu sama. Latifa ma trzynaście lat. Jest Nubijką i traktuję ją jak młodszą siostrzyczkę, zatem nie obawiaj się o swoją intymność. Dostaniesz klucz i będziesz mógł się zabezpieczyć przed moją nieokiełznaną żądzą. – Ostatnie zdanie wypowiedziała z drwiną.

– Podoba mi się. Będę się stołował gdzie indziej, ale czy dzisiaj mógłbym liczyć na jakąś skromną kolację?

Za taką forszę powinna mu postawić szampana i kawior, ale ograniczyła się do najprostszego posiłku – pity z jagnięciną.

To był szpieg Rommla – Markus Stern.

Kilka dni później kupiła sobie dwie nowe suknie estradowe. Wyszywane cekinami, z farbowanymi piórami i wystarczająco wyuzdane, by zatrzymać uwagę odwiedzających Alladyna mężczyzn. Wtedy potrafili być bardzo hojni i przysyłali lepsze prezenty. Na wspólną noc jednak nie mogli liczyć.

Markus jej nie wadził. Właściwie trzymali się na dystans i starali się nie wchodzić sobie w drogę. Nie interesowało jej, co robił Stern. Przynajmniej do czasu... Potem zaczął ją wypytywać, niby z czystej ciekawości, o klientów lokalu. Jeśli miała jakieś informacje albo słyszała ploteczki o którymś z nich, mówiła mu o tym. Nie dotyczyło to żadnych poważnych spraw, przecież o takich nic nie wiedziała. Nie sądziła również, że informacja o pułkowniku Winterze i jego wielkiej słabości do pięknych i młodych kobiet mogłaby w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg historii.

Zdarzało się, że wracał do domu w dziwnym nastroju i próbował z niej zrobić swoją kochankę, ale gdy regularnie dostawał kosza, odczepił się od niej i żył sobie w spokojnej koegzystencji. On płacił i miał lokum, a ona miała pieniądze.

Jej radość jednak nie trwała zbyt długo, ponieważ znowu na jej drodze stanął Connor Evans. I jeszcze jeden typ – William Irving. Tak jak w dniu, w którym się spotkali po raz pierwszy, kapitan Evans nie był dla niej ani miły, ani uprzejmy. I chwilami trudno było jej się połapać, co właściwie chce osiągnąć, przypierając ją do muru. Mimo tej gęstej i niezbyt przyjemnej atmosfery, między nimi tak iskrzyło, że o mały włos nie spalili stylowej budy Omara.

Connor sądził, że się nie zgodzi na proponowany układ, mimo gróźb kierowanych pod jej adresem. Prowokował ją, żeby mu się postawiła, bo mógłby wówczas kontynuować ich dziwną grę. Wyczuła to, dlatego, gdy ich rozmowa dobiegła końca, popatrzyła mu bezczelnie w oczy i powiedziała z kpiarskim uśmiechem:

– Dobrze, zrobię to, panowie.

Wtedy napięcie między nimi sięgało zenitu. Niestety, kiedy widziała go po raz ostatni, wszystko wyglądało zupełnie inaczej i z jej strony już nie było mowy o żadnej gierce. Żywiła zbyt wielki żal do Connora i wciąż nienawidziła go tak samo jak wówczas, gdy odprowadzał ją na statek w aleksandryjskim porcie.

Ponownie pojawiła się w Kairze prawie rok później. Oprócz Markusa i Hamida Farouka nikt o tym nie wiedział. I oprócz Connora Evansa, który kolejny raz puścił ją wolno, chociaż nie powinien, ponieważ była poszukiwana przez policję i wywiad brytyjski. Prawdopodobnie zdecydował się na ten krok, bo mógłby mieć większe kłopoty od niej, gdyby zechciała pociągnąć go za sobą. W końcu cały czas posługiwała się fałszywym egipskim paszportem, który dostała od niego. Nie mówiąc o tym, że wróciła do Europy na pokładzie statku należącego do brytyjskiej marynarki. Z tego na pewno by się nie wywinął. Rozpętałoby się piekło, które zamieniłoby błyskotliwą karierę kapitana Evansa w kupkę gruzu.

Oczywiście nie szukała go celowo ani nie łąziła po miejscach, w których mogłaby się na niego natknąć, ale znowu o pewnych sprawach zdecydował przypadek. Wychodziła z hotelu Sheppard, by spotkać się z Hamidem Faroukiem. Interesu dobiła z nim wcześniej, teraz miał ją poinformować o terminie wypłynięcia z Aleksandrii i wyjazdu z Kairu.

Włożyła bardzo elegancki kostium, a na głowę kapelusz z szerokim rondem. Przeważnie się tak nie ubierała, gdy wychodziła na miasto w ciągu dnia, ale wierzyła, że dzięki takiej metamorfozie nikt jej nie rozpozna. Nasunęła na nos

duże okulary przeciwsłoneczne i skierowała się w stronę stojących przed hotelem taksówek. Nagle ktoś wziął ją pod rękę i powiedział stanowczo:

– Ja panią podwiozę. Zapraszam do samochodu.

To był Connor. Była pewna, że tym razem się nie wywinie, bo widziała, jak bardzo był wzburzony. Zaczęła się obawiać, że zatrzyma ją mimo groźących mu konsekwencji. Nie opierała się jednak, nie zaczęła wyrywać z jego uścisku, tylko posłusznie pomaszzerowała do wojskowego gazika.

Connor ruszył z impetem, a potem docisnął gazu i zaczął prowadzić jak wariat. Ostro wchodził w zakręty, hamował z piskiem opon, a potem znowu bez opamiętania przyśpieszał. Zdjęła kapelusz. Był zbyt piękny, by miała go poświęcić, a istniało ryzyko, że zaraz sfrunie jej z głowy.

– Dokąd jedziemy? – zapytała przestraszona.

– Do kwatery mojego kumpla, Williama.

– Błagam, tylko nie tam. Już wolę do więzienia – jęknęła.

– Nie mam, niestety, takiej mocy sprawczej, żeby cię tam wsadzić, ale inni owszem. Nie martw się, nie ma go w domu. Swoją drogą, dlaczego go nie lubisz? – zapytał z ironią.

To było mało powiedziane. Po pierwsze, siedział w tej historii po uszy, tak samo jak Connor, a po drugie, pewnego wieczoru chciał ją zgwałcić.

– Nie twoja sprawa, a jeśli już tak bardzo chcesz wiedzieć, zapytaj swojego kumpla! – prawie krzyczała. – I przestań jechać jak wariat. Nienawidzę tego. Zaraz zabijesz nas oboje!

– Pewnie nie chciał się z tobą przespać – powiedział, a potem ryknął rozwścieczony: – Żałuję, że ci uwierzyłem! Żałuję, że w ogóle cię poznałem i wpuściłem do swojego życia! Wykiwałaś nas! I jeszcze śmiesz się zachowywać jak rozkapryszona diwa. Dość tego! Pójdiesz siedzieć, o ile nie skończysz na stryczku! Mam to w nosie, rozumiesz? Miałaś się tu nie pokazywać, ale znowu musiałaś postawić na swoim, bo nigdy się nie interesowałaś nikim poza sobą. Nawet Latifa nic cię nie obchodziła! W takim razie zapłacisz za swoją bezczelność!

Kiedy wspomniał o Latifie, miała ochotę go zabić i gdyby miała przy sobie broń, kto wie, jak zakończyłaby się ta przejażdżka.

Nie odpowiedziała, dlaczego się tu znalazła. Miała swoje powody, by tu przyjechać, i nie zrobiła tego z własnej woli, ale nie zamierzała się z niczego

tłumaczyć. Zwłaszcza Connorowi.

Gdy po raz pierwszy znalazła się we Włoszech, nie wiedziała, co ze sobą zrobić. To był dla niej obcy i bardzo niebezpieczny świat. Pojechała do Sterna, bo w Europie nie znała nikogo innego. A ktoś musiał jej pomóc. Miała nadzieję, że Markus załatwi jej jakąś pracę i miejsce do życia. Owszem, dostała od niego wsparcie, ale kilka miesięcy później wystawił jej rachunek. Musiała wrócić do Kairu, żeby przemyścić stamtąd podobno coś bardzo cennego i mogącego zaważyć na losach Trzeciej Rzeszy. Nie zostawił jej dużego wyboru, bo wiedział, że Ann-Katrin nie ma już dokąd uciec i jedyne, co może zrobić, to mieszkać na stałe w Berlinie, pod czujnym okiem Sterna. Gdyby nie on, ktoś w końcu zauważyłby jej nieco ciemniejszy kolor skóry. Markus musiał ją wciągnąć na listę płac Abwehry.

Dotarli na zamożne przedmieścia Kairu, gdzie stały okazałe wille i domy z luksusowymi apartamentami. Od razu pomyślała, że Irvinga stać na takie zbytki, bo przywłaszczyli z Connorem to, co należało do niej. Najwyraźniej jednak Evans nie był tak bezczelny jak William i nie afiszował się z bogactwem. Dla niego kariera w wywiadzie była najważniejsza, a forszę zostawił sobie na później.

Weszli do elegancko urządzonego mieszkania i wtedy Connor rozpoczął swoje przesłuchanie. Posadził ją przy stole, usiadł naprzeciwko niej i zasypał pytaniami. Był wściekły, ale wbrew temu, co sądziła, nie wypytywał jej o to, dlaczego nagle zniknęła z jego życia, a potem jedynie powiedziała mu, że czuje do niego nienawiść i pogardę, ale o powód jej przyjazdu do Kairu. Zachowywał się inaczej niż w Aleksandrii. Tak jakby nie liczyła się już dla niego jako kochanka, ale była zwykłą przestępczynią.

– Po co tu przyplłynęłaś? – zadawał to pytanie w kółko.

W końcu przerwała milczenie.

– To nie jest twoja sprawa. Odpuść, Connor, niczego się ode mnie nie dowiesz – warknęła.

– Właśnie, że to jest moja sprawa, bo jesteś na naszej czarnej liście. W każdej chwili mogę wezwać egipskich funkcjonariuszy i powiedzieć, żeby cię aresztowano. W końcu Markus Stern dopuścił się kilku zbrodni, a ty o tym wiedziałaś i zamiast współpracować z policją, umożliwiłaś mu ucieczkę. Nie wspominając o pułkowniku Winterze... Czyż to nie jest wystarczający powód?

Patrzyła na bruzdę na jego czole i wiedziała już, że panu kapitanowi Evansowi minęła słabość do niej.

– I tak ci nic nie powiem. Możesz mnie straszyć konsekwencjami do ciemnej nocy.

– W takim razie spędzimy tu dużo czasu. – Rozparł się na krześle jak amerykański nafcjarz.

Uśmiechnęła się obłudnie i wstała. Nachyliła się nad Connorem i powiedziała z udawaną słodyczą:

– Proszę, poślij po egipską policję. Pokażę im swój paszport, który załatwił mi... Jak on się nazywał? Ach, już sobie przypomniałam, kapitan Connor Evans. Zapomniałam jeszcze o rejsie statkiem Royal Navy, a to już bardzo śmierdząca sprawa. Owszem, wiem, mogę mieć problemy, ale ciebie one także nie ominą. Lepiej więc będzie, jeśli odwiesz mnie do hotelu i rozstaniemy się w pokoju.

Chwycił ją za nadgarstek. Przymknęła powieki. Kiedyś uwielbiała, gdy ją dotykał, o ile nie robił tego tak brutalnie jak teraz.

– Nigdzie nie pójdziesz – syknął.

– Puść mnie. Chyba że nadal chcesz mnie przekazać egipskiej policji? – zadrwiła. – No już, do roboty, panie kapitanie. Może któryś z sąsiadów dysponuje telefonem. A może zakujesz mnie w kajdanki? Proszę bardzo.

– No tak, z synem Hamida Farouka też spałaś, więc na pewno ci pomoże. Komendant policji je mu z ręki. Potrafisz przewracać mężczyznom w ich durnych łbach – syknął i obrzydzeniem puścił jej dłoń. Jakby nagle dotknął oślizgłej śniętej ryby.

Nie spała ani ze Sternem, ani z Amirem Hamidem, ale o jego ojcu wolałaby z nikim nie rozmawiać. Nie miała pojęcia, co było w dwóch metalowych rurkach, które zamierzała na zlecenie Sterna przewieźć bezpiecznie do Europy, ale musiało to być coś naprawdę niebezpiecznego, jeśli wiedziała o tym zaledwie garstka osób. Gdyby choć się domyślała, co musiała przemycić, nigdy by nie wyraziła zgody na tę kontrabandę.

– To co? – zapytała. – Odwiesz mnie do hotelu czy mam się rozejrzeć za taksówką?

– Odwiozę cię, ale pamiętaj, panno Schneider, kiedyś zapłacisz za swoje czyny i nie wyjdiesz z więzienia do później starości. Pewnego dnia cię odnajdę

i zaprowadzę przed oblicze sprawiedliwości. I ręka mi nie zadrży, gdy będę zapinał na twoich nadgarstkach kajdanki. A jeśli dostaniesz czapę, palcem nie kiwnę – odparł zimno.

Niedługo potem wyszli z mieszkania. Jeszcze całkiem niedawno takie spotkanie mogłoby się zakończyć zupełnie inaczej. Wylądowaliby w łóżku albo na dywanie i kochali się jak szaleni. Również pod tym względem byli dla siebie stworzeni. Szkoda tylko, że oprócz namiętności Connor nie miał jej nic więcej do zaoferowania. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, jego wyznania kompletnie straciły znaczenie.

Ona naprawdę się w nim zakochała. Na zabój. Odkąd zginął ojciec, ani przez jeden dzień nie czuła się bezpiecznie, a Connor to zmienił. Nie ufała ludziom, a zwłaszcza mężczyznom. Powiedzieliby jej wszystko i obiecali gwiazdkę z nieba, byleby została ich kochanką, a gdy szła namiętności im mijał, zapominali o swoich obietnicach. Nie chodziło o to, że jakiś mężczyzna ją zranił, ale pracowała w rozrywce, a w dusznych, ciemnych lokalach Kairu wszystko widać lepiej aniżeli na jego rozświetlonych ostrym słońcem ulicach. Znała wielu takich, którzy przysyłali jej kwiaty i deklarowali dozgonną miłość, a kiedy odmawiała pójścia z nimi do łóżka, z dnia na dzień znajdowali sobie inny cel do upolowania. Te, które dawały się nabrać, rychło mogły zaobserwować, jak często wielbiciel zmienia obiekt pożądania.

A teraz Connor był w Berlinie. I dowiedział się, że ona także tutaj jest. W Kairze była taka pewna siebie. I przekonana, iż Evans, chociaż jej nie kochał, nie wsadzi dawnej kochanki za kratki, a tym bardziej nie pośle na szafot, bo mogłaby go pociągnąć za sobą. Teraz to, co dla niej zrobił, było już bez znaczenia. I tak nikt by jej nie uwierzył. Connor miał tu o wiele większą władzę niż w Kairze, a ona nie miała ani zbyt dużo pieniędzy, ani koneksji. Nie miała szans. Zwłaszcza że straciła nawet swój dawny czar.

Od chwili gdy Connor Evans ją rozpoznał, czuła ściskający za gardło lęk. A jeśli popełniła błąd, obwiniając go o czyn, którego nie popełnił, Evans miał wszelkie powody, by zrujnować jej życie. Na szczęście nie wiedział, jak się teraz nazywała, więc przez jakiś czas mogła się czuć spokojna, ale była pewna, że wcześniej czy później ją znajdzie. Znając Connora, obstawiała, że wcześniej. Nie miała ani za co, ani dokąd uciec. Jedyne miejsce, w którym mogłaby się ukryć, to dom wuja Hermanna, ale i tam w końcu zapukałyby brytyjskie służby.

Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia stanie naprzeciwko niego i albo się ukorzy, albo napluje mu w twarz. Na to pierwsze Connor Evans raczej nie miał co liczyć, nawet jeśli niedługo potem miałyby zawisnąć na szubienicy albo pójść na długie lata do więzienia.



Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia, 1906

Mimo że Afryka Południowo-Zachodnia przypominała Dzikie Zachód, przybywało do niej coraz więcej osadników, a także niemieckiego wojska, ponieważ co chwilę wybuchały wojenki pomiędzy Schutztruppe a tubylcami.

Ich główny port, w Swakopmund, był już prężnie rozwijającym się miastem, pełnym kolonialnych willi, biur handlowych i brukowanych ulic. A mimo to w jednym z domostw osadnicy zostali zaatakowani przez tubylców. Napastnicy nie chcieli u siebie obcych, zwłaszcza że ci powoli zaczęli się czuć jak właściciele ich ziemi. Ten zuchwały napad stał się punktem zapalnym, a niedługo potem walki rozgorzały także na pozostałych terenach zajętych przez Niemców.

Przybyli z Rzeszy nowi żołnierze, najczęściej chłopcy z biednych dzielnic, nie mieli pojęcia o walce w pustynnym terenie i wciąż ponosili klęski. Osadnicy coraz częściej się skarżyli i swoimi kanałami próbowali wpływać na kanclerza, by ten w końcu przysłał artylerię i tylu ludzi, by można było zakończyć ten konflikt raz na zawsze. Oczywiście interesowało ich jedynie wyrzucenie poza nawias ich społeczności mieszkających tu od wieków plemion.

W każdym z biur kolonialnych wrzało, przedstawiciele osadników grzmieli, że nie czują się bezpieczni. Wśród mieszkańców zapanowała atmosfera strachu. Sądziło się, że pewne sprawy mają już za sobą i nic im nie grozi ze strony tubylców, ale ci pragnęli odzyskać swoją ziemię i nie zamierzali poddać się terrorowi kolonizatorów.

Jedynym azylem, który miał w owym czasie Joseph Schneider, był jego dom. Adio rósł jak na drożdżach i był bardzo pogodnym dzieckiem. Kunene robiła się coraz grubsza i w przeciwieństwie do europejskich kobiet była z tego bardzo dumna. Świadczyło to bowiem o jej zamożności i wysokim statusie społecznym.

Uwielbiała zakładać strojne, kolorowe suknie do ziemi, ozdabiać głowę wyszukanymi nakryciami i nie zważała na komentarze osadniczek. Josephowi nie bardzo podobały się dziwne kapelusze ani kiecki rodem z bajek o księżniczkach, ale akceptował Kunene razem z jej dziwnym gustem. Mógł ze spokojnym sumieniem nazywać ją idealną żoną i przymykał oko na jej wady i zwyczaje. Kiedy wracał z misji wojskowych wiedział, że w domu czeka na niego pełna ciepła i oddania żona oraz Adio, który kochał swoich rodziców ponad wszystko.

Gdy Schneider zasiadał na swojej werandzie z kufelkiem piwa i przyglądał się zachodom słońca, myślał sobie, że jest szczęśliwym człowiekiem i mógłby spędzić w taki sposób resztę życia. Bez pośpiechu, z bliskością morza z jednej strony i pustyni Namib z drugiej. Uwielbiał wyprawy z synem, kiedy to podglądali onyksy, surykatki czy dzikie ptactwo. Nie miał pojęcia, co zrobiłby ze sobą bez Adio i Kunene.

Kiedy więc jeden z niemieckich urzędników przywiózł informację o nowym prawie, nakazującym osadnikom niemieckim wydalenie z domów swoich czarnoskórych żon i konkubin, Joseph wpadł w gniew.

– Powariowaliście?! To moja żona i mój syn, i tak pozostanie – powiedział jednemu z urzędników, który objaśniał nowe zarządzenie niemieckiego kanclerza.

Mężczyzna usiłował wytłumaczyć Josephowi, że kanclerz jest bardzo zaniepokojony zanieczyszczeniem niemieckiej krwi przez kontakty białych z czarnoskórymi. Gdy dotarły do Rzeszy informacje, że mężczyźni, których w kolonii było zdecydowanie więcej, biorą za życiowe partnerki kobiety z tubylczych plemion i płodzą z nimi dzieci, czystość rasowa stała się nagle sprawą pierwszorzędną.

Joseph nie dawał jednak za wygraną, w końcu walczył o prawa dla swojej rodziny i nie rozumiał, jak można było wpaść na tak szatański pomysł, by rozdzielać żony i mężów.

Przybyły do Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej wysłannik kanclerza wyglądał bardzo dostojnie. Dobrze skrojony surdut, bujne wąsy i monokl upodabniały go z wyglądu do Otto von Bismarcka, byłego kanclerza Rzeszy. Mimo postawy Schneidera i kilku innych mężczyzn urzędnik nie stracił zimnej krwi i monotonnym głosem przemawiał:

– Rozumiem panów, ale kierujecie pretensje do niewłaściwej osoby. Ja jedynie wykonuję swoje obowiązki i przybyłem tutaj, by przekazać nowe zarządzenia. Informuję, że jeśli ktoś nie zechce zastosować się do obecnie obowiązującego prawa, straci niemieckie obywatelstwo. Nadmienię również, że od tej chwili małżeństwa z czarnoskórymi kobietami w świetle niemieckiego prawa będą unieważniane.

Mężczyzna zachowywał stoicki spokój, bo najpewniej przywykł do reakcji osadników, którzy nie chcieli się zgodzić na odprawienie żon i kochanek do ich rodzimych plemion. Być może z odesłaniem kobiet nie miałoby aż tak wielkiego problemu, ale na świecie pojawiło wiele mieszanych dzieci. Tak jak jego Adio. A to komplikowało wiele spraw.

– Zatem proszę bardzo. Nie muszę być Niemcem. I kwit, że Kunene jest moją żoną, nie jest mi do niczego potrzebny – warknął Schneider.

– Zatem zapisuję i informuję, że zostaną podjęte w imieniu Cesarstwa Niemieckiego odpowiednie kroki prawne.

– Zatem pocałujcie w mnie w dupę! – syknął.

Mężczyzna odłożył pióro i popatrzył znad okularów na Schneidera.

– Mówił pan coś? – zapytał tym samym monotonnym głosem.

– Nie – odparł i wyszedł z biura kolonialnego.

Nie obawiał się żadnych reperkusji. Uznał, że to, co chciano zrobić, było nieludzkie i nie zamierzał się stosować do nowego prawa. Uważał, że jest wolnym człowiekiem i ma prawo się żenić, z kim chce. Zagładanie ludziom do łóżek było, jego zdaniem, jakimś chorym wymysłem obleśnych starców, którzy czarnoskórego człowieka widywali jedynie na rycinach.

Joseph zaczął się niepokoić o los swojej rodziny dopiero wówczas, gdy na południowoafrykańskiej ziemi postawił nogę bezwzględny generał Adrian Dietrich Lothar von Trotha, który miał ponaddziesięcioletnie doświadczenie w armii kolonialnej w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Cieszył się bardzo złą sławą, a niemiecki gubernator nawet złożył na niego skargę do kanclerza. Jego praktyki nazwał barbarzyńskimi i niedopuszczalnymi. Chodziło o masowe mordy dokonywane na miejscowej ludności, których w żaden sposób nie można było

wytłumaczyć wyższą koniecznością. Von Trotha stosował terror i uważał, że to jedyny sposób na spacyfikowanie ludów afrykańskich.

Mimo fatalnej opinii, która ciągnęła się za generałem, uznano, że tylko taki człowiek może w końcu zaprowadzić porządek w Afryce Południowo-Zachodniej. Dano mu wolną rękę, więc von Trotha postanowił nie liczyć się z cywilną władzą, którą sprawował w kolonii gubernator. Wraz z generałem przybyło także wielu oficerów i szeregowych żołnierzy, w tym kapitan Hermann Dagenhardt, a także kilkanaście osadniczych rodzin.

Joseph szybko znalazł wspólny język z Dagenhardtem. Obaj mieli podobne cele – wzbogacić się, a gdy to już nastąpi, wieść spokojne i beztrudne życie. Polubił Hermanna, mimo że ten zbyt często chciał wyciągać go na hulanki w towarzystwie białych kobiet. Nic nie miał do Kunene, po prostu wiernych mężów uważał za frajerów.

Joseph nie gardził towarzystwem osadników, ale czasami czuł się wśród nich jak outsider, ponieważ miał czarną żonę. Jeśli ktoś nazywał tubylców dzikusami albo szympanсами, milkł, gdy Joseph znajdował się w pobliżu. To byli ci ludzie, którzy uważali, że swoim małżeństwem niszczył on białą rasę. Według większości obywateli niemieckich biały człowiek był niemalże pomazańcem boskim, który otrzymał rolę zarządcy we wszystkich zakątkach świata. Inne rasy zaś stały na tyle nisko w drabinie społecznej, że nie należało się z nimi liczyć. Zabicie dzikiego człowieka stawiali na równi z upolowaniem antylopy.

Schneider nie chciał się jednak zupełnie izolować i usiłował jakoś pogodzić życie z czarnoskórą żoną i synem oraz ze śmietanką towarzyską z Windhuk. Robił z tymi ludźmi interesy, więc nie mógł się ciągle obrażać za ich rasistowskie poglądy.

Któregoś wieczoru grali z Hermannem w kanastę w willi kupca artykułów kolonialnych Heinricha Vogla i popijali prawdziwe niemieckie piwo, gdy gospodarz domu przyprowadził na werandę swoją córkę, Ilse. Niespecjalnie spodobała się Josephowi, była zbyt hałaśliwa. Przywykł do małomównej i spokojnej małżonki, więc ciągły jazgot trochę mu przeszkadzał. Poza tym Ilse nie miała w swoim w wyglądzie żadnej subtelności. Męskie rysy twarzy, zamaszyste ruchy podczas chodzenia i nieco ochryply głos odbierały jej całą kobiecą delikatność.

Dopiero z czasem ją polubił, a nawet zaprzyjaźnili się ze sobą. On od wielu lat żył na tym dzikim kontynencie, gdzie wieści dochodziły z opóźnieniem

i wystarczyło wyjechać za rogatki miasta, by zobaczyć prymitywne chaty zrobione z gliny i łajna. Ilse była czytana, obeznana z premierami teatralnymi i operowymi i stanowiła jego małe okno na cywilizowany świat. Co prawda, bywał w Europie, by odwiedzić rodzinę, ale odkąd ojciec się dowiedział, że poślubił „dzikuskę”, nie chciał go widzieć na oczy. Joseph stracił ostatni powód, dla którego musiałby się tłuc statkiem przez wiele tygodni. Czekał, aż ojciec zmięknie, niekiedy też przysyłał przez Dagenhardta listy do niego, ale stary Schneider nie zamierzał wybaczyć synowi, dopóki ten będzie żył z „małpą”. Tak właśnie wyrażał się o Kunene i trwożył się, że czarnoskóra kobieta wychowuje jego wnuka. Mimo iż Adio miał skórę koloru kawy z mlekiem, był gotowy go zaakceptować. Synowej – nigdy w życiu.

Od chwili gdy na Wybrzeżu Szkieletowym postawił nogę von Trotha, wszystko zaczęło się zmieniać. Jedni uważali, że potrzebna jest twarda ręka, inni, w tym Joseph, byli nieco przerażeni pomysłami generała. Mimo że po jego przybyciu w kolonii zaczęła panować dwuwładza, von Trotha nie liczył się z tą drugą, czyli z gubernatorem, i wprowadził dyktaturę wojskową. Od razu zapowiedział, że będzie stosował terror i okrucieństwo, by zupełnie ubezwłasnowolnić tubylców.

Pierwszą wojnę wytoczył Hererom i dążył do ich unicestwienia z pełną determinacją. Żołnierze ostrzeliwali wioski, obrzucali je granatami, a tych, którzy przeżyli, dobijali. Nie zważali, czy mordują wojowników Herero, czy bezbronne kobiety i dzieci. To dla generała nie miało kompletnie żadnego znaczenia. Gdyby miał możliwości sprzętowe i personalne, wybiłby ich co do jednego, bez względu na wiek czy płeć.

Tego dnia Joseph wracał z pola bitwy pod Waterbergiem przez busz. Tym razem nie patrzył na suchorośla, ale na trupy. Wszędzie leżały ciała Hererów i gnijące, wzdęte bydłęcz truchła. Szakale i sępy właśnie sobie robiły ucztę z ich wnętrzności, podobnie zresztą jak muchy. Nawet jego koń stawiał opór i nie chciał iść przez to morze nieboszczyków i padliny. Gdy Joseph chciał zsiąść, by napić się wody z brudnej kałuży, musiał stanąć nogą na jakiejś zastrzelonej starszej kobiecie. Najchętniej wcale by się nie zatrzymywał, ale miał już spuchnięte z pragnienia usta i wiedział, że nie da rady dłużej utrzymać się w siodle, jeśli choć nie zwilży warg.

Pochylił się nad niecką z mętną wodą, wypił kilka łyków i odwrócił głowę. Tuż obok leżała martwa kobieta, a kawałek dalej jej płód. Całą jej twarz obsiadły tłuste muchy, podobnie jak usta i nozdrza staruszki, której wykrzywione ciało spoczywało obok suchej kępy pustynnej trawy.

Rozejrzał się z obrzydzeniem dookoła. Jeśli tak miał wyglądać świat według von Trothy, on nie chciał do niego należeć. Miał ochotę wymiotować. Jechał do siebie przybity, ponieważ miał już dość oglądania trupów, pławienia się w bezsensowych masakrach i patrzenia, jak jego żołnierze zamieniają się w bestie.

Kiedy był już blisko domu, zobaczył grupę ludzi, stojącą w pobliżu jego posesji. Od razu pomyślał, że musiało wydarzyć się jakieś nieszczęście. Pogoniłby szybciej swojego konia, ale ten również był wyczerpany po długiej drodze przez połacie wyschniętej ziemi.

Na schodach wiodących na patio stał Dawid Huckmann. Nie przywitał się z Josephem, tylko powiedział smutnym głosem:

– Nie wchodź tam. Może lepiej będzie, jeśli tego nie zobaczysz...

Nawet go nie słuchał. Wbiegł do domu i ujrzał leżącą na posadzce w salonie Kunene. Kwiecistą długą spódnicę żony ktoś podciągnął tak wysoko, że zasłonił jej twarz. Rozłożone szeroko nogi kobiety świadczyły o tym, iż dopuszczono się na niej gwałtu. Jednak wcześniej *sjambokiem* porozcinano jej skórę na udach. Krwawe pręgi wyglądały tak, jakby ktoś usiłował pokroić nogi Kunene na plastry.

Odsunął z twarzy żony materiał spódnicy. Kobieta miała poderżnięte gardło i nawet gdyby podpalił świat, nie był w stanie jej uratować. Ogromne czarne oczy patrzyły nieruchomo w sufit. Opuścił jej spódnicę i okrył łono, by nie odbierać żonie resztek godności. Tego dnia widział wiele trupów, ale nie docierało do niego, że jednym z nich jest Kunene i nie zobaczy już nigdy jej uśmiechniętej twarzy. Nie chciał wierzyć w to, co się stało. W jego głowie pojawiła się myśl, że gdy teraz opuści dom i wróci doń za godzinę czy dwie, zastanie żonę w rattanowym fotelu na ich werandzie.

– Gdzie Adio? – zapytał, z trudem hamując płacz.

– Uciekł. Jest na misji. Powiedział, że to byli żołnierze od von Trothy – oznajmił ze smutkiem w głosie misjonarz.

Pomyślał z goryczą, że Kunene podzieliła właśnie los swoich pobratymców z plemienia Herero. I zdał sobie sprawę, że ani za tę zbrodnię, ani za te dokonane

pod Waterbergiem nikt nie odpowie. Nie mógł liczyć, że ktoś zapłaci za śmierć jego żony. Tubylcy według wielu osadników i władz w Rzeszy nie byli ludźmi, a zatem nie było się nad czym rozczulać. Poza tym wedle nowego prawa Kunene już nie była jego żoną.

Został w Windhuku, bo musiał zająć się synem, który nie znał innego świata oprócz złowrogiego wybrzeża oceanu i bezkresnej pustyni Namibu. Postanowił, że odejdzie ze służby wojskowej i zajmie się hodowlą bydła albo handlem towarami kolonialnymi. Nie wiedział tylko, jak sobie poradzi z Adio, który był bardzo przywiązany do swojej matki. Niestety Kunene nie dała mu więcej dzieci, ale i tak uważał ją za najlepszą istotę, którą miał okazję spotkać na swojej życiowej drodze.

Po kilku miesiącach, gdy Joseph zaczął się powoli godzić ze śmiercią żony, a sprawcy mordu nie zostali zidentyfikowani, Hermann namówił go, by ożenił się z Ilse. Dla dobra dziecka. Uznał, że to jest dobry pomysł, a panna Vogel godnie zastąpi Adio matkę. Nie kochał tej kobiety i nie pociągała go w najmniejszym stopniu, ale w tym momencie liczyło się dla niego tylko szczęście syna. Dzieciak wciąż potrzebował opieki i matczynego ciepła. Zdawał sobie sprawę, że żadna nie dorówna Kunene, ale Ilse była wykształcona, inteligentna i liczył, iż dzięki niej Adio nabierze ogłady, pozna europejskie maniery i nauczy się od swojej macochy wielu ciekawych rzeczy. Jakże się pomylił...

Zaczął rozkręcać swój kolonialny interes i nie miał pojęcia, że jego syn przechodził przez piekło. Ilse okazała się fanatyczną rasistką i uważała Adio za dzikusa, którego należy traktować jak bezpańskiego psa. A im dłużej nie mogła zajść w ciążę, tym bardziej znęcała się nad synem Kunene. Podawała mu jedzenie w psiej misce, zamykała na długie godziny w komórce, gdy przychodziły do niej miejscowe plotkary, i biła wszystkim, co wpadło w jej ręce. Nienawidziła chłopca i powtarzała mu, że gdy tylko urodzi się nowe, białe dziecko, on wróci do swoich szałasów z gówna. Twierdziła również, że tak powiedział jego ojciec i w pełni popiera jej metody wychowawcze. Jeśli zaś dzieciak piśnie choć słowo, skończy jak jego matka i nawet nie będzie miał swojego nagrobka, jak Kunene, bo jego truchłem zajmą się szakale i inne drapieżniki.

Syn Josepha był tak zastraszony przez swoją macochę, że nigdy się nie skarżył. Siniaki, zadrapania czy skaleczenia zrzucał na swoją nieporadność. Któregoś dnia jednak Ilse pozostawiła zbyt widoczne ślady, by Schneider mógł ich nie zauważyć albo przejść nad nimi do porządku.

– Ilse, dlaczego Adio ma na plecach pręgi, jakby go ktoś wychłostał? – zapytał rozgniewany.

Owszem, uważał, że każdy chłopak powinien dostać lanie, gdy jest nieposłuszny, ale to było coś więcej. On nigdy nie musiał podnosić na syna ręki i tego nie robił.

– Musiałam go ukarać, kochanie. Był bardzo niegrzeczny.

– A co takiego zrobił? – zapytał Joseph zimno.

– Opluł mnie – odparła po dłuższej chwili wahania.

– Myślę, że kara była za surowa. Następnym razem, gdy Adio będzie nieposłuszny, powiedz o tym mnie i ja mu wymierzę karę. Nie pozwalam, żebyś biła tak mocno mojego syna, nawet jeśli narozrabia.

– Naprawdę masz wiele serca dla tego swojego małego szympana – burknęła.

– Jeszcze raz go tak nazwiesz, a odeślę cię najbliższym statkiem do Europy – wycedził.

– Przypląnęłam tu z ojcem – prychnęła.

– Odeślę cię w trumnie, Ilse – dodał zimno.

Od tej pory Ilse już nie tłukła Adio tak mocno jak przedtem. Jednak dzieciak nie mógł liczyć na jej czułość i marzył, żeby mieszkać tylko z ojcem, a nie również z tą okrutną kobietą. Mimo to wolał, gdy go ignorowała, aniżeli miałyby znowu się nad nim pastwić.

Wszystko, co w życiu młodego człowieka najważniejsze, Adio Schneider otrzymał od ojca. Gdy stał się nastolatkiem, przyrzekł sobie, że gdy dorobi się potomstwa, nigdy nie pozwoli, by w razie dramatycznych splotów okoliczności wychowywała je obca kobieta. Ilse przywoływała w nim jak najgorsze wspomnienia i nienawidził swojej macochy z całego serca. Nie chciał jednak, by ojciec kłócił się ze swoją nową żoną, a potem chodził smutny albo podenerwowany. Udawał więc, że jego relacje z Ilse są jak najbardziej poprawne.

Tymczasem generał von Trotha dokonał tego, co wydawało się niemożliwe – niezależny naród Herero prawie przestał istnieć. Ci, którym udało się przetrwać okrutne rzezie, albo uciekali na pustynię, gdzie czekało ich powolne konanie, albo musieli zdać się na łaskę i niełaskę niemieckich panów. W przypadku Herero zawsze była to niełaska.

Ostatni raz Schneider pełnił służbę, gdy udał się wraz ze swoimi oddziałami do Osombo zoWindimbe, wioski znajdującej się nieopodal wyschniętego koryta rzeki Eiseb. Von Trotha zarządził zbiórkę i w towarzystwie swoich najważniejszych oficerów, Paula von Lettow-Vorbecka i Franza von Eppa, odczytał tekst proklamacji. Jeden z jego podkomendnych rozdał mieszkańcom kartki z przemową przetłumaczone na język otjiherero. Generał oświadczył w swojej odezwie, że tubylcy mają opuścić swoje ziemie, a jeśli pojawią się w granicach, które on wyznaczył, zabije wszystkich, łącznie z kobietami i dziećmi.

Potem dał sygnał i żołnierze przyprowadzili trzydziestu pięciu schwytanych Hererów, głównie kobiet, dzieci i starców. Spośród nich wybrano dwóch mężczyzn i powieszono ich na zbitym naprędcie szafocie. Nakazał, aby pozostali patrzyli na ten ponury i okrutny spektakl, a później przegonił ich na bezdroża i pustynne wydmy. To miał być pokaz siły i ostrzeżenie dla innych, by nigdy więcej nie próbowali się zbliżyć do swoich niegdyśiejszych pastwisk i osad.

Żołnierze, którym również nie oszczędzono tego strasznego widoku, usłyszeli także rozkaz, który padł z ust von Trothy. Ich obowiązkiem było *Vernichtungsbefehl*, czyli eksterminacja miejscowej ludności.

Masowe egzekucje nie uszły uwadze międzynarodowej opinii publicznej i generał postanowił wykończyć miejscową ludność w inny sposób. Niedługo potem von Trotha wprowadził w czyn swoje zamierzenia i stworzył system zamkniętych obozów na wzór tych, które budowali Brytyjczycy w Kraju Przylądkowym w czasie wojen burskich. Panowały tam nieludzkie warunki. Ci, którzy trafili do ogrodzonych drutem kolczastym stref, zaczęli żałować, że nie spotkał ich taki sam los jak innych członków narodu Herero i nie zginęli od śmiertelnej kuli albo nie zostali rozerwani przez granat.

Po wydarzeniach w Osombo Joseph długo nie mógł dojść do siebie. Kiedy stał na skąpanym w słońcu klepisku i przyglądał się tej obrzydliwej egzekucji, miał w głowie tylko jedną myśl – nie będzie musiał nigdy więcej w podobnych

wydarzeniach brać udziału, ponieważ jego służba w Schutztruppe właśnie dobiegła końca.

*Berlin 1947*

Erik Weber podjechał rowerem przed biuro Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i łańcuchem przytwierdził go do metalowej barierki. Wszedł do pokoju kierowniczkii. Wskazała mu stolik i krzesło, a potem przyniosła kilka opasłych tomów. Położyła jej przed Weberem i powiedziała:

– Zaznaczyłam wszystko, co znalazłam. Wiem, że chciałby pan zrobić zdjęcia.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się z wdzięcznością do kobiety.

Usiadła naprzeciwko niego i stwierdziła ze smutkiem:

– Tak naprawdę to nie wiem, co jeszcze chciałby pan w tych aktach znaleźć. Pana Alfreda Kleina nikt nie szukał. On za to przekazał nam listę kilku osób ze swojej rodziny. Niestety, ustaliliśmy, że większość z nich nie żyje. Żona i dwoje dzieci zginęli podczas bombardowania. Nie udało się nam zlokalizować brata pana Kleina, Ottona, więc być może on także nie żyje. No ale nie mamy tego potwierdzonego, więc nie został wykreślony. Wszystko przekazaliśmy w piśmie do was.

– A może szukał kogoś spoza rodziny? – zapytał, niemal zdesperowany.

– Zaraz sprawdzę – westchnęła naburmuszona kobieta. Już raz sprawdzała te akta i napisała, kto z rodziny Kleina się odnalazł, a kto nie. Otworzyła jeden ze skoroszytów i popukała w rubrykę, w której widniało nazwisko Kleina. – Jest. Szukał jeszcze jakiejś Ann-Katrin Schneider.

– To dlaczego nie wymieniono jej nazwiska w piśmie do nas? – zapytał poirytowany.

– Pytaliście o rodzinę. – Wzruszyła ramionami.

– A na jakiej postawie uznaliście, że ta kobieta nie należy do jego rodziny?

– Tu jest taki znaczek przy nazwisku. To oznacza, że nie ma między nimi pokrewieństwa. Wie pan, matka, dzieci, rodzeństwo – to jest dla nas priorytet, co nie znaczy, że ignorujemy również poszukiwanie osób obcych.

Weber wgapił się w krótką listę, z której wykreślono trzy nazwiska. Żony i dzieci Kleina. Pozostałe dwa należały do brata, Ottona Kleina, i Ann-Katrin Schneider. Kobieta najpewniej była kochanką doktora, którą poznał na innym kontynencie. Tylko dlaczego wobec tego szukał jej w Europie?

– Sprawdzę Ottona Kleina w rejestrze zbrodniarzy. Może oni coś o nim wiedzą. A czy macie jakąś informację na temat tej Schneider? Jakąkolwiek?

– Niestety, musi pan trochę poczekać.

Urzędniczka opuściła biuro i Erikowi się wydawało, że nie ma jej bardzo długo, chociaż minął zaledwie kwadrans. Gdy wróciła, oznajmiła:

– Sprawdziłam tę Schneider w innym rejestrze, ale nic tam ciekawego nie ma. Widnieje tylko adnotacja przy jej nazwisku, że jeśli się odnajdzie, mam natychmiast zameldować o tym do Centralnego Rejestru Zbrodniarzy i Podejrzanych.

Uniósł brwi.

– O co ją oskarżają? – zapytał.

– Niestety, nie mamy takiej informacji, panie komisarzu. Musi pan pójść do rejestru. Tam na pewno panu powiedzą – odparła przepaszająco.

– Rozumiem, dziękuję. A to normalne, że dalsi krewni nie są zainteresowani odnalezieniem członków swoich rodzin? Ta lista u pana Kleina jest wyjątkowo krótka.

– Różnie bywa, najczęściej są to naczynia połączone. Ludzie już się ze sobą komunikują, więc nie ma potrzeby angażowania w to instytucji, która, jak wiadomo, ma mnóstwo takich spraw i działa dość wolno. Co nie znaczy, że opieszale. Jednak mamy ograniczone możliwości – zaczęła się tłumaczyć kierowniczką.

– Nie musi mi pani tego mówić. – Uśmiechnął się. – Wiem, z czym muszę się borykać każdego dnia.

Tak, lubił sobie ponarzekać, mimo że jechał na tym samym wózku co inni. Dostał nawet przydomek. Jego podwładni i współpracownicy za plecami nazywali go „Erik Maruda”. Nie czuł się urażony, nawet go to trochę bawiło, ale nie

zrezygnował ze swoich rytuałów i nadal każdy dzień pracy zaczynał od utyskiwania. A potem brał się z zapałem do roboty. Po prostu chyba mu pomagało, gdy sobie pogadał, w jak trudnych warunkach musi pracować.

– Tak więc nie mogę panu bardziej pomóc – powiedziała przepaszająco.

– A jeśli chodzi o Rudolfa Schachta? Ma pani dla mnie nieco lepsze wieści? Oficjalne pismo już do was wpłynęło, ale skoro już tu jestem, chętnie zrobię sobie stosowne notatki.

Kobieta znowu opuściła pomieszczenie, by znaleźć odpowiednie akta, ale tym razem nie musiał na nią czekać aż kwadrans.

– Tak, rodzice i siostra Schachta mieszkają teraz w Essen. Zapiszę panu adresy. Wykreśliliśmy ich z rejestru, bo najpewniej rodzina już nawiązała ze sobą kontakt – powiedziała uradowana.

Chyba miała już dość komisarza, który zabierał jej cenny czas i zadawał pytanie, na które albo nie potrafiła odpowiedzieć, albo musiała robić mu wykład na temat funkcjonowania takiej instytucji jak MCK.

Weber odetchnął z ulgą. Znalazł przynajmniej rodzinę drugiej z ofiar. Niestety, czekała go podróż do Essen i coś znacznie bardziej przykrego niż ścisk w pociągu – poinformowanie tych ludzi, że ich bliski został zamordowany. Miał jednak jakiś cień nadziei, że dowie się również czegoś istotnego na temat życia Rudolfa Schachta. Na razie wiedział jedynie, że służył w Afriki Korps razem z drugą ofiarą, a w czasie gdy robiono zdjęcie, miał stopień kapitana. I że panowie kłócili się o jakąś kobietę.

Rozłożył skoroszyty i wykonał kilka zdjęć. W tym momencie nie były mu do niczego potrzebne, ponieważ równie dobrze mógł zrobić notatki, ale sam nie wiedział, co może mu się przydać, gdy już zatrzyma mordercę i postawi go przed obliczem sądu.

W Centralnym Rejestrze Zbrodniarzy Wojennych i Podejrzanych dowiedział się, że Ottona Kleina w nim nie ma. Erik stwierdził, że jeśli ów człowiek żyje, najpewniej mieszka teraz na innym kontynencie i nie ma z nim żadnego kontaktu. Gdyby jednak miał się założyć, obstawiałby, że nie żyje. W przeciwnym razie szukałby swojego brata. Należało go również wykluczyć z grona podejrzanych.

Dużo ciekawiej natomiast przedstawiała się sytuacja Ann-Katrin Schneider.

– Tak, mamy tę osobę, ale wszystko, co jej dotyczy, jest ściśle tajne. Proszę wystąpić do Rady Kontroli Niemiec w sektorze brytyjskim o zgodę na wgląd do akt i wtedy skierują pana do odpowiedniej komórki. Do sekretariatu biura gubernatora wojskowego z sektora brytyjskiego – powiedział spokojnie żołnierz.

– Ta kobieta być może jest zamieszana w morderstwo – jęknął Weber.

– Ja nic tu nie wymyślę. Musi być zgoda. Myślę jednak, że jeśli w grę wchodzi tak poważna sprawa, nikt nie będzie czynił panu przeszkód. Poza tym nawet gdybym chciał panu pomóc i zajrzeć do tych akt, łamiąc przepisy, to i tak nie mógłbym tego zrobić, ponieważ dokumentacja panny Schneider najpewniej znajduje się w archiwach wywiadu. W każdym razie u nas jej nie ma.

Weber opuścił budynek, w którym mieścił się rejestr, i choć nie uzyskał zbyt wielu informacji, przynajmniej złapał jakiś trop. Wiedział także, kto może mu pomóc w przyśpieszeniu tych cholernych biurokratycznych procedur. Od razu więc udał się do swojego znajomego, majora Connora Evansa.

Jak zawsze w Radzie Kontroli panowało zamieszanie. Pełniła rolę rządową i to właśnie tu powstawały wszelkie dyrektywy, rozporządzenia i tak zwane Ustawy Rady Kontroli. Z trudem uzyskał informację, że Evans jest teraz na ważnym spotkaniu i będzie dostępny za jakieś dwie godziny.

Wrócił do siebie i pomyślał, że musi przedstawić Connorowi jakieś konkretne argumenty. Byli kolegami, ale nie chciał, by major łamał bądź naciągał dla niego obowiązujące zasady. Zapakował do teczki akta i pojechał z powrotem do amerykańskiej strefy, gdzie przy Elßholzstraße 30–33 mieściła się Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec.

– Nareszcie – powiedział Weber, siadając na krześle w pokoju Evansa. – Jesteś rozrywany, kolego. Niedługo trudniej będzie się do ciebie dostać niż do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Przepraszam, stary, ale mamy ogrom pracy. Lepiej powiedz, co cię do mnie sprowadza – odparł ze śmiechem.

– Mam akta sprawy Kleina i Schachta. Jeśli masz taką możliwość, możesz zrobić ich fotokopię. Chodzi o pozwolenie na wgląd do dokumentów dotyczących pewnej kobiety, która być może jest zamieszana w to morderstwo – powiedział Weber.

– Sam mówiłeś, że kobieta nie mogłaby tak zmasakrować doktora. – Zmarszczył brwi i od razu jego twarz nabrała surowości.

– Ale może to ona była współniczką, która stała na czatach albo przyglądała się tej masakrze. Przepraszam, że cię w to angażuję, ale to mój jedyny trop. Wiem, że oficjalna droga jest możliwa, ale się spodziewam, że może potrwać kilka miesięcy, a ja nie mam tyle czasu. Nie mam pewności, czy morderca poprzestanie na tych dwóch osobach, czy może pojawi się kolejna ofiara – tłumaczył Weber.

– A dlaczego odmówiono ci wglądu do jej akt? – zdziwił się Evans. W niewielu przypadkach dokonywano takich adnotacji.

– Klauzulę wniosło MI6. Wasz wywiad. Masz tam kogoś znajomego, kto mógłby mi pomóc? – Erik zdawał się zdesperowany. – Posłuchaj, Connor, naprawdę nie interesuje mnie, co robiła podczas wojny, ale co robi obecnie. Może wywiad wie, gdzie jest albo jaki miała związek z Kleinem bądź Schachtem.

– Podaj mi nazwisko, zobaczę, co da się zrobić, a potem poprosimy Ellen, by zrobiła fotokopię akt. – Posłał w kierunku Webera życzliwy uśmiech. Może nie chciał, by Erik znowu zaczął się uskarżać na warunki pracy i na to, że wszyscy robią mu pod górkę.

– Ann-Katrin Schneider, urodzona w Kairze w tysiąc dziewięćset dwudziestym – wyrecytował.

Major Connor Evans momentalnie przestał się uśmiechać.

– Jeśli urodziła się w Kairze, co miałyby tutaj robić? – zapytał.

– Nie wiem, błędę po omacku i zaczynam coraz mniej rozumieć. Wybacz, ale to mój jedyny trop... W szpitalu też mi niczego nie powiedzieli. Klein miał wielu pacjentów i każdy mógł być potencjalnym mordercą, ale musiałbym sprawdzić kilkaset osób. Przy takim stanie osobowym jest to po prostu niemożliwe. Zwłaszcza że jeśli ktoś chciał sprzątnąć doktora, raczej nie pałętałby się po pełnym ludzi szpitalu – jęknął Weber i wyciągnął z teczki kilka zdjęć. – Zobacz, odcisk dłoni, zeznanie sąsiadki, no i ten włos. Bardzo nietypowy jak na Niemcy. Na zdjęciu nie widać, ale jest niemal czarny. Może należy do kobiety arabskiego pochodzenia, a ta cała Schneider urodziła się przecież w Egipcie.

– Nie uważasz, że to dość daleko posunięta spekulacja? Niemka urodzona w Kairze może być jasną blondynką, a Niemka żydowskiego, cygańskiego czy jakiegokolwiek innego pochodzenia może mieć ciemne włosy – stwierdził Connor.

– Przecież nie chcę jej od razu wsadzić za kratki, tylko z nią porozmawiać. Klein jej szukał. W MCK jest adnotacja, że nie zdołał jej odnaleźć i nie wiadomo, co się dzieje z panną Schneider. W rejestrze zbrodniarzy zaś nawet nie mają jej akt, bo te znajdują się w waszym wywiadzie. Pewnie nikt nie ma czasu, żeby przeanalizować pewne kwestie, a ja chętnie się tym zajmę i postaram się ją zlokalizować. Oczywiście nie wiem, czy mi się uda, ale chciałbym spróbować. Klein dokonał wpisu kilka miesięcy przed swoją śmiercią. W jakimś celu to zrobił, prawda? – Erik usiłował przekonać Connora, że odnalezienie panny Schneider jest sprawą priorytetową. Albo przynajmniej odkrycie, co ją łączyło z ofiarą.

– Wyjaśnienie może być prostsze, niż myślisz. Klein walczył w Afryce, znalazł sobie kochankę i teraz jej szuka. Sądzisz, że jeśli czułby się przez nią zagrożony, podstawiłby się jej? To się kupy nie trzyma. – Machnął ręką.

– Pomożesz? – Weber zaczął się niecierpliwić.

– Spróbuję – odparł chłodno. – Ale jeśli mi się nie uda, mam nadzieję, że nie będziesz miał do mnie pretensji. Wywiad rządzi się swoimi prawami.

– Absolutnie nie. Jeśli się okaże, że ta kobieta nigdy nie postawiła nogi na niemieckiej ziemi, odpuszczę.

– To możliwe, MCK zajmuje się poszukiwaniami na całym świecie.

– A masz jakiś pomysł, dlaczego znalazła się w rejestrze zbrodniarzy? – zauważył bystrze Erik.

– Mogła zniknąć wywiadowi z oczu w Kairze i też próbują wszystkiego, by ją znaleźć. Jednak zdrowy rozsądek mi podpowiada, że musiałyby być szalona, aby przybyć do Berlina. To tak jakby wkładała łeb do paszczy lwa. – Zaśmiał się.

– Ale jeśli w grę wchodziły jakieś duże pieniądze, jakieś cenne rzeczy zrabowane przez ludzi Rommla w Afryce, mogłaby zaryzykować – upierał się Weber.

– I na pewno zrobiłaby to pod własnym nazwiskiem – prychnął Evans. – Pogadam, pomyszkuję, ale niczego nie mogę ci obiecać. Na razie usiłuję przypomnieć sobie wszystkie egipskie afery.

– Znałeś kogoś z kairskiego oddziału MI6? Może oni by coś wiedzieli?

– Posłuchaj, zajmę się tym, a ty rób swoje.

– Odnalazłem rodzinę Schachta. Liczę, że oni mi coś ciekawego powiedzą – westchnął Erik.

– Widzisz, może oni rozjaśnią ci w głowie i będą coś wiedzieli o tej Schneider – pocieszył go Evans.

Zawsze dodawał mu otuchy, choć zapewne robił to z czystej kurtuazji. Miał swoje obowiązki, a wysoka przestępczość w Berlinie nikogo nie dziwiła.

W czasie gdy Ellen robiła fotokopie, wypił z Connorem kawę. Prawdziwą, chociaż niezbyt smaczną. Nie mogła się równać tej, którą pijał, gdy jeszcze Rzesza miała się dobrze. Nie powinien jednak narzekać, w domu nie miał nawet takiej.

Bardzo liczył na Connora. Co prawda, nie miał pojęcia, jak wyglądało życie Evansa w Egipcie i Palestynie, ale na pewno był bardziej zorientowany w tamtejszych układach niż on.



Berlin, 1947

Connor nie miał pojęcia, jak się mu udało odgrywać rolę idioty, gdy rozmawiał z Erikiem. Gdyby nie padło nazwisko Ann-Katrin, pewnie już by dzwonił do odpowiednich osób, by się dowiedzieć, kim była poszukiwana przez komisarza osoba. Gdy Weber wymienił jej imię i nazwisko, o mały włos nie spadł z krzesła. A teraz nerwowo palił papierosa i się zastanawiał, w co tym razem wpakowała się ta kobieta. Nie zamierzał jednak rzucić jej na żer policji. I musiał znaleźć ją pierwszy, zanim zrobi to dość sprytny komisarz Weber. Jemu zaś powie, że ich wywiad dogadał się panną Schneider i nie ma sensu skupiać uwagi na jej osobie. Nie miał pojęcia, czy to wystarczy, ale musiał dać sobie trochę czasu.

Był wściekły na pracowników Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ponieważ mieli go informować o wszystkim, co się dzieje wokół osoby Ann-Katrin. Być może im to umknęło, w końcu panna Schneider się nie odnalazła, ale chyba potrzebował zrzucić na kogoś winę i zdawał sobie sprawę, że gdy tylko pojawi się w biurze MCK, rozpęta piekło.

Musiał ochłonąć i pomyśleć, jaki związek mogła mieć Ann-Katrin z doktorem Kleinem. Najprawdopodobniej poznała go przez Dagenhardta, być może nawiązała z nim współpracę za pośrednictwem Markusa Sterna, ale, do licha, wojna już się skończyła, więc jakieś szpiegowskie sprawy raczej nie wchodziły w grę. Mógłby przyjąć hipotezę, że kobieta podwędziła im coś cennego i teraz chcą to odzyskać, ale przecież kipiśz zrobiono w domu doktora. Jakie jeszcze tajemnice nosiła w sobie Ann-Katrin? I dlaczego kolejny raz musiał wyciągać ją z kłopotów? Właściwie nie miał pojęcia, z jakiego powodu to robił. Chyba czuł się trochę winny wobec niej, aczkolwiek nadal nie wiedział, jaką krzywdę jej wyrządził, jeśli z dnia na dzień zaczęła go nienawidzić.

Po sprawie słynnego „Kondora”, czyli Johana Epplera, było tylko kwestią czasu, aż w Kairze pojawi się kolejny wysłannik Abwehry. Metody działania mieli podobne. Dysponując dużą gotówką, nawiązywali kontakty z tancerkami, pieśniarkami czy nawet luksusowymi prostytutkami, które pomagały im w zdobywaniu informacji. „Kondora” pograżyła znajomość z Hekmat Fahmy, a Markusa Sterna miała im wystawić Ann-Katrin. William wpadł na pomysł, żeby panna Schneider doprowadziła ich do kreta w Ministerstwie Wojny. Miała bacznie obserwować swojego kochanka, a potem podrzucić mu fałszywe informacje. Było niemal pewne, że Stern wkrótce się połapie w tej intrydze. Dla Ann-Katrin oznaczało to wyrok śmierci.

Zły policjant – taką otrzymał rolę. I zamierzał odegrać ją w swoim stylu. Jednak gdzieś podskórnie od samego początku uważał, że to jest fatalny pomysł.

Późnym popołudniem weszli w cywilnych ubraniach do Alladyna i udali się wprost do kantorka Omara Kahila. Było to małe pomieszczenie bez okna, w którym cuchnęło potem i przyprawą Dukkah. Na małym biurku z łuszczącą się farbą leżały jakieś pliki papierów i talerz z resztkami jedzenia. We trzech ledwie się mieścili w śmierdzącym pokoiku. Było to dość zaskakujące, ponieważ lokal był całkiem elegancki i pachniało w nim raczej cygarami i pieczoną jagnięciną aniżeli tanim żarciem. Równie obskurnie wyglądał korytarz i odmalowano go porządnie jedynie przy wejściu, by w razie odsunięcia kotary nikt nie zauważył zaplecza, kojarzącego się raczej z tanią tancbudą.

– O co chodzi, panowie? – zapytał przymilnie łamaną angielszczyzną Omar, wciąż przeżuwając kawałek baraniny.

– Wiesz, że w tej twojej budzie roi się od niemieckich szpiegów – raczej stwierdził, niż zapytał Connor.

– Ośmielam się zauważyć, że natrafiliście tylko na jednego. – Mężczyzna się zdenerwował i przeszedł na arabski.

Zapewne sądził, że się nie dogadają, ale Evans się tu wychował i znał egipską odmianę arabskiego równie dobrze co angielski. I także dlatego nie wysłali go do Europy, ale zostawili w Kairze.

– Mamy oko na kilku innych.

– A czy ja wam bronię zatrzymywać niemieckich szpiegów? Ja sobie jedynie życzę, żeby była przy tym egipska policja. W razie omyłki nie mogę odpowiadać za panów poczynania – obruszył się Kahil.

– Twoje panienki śpią z naszymi oficerami. Musimy być czujni – stwierdził Connor. – I w związku z tym chcielibyśmy porozmawiać z panną Ann-Katrin Schneider. Na osobności.

– Ależ panowie, Ann-Katrin nie przyjmuje takich propozycji – zachnął się Omar.

– To znaczy jakich?

– Nie śpią z klientami naszego lokalu. I jaka z niej Niemka? Toż ona nasza, tylko w papierach ma inaczej napisane. Gdzie by ona się w jakieś szpiegowskie afery mieszała. A my jesteśmy gościnnym narodem. Niemcy, Brytyjczycy, wszystkich witamy chętnie i z otwartymi ramionami. – Omar się uśmiechnął.

– No i nawet z rozłożonymi nogami. Jeśli chcesz, za kilka dni nie będziesz już miał brytyjskich klientów... – dodał Evans.

– Już dobrze, dobrze, no i po co te nerwy? Ja dbam o opinię, ja nie chcę mieć żadnych kłopotów. Jeśli panowie chcą porozmawiać z naszą artystką w moim lokalu, to jakże ja bym mógł wam zabronić. Ann-Katrin przychodzi na szóstą po południu, przecież możecie na nią zaczekać. Jakąś szklaneczkę whisky?

– To bardzo dobrze, że jesteś taki uprzejmy, Omar. Nie chcemy zatrzymywać panny Schneider ani narażać jej na kłopoty, dlatego wolimy spotkać się z nią tutaj. Że tak powiem, na neutralnym gruncie. Jeśli zacznie występ, raczej z nią nie pogadamy.

– Dzisiaj wieczorem powiem jej, żeby nazajutrz zajrzała do Alladyna w ciągu dnia. Na przykład w samo południe. Czy to panów zadowala? – Wolał nie zadzierać z Brytyjczykami, bo mógłby stracić dobrych klientów, a kto wie, co by jeszcze wymyślili i komu by się poskarżyli.

– Idealnie. I proszę nie mówić panie Schneider, że chcemy się z nią spotkać – odparł z uśmiechem William.

Connor zmarszczył brwi i dodał, jednak tonem dużo ostrzejszym niż jego kolega:

– Omar, piśniesz słówko i nie zobaczysz tu ani jednego brytyjskiego oficera, ani żadnego biznesmena z grubą forszą. Czy to dla ciebie jasne?

– Jasne, jasne – zapewnił ich.

– Tak więc jeśli jutro zjawi się tutaj Ann-Katrin, zaprowadzisz ją do garderoby, a my będziemy tam na nią czekać. Żaden przedpołudniowy gość nie zauważy, że w ogóle tu jesteśmy – dodał William.

Omar Kahil jedynie skinął głową. Zapewne obawiał się nie tylko odpływu gości, ale także utraty tancerki i pieśniarki, na której widok ślinili się wszyscy mężczyźni przychodzący do Alladyna.

Ann-Katrin wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy wpadł do jej garderoby jak burza. Wówczas miała na twarzy mocny makijaż, upięte wysoko włosy i była półnaga. Nie mógł oderwać od niej oczu, zwłaszcza gdy jego wzrok bezwiednie zsuwał się na sterczące sutki. Teraz gdy weszła, ubrana była w prostą sukienkę, nie miała na sobie ani grama pudru, a rozpuszczone długie włosy okryła jedwabnym szalem. Tamtej nocy stała przed nim drapieżna, pewna siebie uwodzicielka, teraz miał przed sobą bezbronną młodą kobietę. Ale nadal tak samo piękną.

Była kompletnie zaskoczona, gdy ujrzała w swojej garderobie dwóch mężczyzn, którzy rozsiedli się na otomanie w etniczne wzory. Spojrzała spanikowana na Omara, ale ten jedynie wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Po chwili uspokoiła się i popatrzyła na nich.

– Chyba oddam tę kanapę kelnerom – powiedziała zamiast przywitania.

– Proszę usiąść, panno Schneider – powiedział ciepło Irving.

Przycupnęła na pufie i popatrzyła z wyrzutem na Connora. Od razu miał ochotę jej powiedzieć, żeby na nic się nie zgadzała, tylko poczekała w Alladynie, aż zatrzymają mężczyznę, który z nią mieszkał. A może kochała tego szwaba i od razu im odmówi? Najpierw jednak spróbuje uciec, by ostrzec swojego amanta?

Irving przez chwilę milczał, żeby wprowadzić kobietę w lekką niepewność, a potem powiedział bardzo spokojnym i pełnym troski głosem:

– Panno Schneider, wiemy, że mieszka pani ze swoim kochankiem na Zamaleku. Problem w tym, że to jest niemiecki szpieg. Oprócz tego ów człowiek ma na koncie również morderstwo dokonane na brytyjskim żołnierzu, który próbował go zatrzymać. Nie wiem, czy była pani tego świadoma...

– I co w związku z tym? – zapytała opryskliwie. Nagle delikatność Ann-Katrin się ulotniła.

– W związku z tym mamy dla pani propozycję. Chcielibyśmy, żeby pani dla nas pracowała. – Irvinga nie zbił z tropu niezbyt przyjemny ton kobiety.

– Nie, dziękuję – powiedziała chłodno, a potem podniosła się z pufy i ruszyła w stronę wyjścia. Uniosła rękę, pomachała im palcami i powiedziała: – Żegnam panów.

– Siadaj! – warknął Connor. – I przestań się zachowywać tak, jakbyś to ty rozdawała tu karty. Chcesz zawisnąć z powodu kochanka? W twoim domu jest nadajnik, przez który ten człowiek wysyła meldunki na front. To zarzut szpiegostwa. Mężczyzna ten usiłował wyrwać teczkę z dokumentami żołnierzowi brytyjskiemu, a kiedy zrobiło się zamieszanie, śmiertelnie uchodził go nożem. A teraz mieszka z tobą. Zastanówmy się nad paragrafami... Żaden sąd ci nie uwierzy, że o niczym nie wiedziałaś.

Usiadła z powrotem i wbiła w niego wzrok. Zimny i wściekły. Chciał, żeby przestała tak na niego patrzeć, bo za bardzo zaczęła mu się ta dziwna gra podobać.

– I co niby miałabym zrobić? I dlaczego go nie zatrzymacie, jeśli wiecie, gdzie jest? – zwróciła się do Williama. Jakby chciała zignorować aroganckiego Connora Evansa.

– Wszystko pani objaśnię. I proszę się nie obawiać, obserwujemy pani dom. Gdyby coś się stało, zareagujemy. Oczywiście, jeśli się pani nie zgodzi, jeszcze dzisiaj go zatrzymany. – Irving najwyraźniej miał ochotę na Ann-Katrin.

Tak jak on...

– Może pani jeszcze przemyśleć naszą ofertę. Jeśli jednak wróci pani do siebie i opowie o tej rozmowie swojemu kochankowi, oferta przestanie być aktualna. – Connor właśnie rzucił Ann-Katrin koło ratunkowe.

Nie miał pojęcia, co się z nim działo, ale nie chciał, żeby panna Schneider się w to mieszała. Czuł, że to może się źle skończyć. A on pragnął jeszcze kiedyś zobaczyć jej piękną twarz i śniade długie nogi.

Kolejny raz na niego popatrzyła. Jej spojrzenie się zmieniło. Miała chochliki w oczach. Uśmiechnęła się ironicznie i oznajmiła:

– No cóż, ponegocjujmy. Bo to nie jest mój kochanek. Gdyby nim był, musielibycie mnie skuć, żebym stąd nie wyszła. Natomiast mam pewien problem. Markus Stern, bo tak się nazywa ten człowiek, przynajmniej oficjalnie, płaci mi

sześćdziesiąt funtów miesięcznie za pokój. Chcę otrzymać tyle samo. To dobra oferta, widzą panowie, że nie chcę z was zdzierać.

– Ale jesteś łaskawa. Tylko że jeśli go zgarniemy, nie zarobisz już ani pensa – zadrwił Connor, a po chwili zaczął się śmiać. – Sześćdziesiąt funtów? To chyba z serwisem nocnym. Proszę nam nie kazać płacić za coś, z czego nie skorzystamy.

– Niech pan sobie myśli, co się panu podoba, chociaż powinnam pana za to spoliczkować. Więc jak będzie? – burknęła.

– O tym decyduje mój kolega – westchnął William i wskazał na Evansa.

Connor zmarszczył brwi i powiedział zimno:

– Ani funta.

Miał nadzieję, że tym razem Ann-Katrin zechce się wycofać albo chociaż sprawdzi, co naprawdę jej grozi, ale ona brnęła dalej:

– Zachowuje się pan, jakby płacił ze swoich i musiał odejmować od ust swoim dzieciom – prychnęła.

– Ani funta – powtórzył z naciskiem.

William posyłał mu mordercze spojrzenia, bo zapewne się obawiał, że panna Schneider za chwilę wyjdzie i uda się wprost do jakiejś kancelarii prawnej. Jasne, mogli wezwać egipską policję i ją zatrzymać, ale zapewne jej lokator rychło by się o tym dowiedział i zniknął jak sen złoty. Nie mógł do tego dopuścić. Szpicle z Abwehry mieli w policji wielu zauszników. Wolał najpierw zatrzymać Sterna, a potem odesłać Ann-Katrin do domu.

Znowu zerknęła na niego. I już nie był pewny, czy wolał jej wściekle spojrzenie czy takie, którym właśnie go obdarzyła.

– Dobrze. W takim razie jeśli pan Stern jest mordercą, a wy mi grozicie, mogę się zgodzić. Nie chcę żadnych problemów – odparła z rezygnacją w głosie. Podobnie jak Omar wolała nie zadzierać z Brytyjczykami. Gdyby tylko chcieli, mogliby ją pograć.

Chciał krzyknąć, żeby się w to nie pakowała, ale, do diabła, był profesjonalistą, a obok siedział jego kolega ze służby. Nie mógł tak po prostu zrezygnować z takiej okazji.

Connor zapatrzył się w okno. Nadchodziła jesień i panowała plucha. Podpalił papierosa i oparł łokcie na masywnym biurku. Pamiętał doskonale, co wówczas czuł, gdy Ann-Katrin zgodziła się na współpracę z nimi. To był paniczny, zupełnie irracjonalny lęk. Jakby przeczuwał coś złego. Bał się, że panna Schneider zapłaci za swoje machlojki najwyższą cenę.

Teraz siedział w Berlinie, w Radzie Kontroli, i towarzyszył mu ten sam ucisk w dołku. Mógł jej nienawidzić, zrobić sobie laleczkę voodoo i nakłuwać ją codziennie, żeby się wyżyć, ale nie chciał ani jej śmierci, ani tego, by resztę życia spędziła w więzieniu. Może po prostu wciąż był zakochany jak młodzieniaszek, nawet jeśli Ann-Katrin Schneider absolutnie nie była tego warta.

*Kair, 1914*

Zanim Turcja przystąpiła do wojny po stronie Niemiec i Austro-Węgier, nikt już się nie zastanawiał, czy to się wydarzy, ale kiedy. Nastąpiło to na początku listopada i, tak jak przewidział Thomas Evans, zaraz potem rozpoczęły się rekwizycje. Turcy potrzebowali forsy na wojnę, a że państwo było niemalże upadłe, działania zbrojne stanowiły najlepszy pretekst, by ograbić wszystkich, którzy mieszkali na ich terenie.

Jednego nie przewidział – pazerności rekwizytorów. W Syrii masowo zagrabiano plony, zwierzęta, a nawet maszyny rolnicze. Na otarcie łez właściciele otrzymywali kwit, który rzekomo upoważniał ich do dochodzenia odszkodowań. Wielu z nich wrzuciło ten bezwartościowy papier do ogniska. Wiedzieli, że nie mają na co liczyć.

Podobnie stało się z osadnikami żydowskimi. Tureccy żołnierze wynosili z domów odzież, wozy, narzędzia i, oczywiście, broń. Plądrowali wszystko i nie zastanawiali się, czy niektóre zajęcia w ogóle miały sens. Bo po cóż armii narzędzia medyczne niezbędne podczas porodów czy środki tępiące szkodniki na polach?

Thomas nie mógł przeżyć, widząc gnijące zapasy pszenicy, które zostały odebrane rolnikom. W Nablusie zaś zamokło kilka tysięcy worków cukru, ponieważ nikt nie pomyślał, żeby je przykryć. Słodzona woda spływała strumieniami po ulicach, ciesząc miejscowe dzieciaki, które się od niej lepiły i przyczepiały się do nich wszystkie śmieci, które mijały po drodze. Zmarnowano również cement potrzebny do budowy mostu w Beer Szewie, ponieważ także nikt się nie domyślił, żeby go zabezpieczyć, a zamoknięty do niczego się nie nadawał.

Niestety, to, co najgorsze, dopiero nadeszło. Kalif, największy autorytet sunnitów, ogłosił fatwę, nawołującą do świętej wojny z innowiercami. Oczywiście nikt nie wspominał, że muzułmańska Turcja właśnie sprzymierzyła się z dwoma chrześcijańskimi państwami.

Najbardziej obawiali się owej fatwy Żydzi, którzy budzili niechęć palestyńskiego społeczeństwa. Miejscowi niepokoiли się, że pewnego dnia osadnicy żydowski przejmą na własność całą ich ziemię. Jeśli w istocie doszłoby do takiej wojny, Żydzi poszliby na pierwszy ogień.

– Żydzi sami są sobie winni – powiedział któregoś dnia kolega Thomasa Evansa, Peter. – Są zamożniejsi, więc zatrudniają jako parobków *fellachów*^[4] i traktują ich jak niewolników. To się nie może dobrze skończyć. Palestyńczycy zaczynają patrzeć na nich jak okupantów i wyzyskiwaczy, którzy dorabiają się na biedzie innego narodu.

– Jeśli Turcy nadal się będą tak zachowywać, nie uchowa się na tych ziemiach ani jeden Żyd – westchnął, bo uważał, że w tym momencie kolejny ruch należy do Turcji.

– Myślę, że Palestyńczycy tylko czekają na iskrę – dodał złowróźnie Peter.

– To jasne, w końcu Żydzi są *dhimmi*, ci gorsi.

Tymczasem „ci gorsi” obrastali w piórka na oczach Palestyńczyków, co wywoływało w nich zawiść, nie wspominając o przywilejach dla Żydów, wynikających z kapitulacji osmańskich, gwarantujących między innymi dostęp do miejsc świętych w Jerozolimie i Palestynie. Nierzadko dochodziło do napaści na żydowskie osady i w końcu zaczęły powstawać grupy samoobrony, które tylko potęgowały napięcia. Dwie z nich, Gedeonici i Bar-Giora, na początku zajmowały się lokalnymi spięciami, jednak z czasem objęły swoim zasięgiem rozległe tereny, tworząc typowe bojówki. Arabowie robili dokładnie to samo i wzajemne animozje nie miały końca.

– Żydzi potrafią się tłuc, a to się nie podoba gubernatorowi Syrii. Ogłosił, że obywatele wrogich krajów będą deportowani albo zmuszeni do przyjęcia tureckiego obywatelstwa. Ciekawe, jak to się skończy – dodał Peter.

– Nie słyszałeś, ostatnio aresztowano w Jaffie koło tysiąca Żydów. Wszyscy dostali wilczy bilet. Więc mniej więcej tak – powiedział Thomas.

– Ciekawe, kto ich przyjmie – mruknął Peter i dodał: – Chodźmy, mamy swoje zadania i swoje problemy. Jeszcze tylko brakuje, żebyśmy musieli się przejmować żydowskimi osadnikami. Zresztą jednych wyrzuca, za chwilę przyplyną następni.

Ku uciesze Evansa jego ulubieniec, Lawrence, przybył z powrotem do Egiptu w połowie grudnia. Jak się okazało, wstąpił do tej samej służby, co Thomas. Teraz obaj byli w wywiadzie Egipskiego Korpusu Ekspedycyjnego.

Thomas przeniósł się już na dobre do Kairu i pokochał to miasto. Przecinały go szerokie bulwary, wzdłuż których pyszniły się zadbane parki. Nadbrzeże Nilu zachęcało do spacerów, a z wyższych budynków można było dostrzec dostojne piramidy w Gizie. Stare miasto tworzył labirynt wąskich uliczek i zacisznych zaułków, gdzie drobni handlarze nawoływali do zakupów w ich rodzinnych sklepikach, a kobiety rozwieszały pranie wprost nad głowami przechodniów. Jednak o rozmachu tego miejsca świadczyły liczne bardzo wiekowe pałace i strzeliste meczety, a także kolonialne wille, pomniki i zadbane skwery.

Po wybuchu wojny w mieście zaroilo się od żołnierzy z Indii, Australii czy Nowej Zelandii, którzy zatrzymywali się tam w drodze do walczącej Europy, i Kair stracił całe swoje dostojeństwo, ponieważ przybysze szukali raczej tanich rozrywek. Ci wygłodniali uciech chłopcy budzili odrazę wśród starszych mieszkańców, ponieważ domy rozpusty wyrastały jak grzyby po deszczu, a chętne dziewczyny stały na każdym rogu. Ostry makijaż i wyzywające sukienki nie pozostawiały złudzeń co do profesji tych kobiet. Konserwatyści nie mogli patrzeć, jak ich miasto traci reputację.

Gdy sądzili, że gorzej być nie może, Turcy stworzyli w Kairze swój garnizon i chwilami miasto przypominało luksusowe koszary. Liczebność wojska, zarówno brytyjskiego, jak i tureckiego, zaczynała już budzić niechęć u wszystkich mieszkańców tej wspaniałej metropolii. Armia brytyjska zajęła na swoje potrzeby, a może raczej wojskowych dygnitarzy, najlepsze budynki w okolicy, a jej oficerowie zaliczali siebie do elity, która woli bardziej wyrafinowane zabawy. Nie wszyscy jednak myśleli o hulankach, ponieważ musieli obserwować każdy ruch wroga.

Kiedy Thomas stanął po raz pierwszy przed hotelem Savoy, nie mógł uwierzyć, że będzie w nim mieszkał. Budynek stał nad brzegiem Nilu i zbudowany był w wiktoriańsko-kolonialnym stylu. Oni rezydowali na najwyższych piętrach, skąd można było się zachwycać pejzażem rzeki i jej nadbrzeża. Allison wraz z synem zamieszkała w niewielkim kolonialnym domu na zamożnym przedmieściu i podobało się jej tu znacznie bardziej niż w Jerozolimie. Kair tętnił życiem i był rajem dla kobiet. Takiego przeglądu męskich ciał chyba nigdy nie miały. Oprócz Brytyjczyków można było zapastryczyć się na jakiegoś Hindusa czy smukłego blondyna z Nowej Zelandii. Żona Thomasa była w siódmym niebie. Musiała się jakoś pocieszać pod nieobecność małżonka. On zaś skupiał się na karierze, bo nagle miał być już na stałe w zespole Lawrence'a. Pobyt w Londynie wcale nie zmienił tego szalonego naukowca. Tak jak poprzednio, wkurzał szefów i był lubiany przez niższych rangą funkcjonariuszy.

Thomas poświęcał służbie czas od świtu do późnego wieczora. Wobec zagrożenia, którym był planowany atak na Kanał Sueski, Evans nawet nie zaglądał do domu i nie miał pojęcia, że wkrótce zostanie rogiaczem.

Kiedy dostał meldunek z Jerozolimy, od razu pobiegł z nim do pułkownika. W tym mieście zaczęło się dziać coś niepokojącego.

– Pułkowniku... – Oddał honory. – Na starym mieście w Jerozolimie podobno zbiera się tłum muzułmanów. Ciągnie się już od Bramy Jafskiej aż do meczetu Al-Aksa. Nakazano naszym wojskom się wycofać. A co z naszymi ludźmi?

– Niech zostaną tak długo, jak to możliwe. Nie możemy być odcięci od meldunków.

– Tak jest.

Już chciał opuścić pokój, gdy pułkownik powiedział:

– Zdobądź informacje na temat wojsk tureckich. Zaraz może się zacząć.

Odmeldował się, wyszedł z hotelu i ruszył samochodem na północ. Nawet nie zastanawiał się zbyt długo, skąd pozyska podobną wiedzę, bo doskonale wiedział, kto jest najlepiej poinformowany. Oczywiście byli to Amerykanie na swoich roponośnych działkach. To byli ci, którzy jeszcze nie wyjechali, a to oznaczało, że muszą być zorientowani w sytuacji. I nie pomylił się, ponieważ niedługo potem otrzymał wszystkie dane o rozmieszczeniu i liczebności tureckich wojsk.

Mimo że wykonał zadanie, wolałby pewnych informacji nie poznać. Były druzgocące i właściwie przestał sypiać. Wciąż wgapiał się wraz z innymi w ogromną mapę, by odgadnąć, jak będą przebiegały działania wojenne i jaki będzie kolejny krok wroga. Ten stan zawieszenia trochę potrwał i w pewnym momencie ich sprzymierzeńcem stało się powolne wypalenie muzułmańskich bojowników i ich zapалу do walki. Zapewne nie tak wyobrażali sobie świętą wojnę.

Do konfrontacji z wojskami tureckimi i niemieckimi doszło na Synaju, ale wyszli z tego obronną ręką, ponieważ zarówno Turcy, jak i Niemcy się wycofali. Thomas mógł chociaż na chwilę odetchnąć.

Przyjechał do domu na krótko. Sądził, że Allison znowu zacznie suszyć mu głowę o ciągłą nieobecność, pomylił się jednak, bo jego żonie uśmiech nie schodził z twarzy.

Spędzał czas z synem w ogrodzie, gdy ten powiedział:

– Tato, pan Dzubran Aziz często przychodzi do mamy.

Na początku w ogóle nie dotarło do niego, że wizyty owego człowieka mogą zagrozić jego małżeństwu. Być może Thomas już nie kochał swojej żony jak kiedyś, jednak uważał, że muszą żyć razem dla dobra Connora. Zresztą pewnego dnia doszedł do wniosku, że nie warto zmieniać czegoś, co dobrze działa. Najwyraźniej jego żona miała inne zdanie na ten temat.

Po kilku minutach się zreflektował i zapytał podejrzliwie:

– A ten pan całuje się z mamą albo ją przytula? Albo mama jego?

– Nie, bo on nie chce. Mówi, że go... że go załatwisz. To znaczy, że go zastrzelisz, tato?

– Nie, Connor. Z takiego powodu nie zabija się ludzi – odparł i uspokoił się trochę, ale wiedział, że czeka go z małżonką trudna rozmowa.

Niestety, pilne wezwanie sprawiło, że nie zadał tego dnia ani też następnego swojej żonie żadnych pytań. Wrócił do Savoya i rzucił się w wir pracy. Nie myślał o swoim małżeństwie, były sprawy pilniejsze niż jego prywatne życie. Zawsze taki był i Allison musiała się pogodzić, że dla jej męża służba w wywiadzie jest najważniejsza, albo odejść.

Jego syn do pewnego czasu miał identyczne zdanie co Thomas. Z miłości nie mordowało się ludzi, to było zbyt błahe i ckliwe, a jednak nadszedł dzień, że Connor Evans był gotów, by za takie coś zabić.

*Berlin, 1947*

Odkąd zniesiono godzinę policyjną, miasto nieco odżyło. Mimo wciąż panującej biedy i anarchii w pewnych sferach życia ludzie coraz częściej wychodzili z domu, pojawiało się coraz więcej lokali tanecznych, a centrum miasta, choć wciąż straszło wypalonymi budynkami, uprzątnięte zostało z gruzów.

Ann-Katrin spotkała się z Gisele na herbacie w małej zacisznej knajpce w okolicach Tiergarten. Stało tam zaledwie kilka stolików. Właściciel powiesił zasłonki w kratkę, a wewnątrz odmalował i dzięki temu lokal stał się bardziej przytulny i schludny.

Gisele cudem zdobyła spory kawał jedwabiu i chciały wymyślić fasony sukienek, które znajoma krawcowa uszyje im za niewielkie wynagrodzenie.

Gdy tylko jej koleżanka usiadła przy stoliku, Ann-Katrin zauważyła, że jest czymś bardzo podekscytowana. Po chwili Gisele wyciągnęła z torby wymiętoszony plik magazynów modowych.

– Zobacz, co znalazłam. Prawie świeże, sprzed trzech lat. Tu są wzory sukienek. Jeśli zaczniemy tłumaczyć nasze pomysły Angeli, to nam do sukienki nogawki doszyje. A tak pokażemy tylko palcem, i już. – Zachichotała.

– Jesteś fenomenalna! Gdzieś ty to znalazła? – Ann-Katrin stwierdziła, że rozmowa o fatalaskach dobrze jej robi.

Nie miała pojęcia, dokąd się wybierze w czerwonej jedwabnej sukience, ale chciała ją mieć. Choćby miała ją tylko zakładać w domu i spoglądać na swoje odbicie w połówce lustra. Mogłaby wtedy odpłynąć w świat marzeń. Wyobrazić sobie, że Connor kocha ją bezinteresownie i szczerze. Może to nie był najlepszy powód, by wydawać pieniądze na sukienkę, ale ona pragnęła jakiejś namiastki

normalnego życia. Była w wieku, w którym kobiety rodziły trzecie dziecko, a ona nawet nie wiedziała, czy kiedykolwiek się zakocha w innym mężczyźnie niż Connor. Teraz go nienawidziła, ale wiele by dała, żeby cofnąć czas i znaleźć się znowu w objęciach ukochanego. Pełna wiary w niego i jego uczciwość. To, co stało się później, najchętniej wymazałaby ze swoich wspomnień.

Do tej pory się zastanawiała, dlaczego zgodziła się na ten parszywy układ z Irvingiem i Connorem. W dodatku zrobiła to za darmo. Chyba chciała zaimponować Evansowi. Z niewiadomych przyczyn, mimo że wciąż udawała niedostępną i hardą, pragnęła, by miał o niej dobre zdanie. Nie zastanawiała się nad niebezpieczeństwem, które jej grozi, bo miał nad nią czuwać Connor. A potem się dowiedziała, że jej przewodnikiem został William Irving. A ona chciała tego drugiego...

Uznała, że ten milutki adonis, Irving, nie byłby w stanie jej ochronić. A Evans owszem. Może właśnie przez jego szorstkie, wręcz ostre zachowanie wierzyła, że w chwili zagrożenia nie zawahałby się ani przez chwilę. Bo taki po prostu był. Co do Irvinga takiej pewności nie miała.

Nazajutrz późnym wieczorem miała odebrać od Williama pierwsze instrukcje. Postanowiła więc zdobyć adres Connora i poprosić, by to on nad nią czuwał. Nie zamierzała się łąsić i podlizywać, ale porozmawiać. Poza tym myśl, że znowu go zobaczy, bardzo ją dopingowała.

O zlokalizowanie adresu prywatnego domu Evansa poprosiła Hamida Farouka. Zapłaciła mu za to całe dwa funty i po trzech godzinach była już w drodze do Connora. Potem często naigrawała się z Evansa i mówiła, że jest jej, bo zapłaciła za niego Hamidowi. Wtedy droczył się z nią i powtarzał, iż wart jest dużo więcej. „W takim razie wiesz mi dwa funty” – odpowiadała. Jednak gdy Connor sięgał do kieszeni, przytrzymała jego dłoń i mówiła: „Nie, bo to tak, jakbym cię miała komuś oddać. A ty jesteś tylko mój”.

Evans miał bardzo zaskoczoną minę, gdy stanęła przed jego drzwiami. Najpierw się rozejrzył, czy nikt się za nią przypadkiem nie przypałał, a potem wciągnął ją do środka.

– Co tu pani, do cholery, robi? – warknął poirytowany.

- Wczoraj mówił mi pan po imieniu – wypomniała mu.
- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.
- Jest pan zły, że przyszłam? Przepraszam, ale chciałam z panem porozmawiać.
- Nie jestem zły, ale to nie jest dobry pomysł, żeby ktoś nas razem widział – odparł dużo łagodniejszym tonem.
- Wiem. – Przygryzła wargę. – Gdyby Stern się dowiedział, cały plan poszedłby w diabły.
- Nie chodzi o jakiś pieprzony plan! Bez pani także byśmy sobie poradzili! – Znowu się rozzłościł, nie wiadomo dlaczego.
- Ann-Katrin. Proszę mi mówić po imieniu. Zawsze lepiej powiedzieć „wynoś się” niż „niech się pani wynosi”. Brzmi bardziej stanowczo. – Zachowywała się jak podłotek w towarzystwie swojej sympatii. Powinna jeszcze zatrzepotać rzęsami.
- Dobrze, ja mam na imię Connor, więc teraz powiedz mi, Ann-Katrin, po co tu przyszłaś? – westchnął i dodał, uśmiechając się niepewnie: – I nie jestem zły, że przyszłaś. Tylko odrobinę zaskoczony. Nie byłem dla ciebie zbyt miły.
- Wiem. Jesteś stanowczy i zdecydowany, dlatego się zgodziłam na waszą propozycję. Pomyślałam, że jeśli będziesz nade mną czuwał, nic złego mi się nie stanie. A teraz się okazuje, że to wszystko pomysł Irvinga. Gdybym wiedziała... Jakos go nie widzę w roli swojego opiekuna.
- Chodź, porozmawiamy. – Wskazał jej drogę do niewielkiego salonu.
- Był urządzone w bardzo orientalnym stylu. Stała w nim kanapa obita wzorzystym materiałem, mnóstwo puf, fantazyjny stolik z kutego metalu i mahoniowe biurko z lampą w egipskie ornamenty.
- Chyba musiał zauważyć jej zdziwienie, bo szepnął jej do ucha:
- Mama. To ona go urządzała. Do tej pory się zastanawiam, dlaczego jej na to pozwoliłem.
- Nie żartuj, bardzo gustowne wnętrze. W ogóle do ciebie nie pasuje – palnęła głupstwo, ale było już za późno.
- Właśnie, ostatnie zdanie jest kluczowe. Ale jedno trzeba przyznać Allison, nigdy nie miałem wygodniejszej kanapy. Łóżko w sypialni też mi chciała wybrać, ale tym razem zaprotestowałem. – Musiał chyba zauważyć, że się zmieszała, bo dodał: – Tylko tak się przechwalam.

Kiedy rozsiedli się na szerokiej wzorzystej otomanie, a ona trzymała w dłoniach szklankę z herbatą, Connor powiedział:

– Nie musisz tego robić, Ann-Katrin. Wiem, że się boisz.

– Jeśli obiecasz, że mnie ochronisz, zrobię to. Wiem, jakie to ważne. Jestem zupełnie z boku tej wojny. Kair to mój świat, moje miejsce, i interesuje mnie tylko to, co się dzieje tutaj. Nie chcę, żeby weszli tu Niemcy, przywykłam do was. Jakoś nie mam zaufania do swoich rodaków. Tata mi opowiadał, co robili w Afryce Południowo-Zachodniej. Moja babka była z plemienia Herero. Była czarna, więc poderżnęli jej gardło. I uwierz, to nie był żaden wyjątek.

– Miałem nadzieję, że powiesz coś innego i nie zgodzisz się na ten pomysł. Wiem, że Irving koniecznie chce dostać awans, ale wolę ciebie do tego nie mieszać. I przykro mi z powodu babci. – Uśmiechnął się.

– Trochę się boję, ale zaryzykuję.

– Znasz go lepiej niż my i jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości lub obawy, tym bardziej tego nie rób. Zrozum, tacy ludzie jak on wyczuwają strach, zmianę w zachowaniu, niepewność... Proszę, daj sobie z tym spokój. – Głos Evansa robił się coraz cichszy.

– Dlaczego? – szepnęła.

– Wiesz, prawda? Od początku to wiedziałaś. Od chwili, gdy stanęłaś przede mną z tymi swoimi zadziorami. – Connor zerknął na jej piersi. A może raczej na jej sterczące sutki okryte materiałem sukni.

– I co teraz? Irving się wścieknie. A jeśli mnie zamknie?

– Pogadam z nim. Wyplączę cię z tego. I on nie ma prawa cię zamknąć. To może zrobić jedynie egipska policja, a o ile wiem, twój wuj, Hermann Dagenhardt, ma ich w kieszeni.

– Teraz go zatrzymacie? Mieszkam także z Latifą, nie chcę, żeby się przestraszyła. A jeśli coś by się jej stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

– Nie wiem, jaką decyzję podejmie Irving. Jedyne, co możesz zrobić, to na razie nie wystawiać Sternowi walizek za drzwi. Powinniśmy znaleźć kreta. Obojętne, czy robi to umyślnie i za pieniądze, czy jest tylko durniem, ale musimy się dowiedzieć, kto sprzedaje Sternowi informacje. W przeciwnym razie będzie jak z „Kondorem”. Jego złapali, przyjechał następny i znowu wyciekają nam

dokumenty. Będziemy go obserwować. Radiowywiad przejął nasłuch i na razie próbujemy złamać szyfr.

– Dziękuję – powiedziała cicho i dodała, patrząc mu prosto w oczy: – Nie wiedziałam... Sądziłam, że masz mnie za taką samą dziwkę jak inne tancerzki, które za kilka funtów dogodzą każdemu, kto jest gotów zapłacić.

– Gdybym tak sądził, od razu wyciągnąłbym cały plik banknotów – stwierdził ze śmiechem.

– Muszę wracać – westchnęła z żalem. – Lepiej, żebyś mnie nie odwoził, złapię jakąś pokraczną taksówkę. Ostatnio wiozł mnie samochód, który nie miał ani jednej całej szyby.

Naprawdę nie miała ochoty wychodzić z domu Connora. Czuła się tam bezpiecznie i dobrze. Jednak nie mogła sobie pozwolić na dłuższą wizytę.

– Chciałbym cię jeszcze zobaczyć. Nie na scenie, tylko w takim miejscu jak mój dom. Gdyby to było możliwe, to właśnie tutaj. – Connor niemal szeptał.

– Jeśli dogadasz się z Irvingiem, to nie będziesz musiał mnie chronić.

Zaczęła się z nim droczyć. Może dlatego, że to było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Pomyślała, że Connor chce tego samego co wszyscy, a ona już sobie wyobrażała Bóg wie co. Ale bez względu na to, czego od niej chciał, gotowa była mu to dać.

– Ale chcę cię chronić. Obojętnie, gdzie będziesz i co będziesz robić. To niebezpieczne czasy, a ty jesteś taka delikatna.

– Nie jestem – westchnęła. – Życie wyostrzyło mi pazurki.

– Wiem i aż się tego chwilami boję, ale myślę, że w środku jesteś bardzo krucha. Może się mylę, ale i tak będę się tobą opiekował.

– Tylko dlatego, że do tej pory sobie nie radziłam? – Zaśmiała się.

– A ty ciągle nie wiesz, kokietko, jak to się skończy?

Pewnie, że wiedziała. To było prawdziwe szaleństwo, a ona po raz pierwszy w życiu się zakochała. I kompletnie zwariowała na punkcie Connora Evansa. Gdyby ktokolwiek zechciał ją odwieść od tego romansu, przestałaby się do niego odzywać, nawet jeśli byłby to wuj Dagenhardt. Jeśli stu mędrców powiedziałoby jej, że ma przy swoim boku drania, nie chciałaby wiedzieć, co takiego zrobił.

Tylko o jednym nie chciała z nim rozmawiać... Słowa ojca, by nikomu nie zdradzała pewnego sekretu, cały czas dudniły jej w uszach. Była jednak przekonana, że któregoś dnia wyjawii Connorowi i tę tajemnicę. Nie miała poczucia, że go okłamuje. Po prostu nie było to nic takiego, co mogłoby wpłynąć na ich relację. A przynajmniej wówczas tak się jej wydawało.

– Zobacz, ta z kokardą z tyłu mi się podoba, ale nie wiem, czy wystarczy materiału.

– Gisele wskazała na jedną z sukienek.

– Piękna, ale nie uszyję sobie takiej samej jak ty – ze śmiechem stwierdziła Ann-Katrin.

– Ty powinnaś mieć taką bez ramiączek. Masz taką ładną oliwkową cerę – westchnęła Gisele.

– Niedawni decydenci zapewne nie podzielali twojego zdania – mruknęła.

– A właśnie, zapomniałam ci powiedzieć! Policja u nas była. Jakieś trzy dni temu. Sprawdzali tego całego doktora Kleina. Podobno ktoś go zamordował. Nie miałam pojęcia, bo rzadko czytam twoją rubrykę. Nie żeby była kiepska, ale wolę żyć w błogiej nieświadomości. Widziałaś się z nim?

Mogła się spodziewać wizyty policji w MCK. Erik, mimo ograniczeń kadrowych, robił, co mógł, żeby wykryć sprawców dwóch morderstw, a jednak pytanie zaskoczyło ją o tyle, że nie przygotowała sobie wcześniej odpowiedzi. Po chwili uznała, że nie może się przyznać nawet Gisele, jak bardzo pokpiła sprawę.

– Właśnie o nim pisałam jakiś czas temu. Nie zdążyłam do niego pójść, kochana. Zanim się zebrałam do wyjazdu do radzieckiej strefy, było już po nim. Wiesz, to nie była jakaś wielka przyjaciółka od serca, żebym od razu musiała polecieć do jej wuja i wypytywać o nią. Teraz mam wyrzuty sumienia, że nie pojechałam do niego od razu. Ale kto to mógł wiedzieć? – Starła się, aby jej głos brzmiał tak, jakby nie miała nic na sumieniu.

– Ale popatrz, jakaś pechowa ta cała Schneider. Uważaj, żeby ciebie coś złego nie spotkało.

Gisele bardziej powiedziała to w żartach aniżeli na serio, ale do Ann-Katrin w końcu dotarło, że i ona może mieć problemy. Klein chciał jej powiedzieć coś ważnego. Na tyle istotnego, że szukał jej za pośrednictwem MCK. Nie zdążył

jednak wyjawić prawdy, bo ktoś go zamordował. Zatem musiało to być coś naprawdę wybuchowego. Jeśli zabójca widział ją w szpitalu, może myśleć, że Alfred Klein zdołał jej wyjawić ten sekret.

O Rudolfie Schachcie usłyszała po raz pierwszy od Webera. Zresztą, patrząc na fotografię czterech mężczyzn na tle pustynnych wydm, była przekonana, że nigdy go też nie spotkała.

– Słuchaj, w razie gdyby znowu przyleźli, nie mów im, że wypytywałam o tę Schneider. Wiesz, jak to jest. Jeszcze sobie wydedukują, że mogłam brutalnie pobić rosnącego chłopca, a na końcu wpakowałam mu trzy kulki. Nie chcę, żeby mnie ścigała policja – poprosiła koleżankę.

– Pewnie, że nie powiem. Teraz też nic im nie mówiłam – zapewniła ją Gisele. – I gdy przyszły kwity z policji, by poinformować ich o ewentualnych członkach rodziny, nie wpisałam twojej koleżanki. Niestety, gdy ten komisarz zjawił się osobiście, kierowniczką musiała mu podać nazwisko tej Schneider, ale ja o tobie ani słowem nie pisałam, przysięgam.

Była pewna, że gdyby jej koleżanka wpadła w ręce Connora, a nie Erika, wyśpiewałaby mu wszystko. I nie dlatego, że Weber był bardziej spolegliwy, ale na pewno trochę łatwiej było go oszukać. Poza tym Connor miał swoje sposoby, by przekonać drugą stronę, że lepiej będzie, jeśli to Evans pozna prawdę, a nie ktoś inny.

– Zresztą teraz już nie przyjdą, więc nie ma się o co martwić. – Ann-Katrin machnęła ręką.

– Pomyliłaś się... Wczoraj do mojej szefowej przyszedł brytyjski oficer i zrobił awanturę na całe biuro. Podobno mieliśmy informować rejestr zbrodniarzy o wszystkim, co będzie dotyczyło tej Schneider. Kierowniczką sądziła, że ma tam napisać albo zadzwonić tylko wówczas, gdy ta kobieta się odnajdzie, a nie za każdym razem, gdy ktoś będzie jej szukał. Kto by to spamiętał... Nakazał, żeby teraz informować o wszystkim bezpośrednio jego. Zostawił numer telefonu i wyszedł, nawet nie mówiąc „do widzenia”. Oczywiście teraz Martha przerzuciła na mnie ten obowiązek – powiedziała ze smutkiem Gisele.

Zacisnęła zęby. Connor Evans właśnie rozpoczął na nią polowanie. Wolą jednak się upewnić, że to był właśnie on.

– Jak się nazywał ten oficer? Może znam – zagadnęła.

– Nie pamiętam. Ale taki duży facet, ciemne włosy ostrzyżone na jeża. No co ci mogę jeszcze powiedzieć... Przystojny. Oczy... niebieskie albo szare, w każdym razie jasne. I jak szedł przez nasze biuro, to był tak wściekły, żeśmy wszystkie prawie się pod biurka schowały. Miał taką podłużną bruzdę na czole i szczęka mu drżała, jakby za chwilę miał komuś przyłożyć – perorowała Gisele.

– Chyba jednak go nie znam. – Uśmiechnęła się z trudem.

Nie musiała dopytywać o nazwisko tego oficera. Z całą pewnością był to Connor Evans.

– Myślę, że takiego gbura to na pewno byś zapamiętała – powiedziała beztrząsco Gisele. – Już się boję na samą myśl, że jeśli jeszcze coś wpłynie na tę Schneider, będę musiała do niego zadzwonić i przekazać mu informacje.

– Gdyby miało wpłynąć, to już by wpłynęło. – Ann-Katrin nie miała pojęcia, czy w tym momencie pociesza bardziej siebie, czy koleżankę.

– A wiadomo to? Przecież ten Klein zaczął jej szukać kilka miesięcy temu.

– W takim razie nie martw się na zapas. Pomyśl, jakie piękne kiecki sobie uszyjemy. Skąd ty w ogóle wytrzasnęłaś ten materiał?

– Odnalazł się taki młody chłopak i jego matka chciała mi podziękować, chociaż nie mam pojęcia za co. Ja tylko przekazałam wiadomość. Nie miała nic innego, tylko ten materiał, więc mi go podarowała.

– Mogłaś go sprzedać... Albo zaproponować sukienki koleżankom z pracy.

– Daj spokój, w moim oddziale pracują same żolży. I każda chce wyjść za brytyjskiego oficera i wyjechać do Anglii.

– Sama bym za takiego wyszła. – Przewróciła oczami.

– Ale nie mówisz o tym bez przerwy. Zobaczysz, gdzieś pójdziemy w tych kieckach i od razu jakichś poderwiemy. Zabiorą nas do Londynu i nikt nie będzie nami pomiatał.

– Nie byłabym tego taka pewna – mruknęła Ann-Katrin. – Ale jedno jest wiadome... Będzie nam tam lepiej niż w tym grobowcu.

Szła do domu kompletnie rozbita. Naprawdę nie wiedziała, co zrobić. Connor mógł być na nią wściekły i nienawidzić jej z całego serca, ale nie wierzyła, że właśnie teraz wsadziłby ją za kratki. Prędzej sam wymierzyłby sprawiedliwość i po prostu ją zastrzelił. Jednak w jego wypadku mogła mieć nadzieję, że tego nie zrobi. A jeśli miała innego wroga, dużo poważniejszego, to tylko Evans mógłby jej

pomóc. Co do oprawcy złudzeń nie miała żadnych, patrząc na to, co zrobił z Kleinem i Schachtem.

Znowu coś ścisnęło ją w dołku. Jeśli Connor z taką zaciętością jej szukał i żył jak przeciętny oficer brytyjski, a nie płał w luksusach, to coś tu było nie w porządku. A przecież to, co jej ukradł, mogło mu wystarczyć do końca życia. I nie w zrujnowanym Berlinie, ale w dużo przyjemniejszym miejscu.

Wróciła do swojej piwnicy i postanowiła, że nie będzie się teraz zamartwiać. Po co ma mieć jakąś irracjonalną pożywkę dla wyobraźni, że jeszcze ktoś, oprócz Connora, chce jej zrobić krzywdę?

Położyła się na łóżku i przymknęła powieki. Widziała siebie w pięknej sukni z głębokim dekoltem. Miała wysoko upięte włosy, szpilki do koka pewnie dostałaby na bazarze, i tylko ładnych pantofelków jej brakowało. Ale przecież w wyobraźni mogła wszystko, nawet tańczyć na parkiecie w objęciach Connora Evansa. Żywiła nadzieję, że jeśli po śmierci jeszcze coś jest, Latifa wybaczy jej tę słabość. Przecież mogła sobie pomarzyć, że on nigdy by tego nie zrobił. Nie zamordowałby Latify i nie okradł Ann-Katrin z dziedzictwa po dziadku.



Afryka Południowo-Zachodnia, 1908

Niekiedy Joseph myślał sobie, że może dobrze się stało, iż Kunene już nie żyła. Tęsknił za nią każdego dnia, ale gdy oddziały oczyszczające *Aufklärungspatrouillen* przemierzały bezkresne połacie tego regionu świata i bezpardonowo mordowały każdego, kogo udało im się schwytać, nie miał pojęcia, jak mógłby spojrzeć w oczy swojej żonie. Ona także zginęła z rąk jego rodaków, a on do tej pory nie wiedział, kto wydał taki rozkaz. Nie wierzył, że szeregowi żołnierze odważyliby się na bezpardonowe wtargnięcie do domu byłego oficera i zamordowanie jego żony. Nawet gdyby nią nie była, a jedynie pełniła u niego służbę, także byłoby to mało prawdopodobne. Wciąż usiłował zgadnąć, komu mógł przyjść do głowy taki podły pomysł. Kunene nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy. Po jakimś czasie uznał, że tutejsze kobiety i dzieci także tego nie czynią, a jednak nikt nie ma nad nimi litości.

Niekiedy mówił do przyjaciela:

– Powiedz, Hermann, komu przeszkadzała moja żona. Kunene była spokojna, z nikim nie wchodziła w konflikty, a nawet nie wypowiadała się na temat poczynań naszego wojska i osadników.

– Na pewno twojemu ojcu. – Dagenhardt uśmiechnął się smutno i dodał: – Przestań już o tym myśleć. Masz Ilse i to o nią powinieneś teraz dbać.

– Wiem, ale nie mogę się pogodzić z tym, że sprawcy i osoby, które wydały wyrok na Kunene, żyją sobie spokojnie i włos im z głowy nie spadł.

– Słuchaj, ja wciąż jestem w Schutztruppe, ale naprawdę nie zdołałem się tego dowiedzieć. Uwierz, próbowałem. – Hermann poklepał Josepha po ramieniu.

– Wiem. I dziwię się, że wciąż tam siedzisz. Odbębniłeś swoje.

– I co będą robił? Uprawiał ziemię i hodował bydło?

Schneider nie odważył się zadać mu pytania, czy woli mordować masowo ludzi, ponieważ sam uczestniczył w podobnych akcjach i nie miał czystego sumienia. Pewnego dnia jednak doszedł do ściany i był przekonany, że jego przyjaciela czeka to samo. Po prostu niektórych barier nie dało się przeskoczyć.

Coraz więcej, jak potocznie mówiono, *Alte Afrikaners* opuszczało kolonię. Mimo że sami mieli wiele na sumieniu, to, co robił von Trotha, przerastało nawet ich. Josephowi żal było także żołnierzy z Schutztruppe, ponieważ najwyżsi dowódcy jedynie wydawali im rozkazy, nie bacząc na koszty. Widywał niekiedy powracających z bitew i potyczek mężczyzn. Wyglądali jak więźniowie średniowiecznych lochów. Jedynie ich twarze nie były blade jak u tamtych skazańców, ale spalone słońcem. Mundury wisiały na nich jak na strachach na wróble, a długie brody i włosy sprawiały, że przypominali starców.

W Europie nie wszystkim podobały się działania kolonizatorów. Coraz częściej krytykowano Leopolda II za masakry w Wolnym Państwie Konga. A największe wzburzenie wywołało porwanie setek tysięcy kobiet, zmuszanie wieśniaków do dostarczania dzikiego kauczuku i dokonywanie na nich rzezi, jeśli nie przekazali odpowiedniej ilości towaru. *Force Publique*, czyli oddziały najemników, jak i sam król Belgii nie schodzili ze szpalt międzynarodowej prasy. Wkrótce również z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej zaczęły docierać niepokojące wieści i – jak powtarzali decydenci – reputacja Niemiec została narażona na szwank. Kanclerz żądał, by von Trotha zaprzestał eksterminacji ludności tubylczej, a cesarz Wilhelm chwalił generała za skuteczność. Było jedynie kwestią czasu na czyją stronę przechyli się szala.

Niebawem wezwano do Rzeszy von Trothę i zakazano mu masowych mordów. Joseph był przekonany, że teraz będzie już tylko lepiej, ale generał wpadł na inny, równie szatański pomysł... Zamknięte obszary, *geschlossenen Niederlassungen*, były pomysłem Brytyjczyków, którzy zgromadzili za drutami kolczastymi schwytyanych podczas wojny burskiej Burów, Afrykanów i Kolorodów. Nikt do nich nie strzelał, ale warunki bytowe w takich miejscach sprawiły, że większość uwięzionych umierała z niedożywienia i wszelkich zaraz, które z uwagi na fatalne warunki higieniczne rozwijały się w zastraszającym tempie. Nie wiadomo tylko, co było gorsze – natychmiastowa śmierć czy powolne umieranie.

Wkrótce ukuto termin „obóz koncentracyjny”, który później kojarzył się Josephowi jedynie z ludzkim cierpieniem. Kiedy inni krytykowali pomysł zakładania podobnych miejsc, von Trotha uznał je za doskonały wynalazek. Nie musiał nawet wyłapywać niedobitków Hererów, bo ci, podobnie jak to było w czasie pomoru bydła, ściągali do miast, by się ratować. Wypędzeni z najlepszych pastwisk, pozbawieni możliwości zdobycia jedzenia, szukali pomocy u osadników. Na pustynnych terenach i nie posiadając bydła, nie mogli zbyt długo przetrwać, żywiąc się korzonkami, małymi ssakami czy skorpionami. Pielgrzymki wychudzonych i zdesperowanych ludzi wkraczały na ulice miast. Koczowali przed domami misyjnymi albo poszukiwali jakiegokolwiek zajęcia. Zapewne się nie spodziewali, że są jak muchy, które właśnie wpadły w lepłą sieć, z której nie będzie ucieczki. Na początku nie mieli pojęcia, jak może wyglądać życie w takich obozach. Liczyli na miskę stawy i miejsce do spania, jednak rychło się przekonali, że trafili do piekła.

Gdy już się tam dostali, wykorzystywano ich do najcięższych prac fizycznych. Budowali drogi, kopali rowy melioracyjne czy rozładowywali statki, przybijające do portów w Swakopmundzie i Lüderitz. Wycieńczeni i głodni, zaczęli masowo umierać z powodu chorób i niedożywienia. W ciągu dnia pracowali w palącym, bezlitosnym słońcu, nocą marzli w prymitywnych barakach, bo temperatury niekiedy spadały do zera.

Joseph wracał właśnie z objazdu swoich włości, gdy zobaczył powracającego ze Swakopmundu, obecnie najważniejszego portu Afryki Południowo-Zachodniej, misjonarza Dawida Huckmanna.

– Co słyhać w wielkim mieście? – zagadnął go Schneider.

– Nie wiem... – Wzruszył ramionami. – Byłem w obozie koncentracyjnym, z ostatnim namaszczeniem. To jest... nieludzkie, Josephie. Wszyscy będziemy smażyć się w piekle za to, co robimy.

Nie spodziewał się, że von Trotha zapewni więźniom luksusy, ale nie miał pojęcia, iż może być tam aż tak źle.

– Przynajmniej mogą zarobić na strawę – powiedział niepewnie.

– Oni śpią na deskach, na jakichś ledwie trzymających się kupy konstrukcjach, po kilkudziesięciu, a potem idą do pracy od świtu do nocy. Jeśli nadzorca uzna, że źle wykonują obowiązki, potrafi ich tłuc pejczem albo pałąką, dopóki nie padną.

Przecież w palącym słońcu pracuje się ciężiej. Potem zaś wracają na wybrzeże, do chłodnych baraków. A do jedzenia mają tylko ryż. Ja ci mówię, Bóg jest miłosierny, ale nie dla takich zbrodni. To śmierć za życia.

– Inni wcale się tym nie przejmują, Dawidzie. Ja także kiedyś miałem w nosie, czy Herero mają co jeść. Zmieniłem podejście, gdy ożeniłem się z Kunene. Bo ona była częścią tej społeczności. Wszystko im zabraliśmy... Sądziłem, że chociaż pomożemy im przetrwać.

– Właśnie, ludzie Trothy są tak bezczelni, że postanowili zamordować i poniżyć twoją żonę. – Machnął ręką. – Nikogo nie oszczędzają. Nawet bydła nie skazuje się na takie męki.

Mówił prawdę, nikt się nie przejmował więźniami. Niewolnictwo, mimo że zostało zakazane, trwało w najlepsze. Jedni uważali, że najważniejszy jest rozwój kolonii, bez względu na cierpienie tych, którzy stanowili tanią siłę roboczą, inni nie traktowali tubylców jak ludzi. Równie dobrze mogliby pochyłać się nad wołem ciągnącym wóz w spiekocie. Nawet Hermann uważał Josepha za przewrażliwionego.

– Posłuchaj, przybywa tu coraz więcej osadników i miasto musi się rozwijać szybciej, niż zakładano w pierwotnych planach. To nasz główny port, a statki muszą kotwiczyć daleko od brzegu i przerzucać towar na barkach. Należy budować nowe domy, trzeba zagospodarować nadbrzeże, a więźniowie uzupełniają braki w naszych kadrach. Nie rozumiem, jak może być ich szkoda. Zamiast wynagrodzenia dostają miejsce do spania i jedzenie. To jest opłaczalne dla wszystkich – powiedział Hermann i zaciągnął się papierosem.

Obozami zarządzała armia, więc Dagenhardt świetnie się orientował w sytuacji więźniów i Joseph nie rozumiał, jak jego przyjaciel może nie dostrzegać pewnych dysproporcji. Biały pracownik za swoje wynagrodzenie mógł wyżywić rodzinę i zorganizować sobie normalne warunki bytowe.

– Nie masz tego dosyć? Tych trupów? Żywych i umarłych? – zapytał Joseph.

– Jeszcze trochę wytrzymam. – Uśmiechnął się i dodał: – Żenię się, stary. Płynę do Rzeszy, biorę ślub i wracam tutaj. I wtedy odejdę z armii. Chcę zarobić kupę forsy, wybudować sobie willę w stylu kolonialnym i w interesach podróżować po świecie. Jak ci się podoba mój plan?

– W takim razie gratuluję i czekam, aż wrócić. Ilse na pewno się ucieszy. Lubi cię i mam nadzieję, że znajdzie w twojej żonie przyjaciółkę.

– Ubolewa, że nie może dać ci dziecka – westchnął. – Oczywiście nie rozmawiała ze mną na takie tematy, ale jej ojciec tak twierdzi.

– Myślę, że to może być moja wina. Kunene też dała mi tylko jedno dziecko, może za długo siedziałem w siodle. – Joseph uśmiechnął się smutno.

– Możliwe, przecież te czarne małpy plenią się jak myszy, w innych okolicznościach miałbyś całą gromadę małpiątek – odparł Hermann.

Chyba nie zdawał sobie sprawy, że takie słowa ranią Josepha. Kunene była czarna, ale nie była żadną małpą, tylko piękną, dobrą kobietą. Gdyby nie Joseph, może już dawno zostałaaby zabita bagnetem albo wylądowałaby w obozie, gdzie więźniowie płci męskiej dostawali dziennie pięćset gramów mąki lub ryżu, a kobiety o połowę mniej. Nie można było więc mówić o normalnych posiłkach. Takie postępowanie było nie tylko barbarzyństwem, ale także głupotą. Tutejsze plemiona nie znały ani mąki, ani ryżu i nie bardzo wiedziały, jak je spożytkować. Nikt im nie pokazał, jak przygotować z tego posiłek. Cieszył się, że on zapewnił Kunene dobre i godne życie. Mógł teraz ze spokojem patrzeć w oczy swojemu synowi, który ze smutkiem zerkał na odzianych w jutowe worki wynędzniałych ludzi. Niekiedy pytał, jakie przestępstwo popełnili ci biedacy, że zostali uwięzieni, ale Joseph nie potrafił odpowiedzieć. Adio na to pytanie, ponieważ jedynym przewinieniem Hererów było to, że urodzili się czarni.

Hermann Degenhardt dotrzymał słowa. Odszedł ze służby, rzekomo z powodu złego stanu zdrowia, i założył przedsiębiorstwo budowy dróg i linii kolejowych. Nie miał jednak żadnych oporów, by wykorzystywać do pracy więźniów z obozu. Uważał, że wyświadcza tym ludziom przysługę, bo mogą w zamian zjeść miseczkę ryżu, a nie skorpioną.

Zaproponował Schneiderowi spółkę, ponieważ zamierzał wziąć udział w budowie linii kolejowej, a było to duże przedsięwzięcie. Joseph nie chciał się w coś podobnego angażować, ale przekonała go do tego pomysłu Ilse. Joseph przywykł do swojego poziomu życia, który nie był ani wystawny, ani przesadnie skromny. Jego żona mierzyła znacznie wyżej. Chwilami miał dość jej utyskiwania,

bo Kunene nigdy się nie skarżyła. Przystąpił jednak do tej parszywej spółki, ale nie dlatego, że małżonka suszyła mu głowę, ale chciał od niej uciec chociaż na jakiś czas. Zarządzanie pracownikami podczas budowy kolei dawało mu wytchnienie od Ilse. Często wyjeżdżał i potrafił spędzać w terenie nawet kilka dni. Tęsknił za synem, ale swojej żony miał serdecznie dość. Pomyślał, że jeśli zarobi dużo pieniędzy, ta zajmie się robieniem zakupów do domu albo dla siebie i przestanie marudzić.

I wtedy stało się coś, co odmieniło jego życie... Tego dnia wyszedł z drewnianego baraku i założył bandanę, by piekące słońce nie spaliło mu skóry na głowie. Zaczął łysieć, więc nie miał naturalnej ochrony. Pod pachą trzymał zwinięty w rulon projekt. Musiał sprawdzić, czy kolejny odcinek torów układany jest zgodnie z planem.

– Kierowniku! – Usłyszał głos Zachariasza, pracownika pochodzącego z Kapsztadu.

– Co się dzieje? – zapytał, nieco poirytowany.

Wciąż napotykali jakieś problemy, co zdarza się przy tego typu inwestycjach, jednak nie miał ochoty i czasu gasić kolejnych pożarów. Miał swoich inżynierów i doradców, ale finalnie to on musiał podejmować decyzje.

– Niech pan popatrzy. – Mężczyzna podał mu dziwnie wyglądający kamień.

– I niby co to jest? – Joseph kompletnie nie wiedział, po co Zacharias mu to pokazuje. Czyżby trafili na jakąś skałę?

– Szefie, to diament – powiedział cicho, jakby zdradzał Schneiderowi jakąś tajemnicę.

– Jesteś pewny? – Joseph aż zachłysnął się usłyszaną informacją.

– Pracowałem kupę lat w Kimberley. Diament rozpoznałbym na milę.

Kimberley była to bardzo znana południowoafrykańska kopalnia diamentów. Joseph nie potrzebował już żadnego dowodu na to, że trzyma w dłoni najprawdziwszy klejnot pustyni. Słowa Zachariasza mu wystarczyły, by uwierzył, że właśnie odkryli złoża tego cennego kamienia.

Od razu pobiegł z tym do Hermanna i wykrzyknął radośnie:

– Hermann, przyjacielu, będziemy bogaci! Będziemy nieziemsko, niebotycznie bogaci!

*Essen, 1947*

Ingrid Berg, siostra Rudolfa Schachta, mieszkała w dwupiętrowym domu z piaskowca. Nie miała odrębnego lokalu, ale dysponowała dwoma pokojami udostępnionymi jej przez rodziców. Jej mąż, niewysoki człowiek o szczupłej posturze, należał do ludzi małomównych i spokojnych. Mieli dwoje dzieci w wieku szkolnym i próbowali powrócić do względnej normalności. Ingrid pracowała na poczcie, a jej mąż w warsztacie samochodowym. Mieszkanie sprawiało wrażenie zagraconego i dusznego, a w powietrzu unosił się zapach gotowanych ziemniaków i kapusty. Kobieta w niczym nie przypominała rosnącego brata, była filigranowa i miała figurę młodego chłopaka.

Ingrid chyba najmocniej z całej rodziny przeżyła śmierć swojego brata. Rodzice byli schorowani i dość wiekowi i najwyraźniej nie docierało do nich, że ich syn nie żyje. Takich sytuacji Erik Weber nie lubił najbardziej, ponieważ nie wiedział, jak powinien się zachować. Kiedy on otrzymał informację, że jego ukochany zginął w Normandii, nie mógł wykrzyczeć, jak jest mu źle, opłakiwać swojej miłości czy porozmawiać z kimkolwiek o żałobie i bólu. Gdyby jednak miał taką możliwość, a ktoś w tym momencie zacząłby go pocieszać i mówić, że wszystko będzie dobrze i jego życie się poukłada, chyba by go zabił. To była taka chwila, gdy nie widział przed sobą żadnej przyszłości, a jedynie ciemną czeluść. Bez Augusta nic nie miało prawa się udać. Z czasem zaczął się godzić z jego odejściem, ale na początku wydawało się mu to niemożliwe. Dlatego gdy siostra Schachta zaczęła płakać i skarżyć się na los, że zabrał jej brata, i to wtedy, gdy minęła wojna i największe niebezpieczeństwo utraty życia, po prostu milczał.

– Przeżył wojnę, a teraz ktoś go zastrzelił. – Chlipała. – Co za ludzie, co za podły świat... Mój brat nikogo nie skrzywdził, walczył na froncie jak każdy inny żołnierz.

Weber musiał poczekać z pytaniami, aż siostra Rudolfa nieco się uspokoi. Właściwie nawet nie wiedział, jak one powinny brzmieć, ponieważ informacje, które posiadał na temat Schachta, były zbyt skromne.

– Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pani wie o swoim bracie – poprosił.

– Mieszkaliśmy w Berlinie. Rudolf miał żonę, z którą nie był w najlepszych relacjach. Prawdę mówiąc, nawet jej nie szukał po wojnie ani ona jego. Nie rozwiedli się, bo było to źle widziane, ale żyli osobno. Alfreda poznał u Rommla. Zaprzyjaźnili się. A teraz obaj zginęli.

– Alfred także mieszkał w Berlinie?

– Nie, pochodził z kolonialnej rodziny. Kiedy wybuchła wielka wojna, obaj bracia, Alfred i Otto, przyплыnęli z Egiptu i zaciągnęli się do wojska. Obaj awansowali. Alfred został lekarzem wojskowym, ale nie chciał już walczyć, nawet gdy nadeszła kolejna wojna. Narzekał na zdrowie, ale myślę, że po prostu wolał swoje poukładane życie. Kiedy jednak w Afryce Północnej zrobiło się gorąco, wyekspediował swoją rodzinę do Berlina, licząc, że tam nic się im stać nie może. Poza tym wraz z armią popłynął potem do Europy. Jednak wszyscy jego bliscy zginęli podczas bombardowań. To był taki czas, że dotarcie do Egiptu było właściwie niemożliwe, i chyba dlatego zdecydowali się poczekać na zakończenie wojny w Rzeszy – opowiadała Ingrid Berg. – Być może to właśnie dobra znajomość Afryki Północnej sprawiła, że generał namawiał Kleina na powrót do wojska. Znali się jeszcze z tamtej wojny. U Rommla poznał Rudolfa, mojego brata, i się zaprzyjaźnili. Mój brat nie miał, jak wspominałam, dobrego małżeństwa, więc całkowicie poświęcił się służbie.

– A znała pani Ottona?

Pokiwała głową.

– Poznaliśmy się, ale rozmawiałam z nim zaledwie dwa razy, kiedy już przerzucano armię do Europy. Dostali kilka dni urlopu, więc przyjechał z Rudolfem do mnie, bo przecież nie było jak się dostać do Kairu, a i czasu niewiele. Alfred w tym czasie przebywał ze swoją rodziną. Otto także był zaufanym człowiekiem generała. Jakoś tak się wszyscy razem trzymali.

Erik wyciągnął fotografię i wskazał trzeciego z mężczyzn, którzy sfotografowali się z Rommlem. Był niemal pewny, że ten niezidentyfikowany człowiek to właśnie Otto Klein.

– Czy poznaje go pani? – zapytał, nie chcąc sugerować odpowiedzi.

– Niestety, nigdy go nie widziałam. Ale to nie jest Otto – zapewniła.

Weber był trochę zaskoczony, a potem doszedł do wniosku, że nie miał żadnych podstaw, by sądzić, że trzecim mężczyzną był brat Kleina. Równie dobrze mógł w tym czasie być gdzie indziej, jak i robić zdjęcie.

– A wie pani, gdzie teraz przebywa brat Alfreda? – zapytał z nadzieją w głosie.

Kobieta pokręciła głową, ale zauważył, że spuściła wzrok. Zaczął podejrzewać, że nawet jeśli nie wiedziała, dokąd udał się po wojnie Otto Klein, to miała jakieś przemyślenia na ten temat.

– Proszę dać mi jakąkolwiek wskazówkę – poprosił Weber. Ton jego głosu był wręcz błagalny. – Może ona pomoże mi złapać mordercę pani brata.

– Ale ja naprawdę nie wiem – jęknęła.

– Ale może się pani domyśla?

– Myślę, że udał się z powrotem do Egiptu. Tam został ich dom po rodzicach. Po co miałby tu siedzieć?

– A jednak Alfred zamieszkał w zrujnowanym Berlinie... – zauważył Erik.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego nie popłynął do Afryki, gdy już było pewne, że ani żona, ani dzieciaki nie przeżyły. My wyjechaliśmy do rodziców, bo przecież w Berlinie nie da się żyć.

– Ma pani jakiś adres tego domu w Afryce?

– Nie. Wiem, że mieli ten dom w Kairze. I tyle.

– A zatem wszystkie drogi prowadzą do Kairu – westchnął i zapytał bez większych nadziei: – Mówi coś pani nazwisko Schneider? Ann-Katrin?

Ingrid zastanawiała się przez dłuższą chwilę, jakby szukała w pamięci podobnego nazwiska, i w końcu oznajmiła z żalem w głosie:

– Niestety, nigdy o kimś takim nie słyszałam.

– Ostatnio dotarły do mnie informacje, że Rommel spiskował przeciwko Hitlerowi. Pani brat mówił coś o tym?

Na dźwięk nazwiska niemieckiego przywódcy Ingrid Berg aż się wzdrygnęła.

– Mój Boże, naprawdę? Brat, co prawda, gdy się spotkaliśmy pod koniec wojny, bardzo narzekał na decyzje Hitlera. Nazywał go szaleńcem, który stracił kontakt z rzeczywistością. Rudolf uważał, że wojnę należało zakończyć dużo wcześniej

i nie dopuścić do tego, by doszło do bezwarunkowej kapitulacji. Wie pan, nawet teraz, gdy Hitler już nie żyje, czuję lęk, gdy wypowiadam się o nim krytycznie.

– Teraz to nawet wskazane. – Erik się uśmiechnął. Zwłaszcza że miał bardzo podobne zdanie do Rudolfa Schachta.

– Myśli pan, że mój brat miał coś wspólnego z tymi zamachami na Führera, o których szeptano w Berlinie?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Może tak, a teraz ktoś wykonał na nim wyrok. Uważam, że pozostało jeszcze sporo fanatyków poprzedniej władzy.

– Wielu z nich popierało władzę, bo to się opłacało, ale ma pan słuszość, ślepców nie brakuje do dziś. Nawet tutaj, gdy rozmawiam z ludźmi, mówią, jak to za Hitlera było im dobrze. A przecież już cały świat się dowiedział, że paliliśmy ludzi w piecach. Tylko oni w to nie wierzą, bo nie chcą wierzyć, że ich cudowny Führer okazał się potworem. Sądzą, że to amerykańska i sowiecka propaganda, a zdjęcia są spreparowane.

Nareszcie Erik mógł sobie swobodnie ponarzekać, ponieważ najwyraźniej Ingrid Berg także lubiła to robić. I rozumiała go doskonale.

Na koniec dopytał jeszcze o relacje Schachta z jego żoną, ale pani Berg powiedziała, że od dawna nie mieli ze sobą kontaktu. Wykluczyła jednak z całą stanowczością możliwość, by to żona mogła przyczynić się w jakimkolwiek stopniu do śmierci męża. Żyła z kimś innym od kilku lat i czekała jedynie na koniec wojny, by móc wziąć z Rudolfem formalny rozwód. Na wszelki wypadek zapisał dane kobiety, mimo że znowu czekało go szukanie adresu w administracji. Pani Berg nie miała bowiem nawet pojęcia, w której dzielnicy Berlina mieszka obecnie pani Schacht. I tak musiał ją odnaleźć, chociażby po to, by poinformować ją o śmierci męża. Teraz już nie musiała się rozwodzić. A może, jeśli będzie miał szczęście, kobieta sama się do nich zgłosi? W końcu Karen Brener pisała o tej zbrodni. Stwierdził, że musi ją poprosić, by raz jeszcze wypuściła materiał o zabiciu dwóch oficerów Afrika Korps.

Po powrocie do Berlina kolejny raz poszedł do biura Connora Evansa. I znowu odniósł wrażenie, że przeszkodził mu w czymś bardzo ważnym.

– Czegoś się dowiedziałeś o tej całej Schneider? – zapytał niepewnie, widząc, że jego znajomy niezbyt się ucieszył z wizyty.

– Tak, była agentką MI6 – odparł Evans. – Myślę, że możesz ją wykreślić z listy. Poza tym wywiad nie ma pojęcia, gdzie przebywa. Sądzą, że wyjechała do Ameryki.

– To dlaczego jest w rejestrze? – zapytał podejrzliwie.

– Burdel na kółkach, to zwykła pomyłka, więc tym bardziej ją wykreśl. – Evans machnął ręką.

– Z listy podejrzanych mogę, ale nie z listy świadków. Coś ją musiało łączyć z Kleinem. Gdyby ją zlokalizowali, napisałbym do niej. Nie wiem tylko, skąd ta znajomość z Kleinem, jeśli była waszą agentką. Być może to jakaś stara relacja, jeszcze sprzed wojny. Posłuchaj, czy ty słyszałeś coś o spisku i zamachach na życie Hitlera?

– Tak, jakieś pogłoski słyszałem, ale, prawdę mówiąc, nie drażyłem tematu. Myślisz, że jest coś na rzeczy? – zainteresował się Connor, porzucając temat panny Schneider. Może nawet jemu nie chcieli niczego powiedzieć na jej temat?

– Nie wiem, poruszam się po omacku. Podobno Klein, jego brat Otto i Schacht byli dość blisko Rommla. A jeśli dołożymy do tego brytyjską agentkę, to można już uknuć jakąś intrygę. Mógłbym przyjąć hipotezę, że jacyś mściciele i miłośnicy Hitlera dowiedzieli się o udziale naszych ofiar w spisku i wykonują wyroki, ale jedno mi się nie zgadza... Ten bałagan w domu Kleina. I druga sprawa, Otto Klein być może ukrywa się w Egipcie. Jest pytanie, dlaczego to robi, jeśli żołnierzom z Afrika Korps nic nie grozi? Jeśli zaś miał kontakt z bratem, dlaczego Alfred go szukał?

– Myślę, że jeśli chodzi o Ottona Kleina, wytłumaczenie może być dużo bardziej prozaiczne. Po prostu zginął. Rommel walczył także w Europie, potem wszyscy się rozpiezchli, ale wielu zginęło i jeszcze nie wszyscy zostali zidentyfikowani – powiedział Connor.

– Posłuchaj, rodzice braci Kleinów mieli w Kairze dom. Czy mógłbyś uruchomić swoje znajomości i dowiedzieć się czegoś? Jeśli rozpocznę oficjalną procedurę, potrwa to miesiące, o ile w ogóle coś z tego wyjdzie. Tam zapewne ukryło się wielu zbrodniarzy, ludzie mogą nabrać wody w usta.

Connor przetarł zmęczone oczy.

– Dobrze, dowiem się od Amerykanów wszystkiego, co zdołam, na temat spisku. Wiesz, mój ojciec zawsze powtarzał, że nie ma ludzi lepiej poinformowanych od jankesów. Widzę, że mam z tobą sporo roboty. Dobrze, wyślę też depezę do matki. – Roześmiał się.

– Ale może dzięki temu uratujemy komuś życie – westchnął Erik.

Evans się zamyślił. Weber stwierdził, że jego kumpel jest chyba ostatnio przemęczony. Stracił cały swój animusz, jakby niósł na swoich barkach ogromny ciężar.

– Wszystko w porządku, Connor? – zapytał.

– Tak, po prostu mam dużo pracy – odparł, ale chyba nie do końca zgodnie z prawdą.

– Gdybym mógł... – zagadnął.

Evans uśmiechnął się ironicznie.

– Ale nie możesz. I obiecuję, przycisnę Amerykanów o tego Rommla, chociaż Bóg mi świadkiem, obawiam się, że mierzysz bardzo wysoko.

– Nie każdy ma zdjęcie z Rommlem. – Weber puścił do niego oko.

Wyszedł z monumentalnego budynku Rady Kontroli i wsiadł na swój wysłużony rower. Jacob Eger obiecał, że już niedługo dostanie do dyspozycji samochód. Jak zwykle nie potrafił się z tego ucieszyć, tylko powiedział do współpracowników:

– Jasne, tylko nie wiadomo kiedy. Może się doczekam, zanim pójde na emeryturę.

– Nie narzekaj – prychnęła Rita Lipszyc. – Dostaliśmy nowe maszyny do pisania.

– Ale na raporty balistyczne wciąż czekamy. To już drugi miesiąc – mruknął.

– Za to położyłam ci na biurku dokumenty od patologa.

Rzucił się na nie jak wygłodniały pies na kość, ale nie dowiedział się niczego nowego. Oprócz tego, że Alfred Klein był najpewniej zakneblowany, gdy oprawcy się nad nim znęcali. Patolog znalazł otarcia, które mogły o tym świadczyć. A zatem pani Kronenberg rzeczywiście mogła nie słyszeć krzyków katowanego doktora.

Na razie nie zagadnął Connora o jeszcze jedną rzecz, ale uznał, że musi dawkować swoje prośby. Nie chciał, żeby Evans się zirytował. W końcu miał swojej roboty pod dostatkiem. Jeśli nadwyreży jego życzliwość, pewnego dnia major pośle go do diabła i powie, by Weber zdobywał informacje oficjalnymi kanałami.

Zrobiłby to i nie zawracał głowy kumplowi, ale takie sprawy trwały bardzo długo, a on powinien pokazać już coś konkretnego Jacobowi Egerowi. Inaczej wyjdzie w jego oczach albo na nieudacznika, albo wypowie swoje „a nie mówiłem” i nakaże zamknąć dochodzenie. Gdyby Erik podrzucił mu jakiś kęs, może dostałby nieco więcej czasu.

*Berlin, 1947*

„Zamach na Hitlera” – myślał z przekąsem Connor po wyjściu kumpla. Nie chciał jednak kpić z tej głupiej teorii przy Weberze, ponieważ pragnął za wszelką cenę odsunąć uwagę od Ann-Katrin. Niestety, wiązało się to z koniecznością porozmawiania z kim trzeba i być może długimi godzinami spędzonymi nad różnymi archiwaliami. Naprawdę nie miał na to czasu i związek morderstw z Berlina z kilkoma rzekomymi zamachami na Hitlera uważał za teorię spiskową. Owszem, docierały do niego takie informacje jeszcze w czasie wojny, ale nie bardzo wierzył, że dokonała tego jakaś rozbudowana siatka. Ot, kilku szaleńców chciało przejść do historii.

Wyszedł z biura i udał się do majora Paula Oldena. Przywitali się i Connor zapytał:

– Macie jakieś dokumenty na temat zamachu czy zamachowców na Hitlera?

– Chodzi ci o ten w Wilczym Szańcu?

– O każdy. I tak żaden się nie udał. – Uśmiechnął się.

– A po co ci te informacje?

– A są tajne? – zadrwił.

– Nie, ale jeśli podrzuciłbyś mi dobry powód, nakazałbym przywiezienie akt do Berlina. Oczywiście, wielu dokumentów nie mamy, bo przytulili je Rosjanie, ale mamy trochę danych. Masz rację, mają głównie wartość historyczną.

– Hm... Najpewniej dwaj spiskowcy zostali niedawno zamordowani w Berlinie.

– Miał nadzieję, że to wystarczy i nie będzie musiał jechać nie wiadomo dokąd.

Olden popatrzył na niego jak na wariata.

– Mój drogi... Żaden spiskowiec nie przeżył...

Przeklął w duchu, bo Paul właśnie wytrącił mu argument z ręki.

– To teoria pewnego całkiem mądrego detektywa z policji kryminalnej. Może lepiej, żeby sam ją odrzucił, studiując dokumenty. Jeśli nie są tajne...

– Dobra, wymyślę coś, żebyś nie musiał jechać do Norymbergi. Tylko posłuchaj, jeśli jakaś część akt będzie jednak tajna, ten policjancik nie może ich zobaczyć – zastrzegł Olden.

– A ja? – zapytał niepewnie.

– Ty owszem. W takim razie wszystko na was zrzucę. Niemcy mogliby zacząć bezcześcić groby zamachowców. – Wykrzywił usta.

Evans nie odpowiedział. Weber nie wyglądał na fanatyka.

Wrócił do domu bardzo późno, ale nie mógł zasnąć. Wysilał niepotrzebnie umysł, bo i tak by nie mógł odgadnąć, gdzie jest Ann-Katrin. Był na nią wściekły, ale bardziej obawiał się o jej życie. Przymknął powieki i zaczął się zastanawiać, kiedy powinien się zorientować, że panna Schneider coś kombinuje. To było chyba wówczas, gdy nagle zmieniła zdanie...

W pokoju nie było czym oddychać, a dym z kadzidełek jeszcze potęgował zaduch. Przez zamknięte okiennice sączyły się wąskie strumienie słońca, które padały na szerokie łóżko pełne adamaszkowych poduszek. Na jednej z nich głowę opierała Ann-Katrin.

Spędzali w tym miejscu sporo czasu. Kiedyś uwielbiał adrenalinę, która towarzyszyła jego pracy, teraz czuł ją za każdym razem, gdy brał w ramiona Ann-Katrin. Tego dnia zauważył, że kobieta zachowuje się trochę inaczej. Nadal wtulała się w niego, jakby był najważniejszym dla niej mężczyzną, ale miała w oczach coś nieodgadnionego. Tak jakby jej złość mieszała się z żalem.

– Co jest, skarbie? – zapytał, dotykając palcami jej policzków.

– Connor, chcę to zrobić – szepnęła.

– Wyjść za mnie?

– Na to jest chyba za wcześnie. Prawie się nie znamy.

– A mnie się wydaje, że znamy się całe wieki.

– Wybacz, ale nie o tym mówię. Będę szpiclowała dla was Markusa Sterna.

– Oj, chyba lokator znalazł ci za skórę. Szybko... Ann-Katrin, trzy tygodnie temu przyjechałaś do mnie i poprosiłaś, żebym cię z tego wypłatał. Nie musisz tego robić. My go podsłuchujemy i złamaliśmy szyfr. Sprawa kreta jest drugorzędna. Obserwujemy go, ale parę razy się nam wymknął. Musimy być ostrożni, żeby się nie domyślił, że go słuchamy. I tak dużo robisz... Mieszkasz z tym draniem – powiedział.

– Jesteś zazdrosny? – zapytała. Zrobiła to takim tonem, jakby to było niemożliwe.

– Pewnie, że jestem.

– Chcę to zrobić – powtórzyła.

– Nie – odpowiedział krótko.

Jej oczy pociemniały.

– Pójdę z tym do Irvinga.

Westchnął głośno. Wiedział, że to zrobi, i chyba musiałby skuć ją kajdankami, aby ją powstrzymać. Ann-Katrin bywała uparta jak osioł.

– To idź – burknął. – Ale ja do tego ręki nie przyłożę.

– Ale to nic między nami nie zmieni, prawda? – zapytała niepewnie.

– O ile nie pójdziesz z którymś z nich do łóżka. Jeśli to zrobisz, to raczej zmieni – warknął i spróbował jeszcze raz: – Kochanie, ufasz mi?

– Oczywiście, powierzyłam ci swoją małą tajemnicę.

– Dotrzymałem słowa?

– Tak. – Uśmiechnęła się do niego.

– A więc zaufaj mi, że nic wielkiego się nie stanie, jeśli nie weźmiesz w tym udziału. Zrozum, te dziewczyny, z którymi zadaje się Stern, znikają i nie wiemy, czy gdzieś uciekły za jego forszę, czy pływają w Nilu. Ma świadomość, że gdybyśmy je dorwali, poznalibyśmy nazwisko zdrajcy. Nie chcę, żebyś tak skończyła.

– Nie skończę. I ty też mi zaufaj. Tylko przejrzyj te notatki i spróbuję znaleźć jakąś informację, skąd pochodzą.

– Jesteś dorosła...

– Naprawdę uważasz, że poszłabym z Irvingiem do łóżka? – zapytała po chwili, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co powiedział wcześniej.

– Jest przystojny i łasy na kobietki. I nie wie o nas, więc będzie się do ciebie przystawiał – odparł.

Zapatrzyła się w sufit, ozdobiony orientalnymi freskami, nieco już wyblakłymi i w wielu miejscach pozbawionymi farby.

– Connor, zakochałam się w tobie. Wiem, to głupie i może tylko mi się wydaje, ale robi mi się niedobrze na samą myśl, że inny mężczyzna mógłby mnie dotykać.

– W takim razie ja też jestem głupi. – Roześmiał się i dodał: – Będę blisko, ale naprawdę nie chcę mieć z tym nic wspólnego. I nie umiałbym z tobą pracować.

– Uważasz, że nadaję się tylko do tego, żeby rozkładać przed tobą nogi – obruszyła się.

– Ta robota wymaga skupienia, każdy szczegół jest ważny. Myślisz, że potrafiłbym się przy tobie skoncentrować? Nie, i wcale nie dlatego, że od razu chciałbym pozbawić cię sukienki. Po prostu zastanawiałbym się, na co się narażasz.

– Jeśli będę sprytna, sprawa się wyjaśni w ciągu kilku dni i wszyscy pozbędziemy się problemu – odparła.

Do tej pory pluł sobie w brodę, że się zgodził na ten cyrk. Nie chodziło nawet o to, że Ann-Katrin się narażała, ale o to, że wystawiła ich rufą do wiatru. Okpiła ich koncertowo. Owszem, odkryła kreta, ale zanim do niego dotarli, już nie żył. Poza tym przekazała im kilka fałszywych informacji, rzekomo z pokoju Sterna. On musiał wiedzieć o wszystkim i oboje z Markusem zrobili z nich idiotów. Kiedy zaś Connor był już gotów go zatrzymać, kolejny raz pomogła mu uciec. Tak jak wtedy, gdy szukał Sterna w jej garderobie.

Nazajutrz kolejny raz zjawił się u niego Erik i, prawdę powiedziawszy, Connor miał już go serdecznie dość.

– Co tym razem, Weber? – zapytał znużony.

– Wiem, że jesteś wkurzony, bo ciągle tu przyłażę i czegoś od ciebie chcę. Ale uwierz, nie mam do kogo z tym pójść. Już wczoraj chciałem cię o to poprosić, ale się bałem, że mnie w końcu pošlesz do diabła. – Weber mówił takim żalobnym głosem, że od razu złość mu przeszła.

- Dobra, mów wszystko. Jak się da, pomogę. Jeśli nie, powiem prosto z mostu.
 - Mówiłeś, że twoja matka ma jakieś chody w Kairze...
 - Nie ona, tylko jej fagas. Dżubran Aziz. I wysłałem wczoraj do matki depeszę. Jeśli ustalą ten adres, wyślą mi tę informację niezwłocznie.
 - A jak ten Turban ustali ten adres, to mógłby sprawdzić, czy ten Otto tam mieszka?
 - Raczej tuman. – Connor się roześmiał. – Ma na imię Dżubran. Nie chciałbym go o to prosić. Boję się, że wpadnie tam i zacznie zadawać dziwne pytania. A wtedy możesz spłoszyć tego, kogo szukasz. O ile, oczywiście, tam jest.
 - Masz rację, masz rację... – Pokiwał głową i dodał: – A kiedy się wybierasz do matki?
 - Nie wiem, może za miesiąc lub dwa. Zobaczę, kto tam od nas leci i kiedy. Jeśli zaproponujesz, żebym to zrobił za kilka dni, powiedz sekretarce, żeby cię więcej do mnie nie wpuszczala. – Evans znowu się zaśmiał.
 - Niech będzie, poczekam. – Erik znowu zrobił bolesciwą minę.
 - Mam też dobrą wiadomość. Niedługo przyjdą dokumenty, o które prosiłeś. Chodzi o spisek przeciw Hitlerowi. Niepełne, ale może rozwiejesz swoje wątpliwości.
 - Świetnie. – Zatarł ręce. – Pójdziemy na piwo?
- Zgodził się, bo nie chciał spędzić kolejnego wieczoru, rozmyślając o motywacjach i charakterze Ann-Katrin.

*Kair, 1915*

Napięcia pomiędzy oddziałami tureckimi i arabskimi były niepowtarzalną szansą, by odnosić coraz większe sukcesy. Wrogim wojskom nie udało się zdobyć panowania nad Kanałem Sueskim, a ich przejście przez Synaj zakończyło się fiaskiem. Jednak te małe zwycięstwa nie przesądzały jeszcze o losach wojny w Arabii.

Jak to mawiał ojciec Thomasa Evansa, po tłustych latach zawsze nadchodzą chude. Być może gdyby w tamtym czasie wysłuchano Evansa i tych, którzy mieli takie samo zdanie co on, sytuacja wyglądałaby inaczej.

– My szykujemy się na Aleksandrettę, gdy tymczasem w Londynie mówią tylko jedno słowo: „Dardanele” – powiedział Newark, gdy spotkali się na odprawie.

– Pewnie najlepiej wydawać rozkazy z klubowego fotela w Londynie – zadrwił Thomas.

– Winston Churchill jest wielkim orędownikiem takiego rozwiązania – westchnął pułkownik.

– Bo patrzy na mapę, a my jesteśmy na miejscu. – Evans wciąż upierał się przy swoim.

Dardanele – wypowiedane niczym imię pięknej Szeherazady – były łakomym kąskiem, zwłaszcza gdy okręcało się palcem duży globus i cieśnina wydawała się cieniutką nitką, której przerwanie rozwiąże wszystkie problemy. Pięćdziesięciokilometrowy pas wody przepływał pomiędzy górzystymi brzegami od Morza Śródziemnego aż do morza Marmara. A tam kusił swoim pejzażem Konstantynopol, o którego pokonaniu marzyli Brytyjczycy. Każdy, kto rządził tym miastem, doskonale wiedział o zagrożeniach i chyba tylko dygnitarzom z Londynu

się wydawało, że właśnie odkryli Amerykę. Tureckie forty, które zastąpiły antyczne, stanowiły najlepszy przykład, ale Pierwszy Lord Admiralicji Winston Churchill niczym magiczne zaklęcie powtarzał: „Otworzyć cieśninę i uciąć głowę Turkom”. Zwyciężyła opcja forsowana przez Churchilla i statki brytyjskiej floty wpłynęły na wody cieśniny.

– Widzisz, Thomas, niedowiarku?! Jeden i drugi niewierny Thomas! – krzyczał radośnie pułkownik. Drugim Thomasem był, oczywiście, niepokorny Lawrence. – Prawie cały zewnętrzny pas fortyfikacji zniszczony. Za dwa tygodnie dotrzemy do Konstantynopola.

– Dostaliśmy informację, że Turcy wywożą złoto z miasta, a administracja się ewakuuje – zameldował Evans.

– Ja nadal uważam, że mniejszym kosztem i wysiłkiem należało zająć Aleksandrettę. Mamy jeszcze czas, aby to zrobić – upierał się Lawrence.

– Kwestionujesz rozkazy? – Pułkownik się naburmuszył.

– W tamtych okolicach ropy jest tyle, że wystarczy na następne sto lat, a status Aleksandretty jest niepewny. Leży na granicy z Syrią, ale do niej nie należy – tłumaczył Lawrence. – Można te operacje przeprowadzić równolegle. W cieśninie i w Aleksandrecie.

Nie zdołali nikogo przekonać do ataku na Aleksandrettę, bo generalicja wciąż żyła sukcesem w cieśninie i parła dalej, ignorując inne rozwiązania. Niestety ta operacja okazała się trudniejsza, niż sądzili decydenci w Londynie i zamiast przesądzić o losach wojny na Bliskim Wschodzie, zakończyła się fiaskiem.

Tymczasem karty zaczął rozdawać amerykański koncern naftowy, który dostarczał swoich dóbr wszystkim uczestnikom konfliktu. Ropa była potrzebna, a w zamian jankesi mogli dostać tyle koncesji, ile dusza zapagnie, w dodatku za niewielkie pieniądze. Thomas twierdził, że w tamtym czasie Arabią właściwie rządził koncern Socony. Niekiedy Evans mówił do swojego znajomego, Amerykanina Richarda:

– Pamiętaj, że to ja o mały włos nie zginąłem na pustyni, gdy was szukaliśmy. *Chamsin* chciał nas wykończyć. Też mi coś, naukowa ekspedycja – zakpił.

– Oczywiście, że naukowa – odparł ze śmiechem kumpel. – Nauczyliśmy się, że kto ma ropę, ten ma lepiej i będzie rządził światem.

– Rozumiem, że z wdzięczności zatrudnisz mnie na dobrym stanowisku, w razie gdyby mnie wydalono ze służby.

– Ciebie? Takiego mistrza?

– Walczą na Dardanelach, a ja wciąż głądziłem, że to misja bez mała samobójcza.

– W takim razie zwycięstwo Brytyjczyków to twoja dymisja. – Richard zarechotał.

– Coś w tym rodzaju. Nos mnie nie zawiódł, bo po dwóch tygodniach miało być po wszystkim, ale sytuacja nie jest jeszcze przesądzona i szybka akcja zamieniła się w bardzo powolną.

– Wiem – odparł z pewnością w głosie mężczyzna i poprawił kowbojski kapelusz, który przypląnął razem z nim z Ameryki, mimo że Richard pochodził z Nowego Jorku. – Wszystko zależy od pewnej nowojorskiej firmy naftowej.

– Bardzo pomożecie Turcji, a nas możecie pogrozić. Dostaliście od nich pół miliona akrów, praktycznie całą Judeę.

– No cóż... A kto powiedział, że zaczniemy wiercić, zanim zakończy się wojna. – Richard znowu zaczął się śmiać.

– Żeby was... – westchnął Thomas. I od razu zaczął myśleć o konsekwencjach przebiegłego planu Standard Oil.

Richard naprawdę był niesamowitym szczęściarzem. Brytyjczycy mieli dbać o pola naftowe, a on zapakował kufer okrętowy i popłynął do Nowego Jorku. Nie minęło kilka dni od jego wyjazdu, gdy na Ziemię Świętą spadła niespotykana dotychczas plaga szarańczy. Oblepiały ludzkie ciała, maszyny, niszczyły zbiory i istniało poważne zagrożenie, że zabraknie jedzenia. Widać niektórym szczęście sprzyjało przez cały czas.

Tymczasem każdy toczył swoją grę i należało to wykorzystać, żeby przeciągnąć Arabów na swoją stronę. Thomas Evans uwielbiał się chełpić, że tak wszystko przewidział, aczkolwiek atak szarańczy był także dla niego niemiłym zaskoczeniem. A przy tym tak wiele obowiązków spadło na jego głowę, że w ogóle przestał myśleć o żonie. Tęsknił jedynie za synem, ponieważ tylko jego dzieciak patrzył na niego z nieskrywanym podziwem. Każdej opowieści ojca słuchał z otwartymi ustami i jak to mały chłopiec wierzył w każde jego słowo. Nie

zadrećzał się owym panem, który tak często odwiedzał Allison. On wygrywał bitwy, jego żona – swoje życie.

Brytyjczycy wciąż walczyli, ale nadeszła względna stabilizacja dla służb wywiadowczych, którzy z nudów zaczęli drukować własną gazetkę. Thomas postanowił wówczas pojechać na kilka dni do rodziny. Miał ten komfort, że znajdowali się blisko niego. Niezapowiedziana wizyta sprawiła, że Evans natknął się na swojego konkurenta. Mężczyzna o ciemnych, niemal czarnych włosach, które połyskiwały w ostrym słońcu, siedział na rattanowym fotelu w białym jak śnieg garniturze i raczył się herbatą. Gdy zobaczył Thomasa na schodkach tarasu, jego marynarka i spodnie już nie były nieskazitelne. Ze strachu wypuścił szklanekę i się oblał gorącym naparem.

– Wydaje mi się, że pańska wizyta dobiegła końca – powiedział zimno Evans.

Nie musiał zbyt długo czekać na reakcję, Dżubran Aziz zawinął się w ciągu trzydziestu sekund. Nawet Thomasa to zdziwiło, a jednocześnie przyszło mu do głowy, że facet miał coś na sumieniu. Po chwili Allison stanęła w drzwiach werandy z tacą wypełnioną *balah el sham*, tłustymi paluchami z ciasta, które były tak słodkie, że Thomas nigdy ich nie jadał. Zapewne jego żona przygotowała je dla Dżubrana. Była kompletnie zaskoczona.

– Przeszkodziłem ci w czymś, moja droga? – zapytał uprzejmie, ale można było wyczuć na kilometr skapujący z jego ust jad.

Pani Evans postawiła tacę na stoliku, usiadła na fotelu i powiedziała z głośnym westchnieniem:

– Już wiesz, więc powiedz, co z tym zrobimy.

– Zakończ to, Allison. Cokolwiek to jest. Przynajmniej do czasu, aż wychowamy naszego syna.

– A jeśli nie? – zapytała żałośnie.

– Wychowam go sam – wycedził.

– Ja też go kocham.

– Wiem, dlatego daję ci wybór. – Wzruszył ramionami.

– Naprawdę byś mi go zabrał? – jęknęła z niedowierzaniem.

– Nie, teraz jest wojna, ale zrobiłby to mój ojciec.

– Duży facet i straszy mnie tatusiem – zadrwiła.

– O ile dobrze pamiętam, gdy chciałem odejść, to poszłaś właśnie do niego. I to on uratował naszą rodzinę. Mam nadzieję, że teraz także by mu się to udało – odparł spokojnie Thomas.

– Nie rozumiesz, że czuję się samotna?

– Nie rozumiesz, Allison, że jest wojna i od jej przebiegu zależy nasza przyszłość? I naszego syna. Wznieś się ponad swój egocentryzm. Chłopak dorasta, a kiedy już nie będzie nas potrzebował, zwrócę ci wolność.

– Sądziłam, że będziesz o mnie walczył. – Allison zaczęła płakać.

– Myślałaś, że w ten sposób zwrócisz moją uwagę?

Pokiwała głową.

– Posłuchaj, nikt nie walczy na dwóch frontach. To zwiastuje klęskę na obu polach. Jeśli jeszcze trochę poczekaś, nie zawiodę cię.

– Zanim to się skończy, nasz syn będzie prawie dorosły – prychnęła.

Usiadł koło niej i wziął ją za rękę.

– Allison, pomyśl, będziemy mieli więcej czasu tylko dla siebie.

Położyła głowę na jego ramieniu.

– Wiesz, jesteś jak spokojne wody. Świat się lekko kołysze, ale wiem, że nie wypadnę za burtę. Tylko czasami marzy mi się jakiś sztorm, przygoda, ekscytacja czymś nowym i świeżym. Problem w tym, że można utonąć w zbyt wysokich falach.

– Rozumiem cię, ja mam swoje burze w pracy, a kiedy przyjeżdżam do domu, marzę o spokoju. Dla ciebie to chleb powszedni.

– I Connor nie potrzebuje mnie już tak jak kiedyś. Nie przytula się do mnie, nie opowiada, czego uczy się w szkole, tylko mnie strofuje. Mówi, że jeśli ty nie zastrzelisz Dżubrana, on to zrobi. – Uśmiechnęła się smutno.

– Tak, mój syn jest trochę narwany. Chyba po tobie. Dusi w sobie emocje, ale gdy już wpadnie w złość...

– Thomas, nie chcę myśleć, że tylko to się udało w naszym małżeństwie.

– Jesteś straszną feministką, inne się cieszą, jeśli w ogóle mają mężów. – Zaśmiał się i zapytał: – Gdzie Connor?

- Nie wrócił jeszcze ze szkoły.
- To włącz gramofon, potańczymy...

*Berlin, 1947*

Wyglądała bajecznie, ale naprawdę nie miała pojęcia, dokąd mogłaby pójść w tej pięknej sukience. Jednak lubiła ją zakładać i przeglądać się w lustrze. Na szczęście nie musiała mieć na stopach swoich sponiewieranych trzewików, bo mogła spacerować po posadzce boso. Stawała na palcach, udawała, że włożyła pantofle na obcasie i trzyma w dłoni mikrofon, a potem śpiewała swoje szlagiery. W Berlinie otwarto już miejsca, w których mogłaby występować, ale nie chciała rzucać się w oczy. Zbyt wiele osób przychodziło na dansingi i obawiała się, że pewnego dnia do lokalu zawita Connor, a wtedy będzie po niej.

Wciąż miała ładny, głęboki głos. Kiedy kończyła śpiewać, zdejmowała sukienkę i ćwiczyła taniec. Nie miała pojęcia, dlaczego to robiła, po prostu to lubiła, mimo że chyba odwykła od zadymionych knajp i nocnego życia. Kiedyś była jak ćma, która nie potrafi znieść dziennego światła. W Berlinie przynajmniej bywało pochmurnie, i to dość często, w Kairze prawie zawsze świeciło ostre słońce. Odbijało się od białych elewacji, wdzierало się w labirynty wąskich uliczek i przez wypaczone okiennice. W nocy świat się zmieniał i nie był tak bezlitosny dla brudu, niedostatków urody czy zmarszczek.

Zdecydowała się na pracę dla aliantów, ponieważ Markus Stern zrobił coś takiego, że nie mogło mu to ujść płazem. Pragnęła zemsty na nim, a wiedziała, że w ten sposób pogrzyży go jeszcze bardziej. Nie słuchała Connora, ale nie przeszkodził jej w tym przedsięwzięciu. Wtedy była mu za to wdzięczna, ponieważ nie chciała się z nim kłócić. Pragnęła go kochać, pławić się w rozkoszy i wtulać w jego ramiona. I snuć marzenia o tym, co będą robić, gdy wojna się zakończy.

Latifa, gdy znalazła się w ich domu, wymagała nie tylko opieki zdrowotnej, ale przede wszystkim czułości i rodzinnego ciepła. Dziewczynka się obwiniała, że choruje i robi im kłopot.

Kiedyś, gdy kolejny raz musiała leżeć w łóżku, znowu zaczęła mieć wyrzuty sumienia.

– Ann-Katrin, ja przepraszam – wyszeptała wówczas, gdy lekarz już wyszedł.

– A za co?

– Taki doktor to pewnie dużo kosztuje. Najmniej pół funta – wymamrotała.

Rachunek, który wystawił im lekarz, był znacznie wyższy, ale nie zamierzała prostować słów dziewczynki. Usiadła na jej łóżku i podała szmacianą lalkę, kupioną przed południem na bazarze. Chciała poprawić Latifie humor.

– Jaka śliczna! Wiesz, ja nigdy nie miałam lalki. Gdyby mama albo tata żyli, pewnie by mi kupili.

– A teraz ja ci ją kupiłam. – Ann-Katrin uśmiechnęła się do niej i zapytała: – Jak jej dasz na imię?

Latifa przytuliła zabawkę i szepnęła:

– Ann-Katrin.

Egipcjanie dziwnie wymawiali jej imię, ponieważ akcentowali ostatnią sylabę, co brzmiało dość osobliwie.

– Oj, to będzie niegrzeczna. – Roześmiała się.

– Ann-Katrin... – zagadnęła dziewczynka. – Ty mnie nie zostawisz? Ani pan Adio?

– Przysięgam, zawsze będę się tobą opiekować.

Dotrzymała danego Latifie słowa. Po śmierci Adio Schneidera zabrała ją ze sobą i nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. Dziewczynka była chorowita, wszystkie zarazy do niej lgnęły, a jej wycieńczony organizm nie mógł sobie z nimi sam poradzić. Wizyty lekarzy i medykamenty pochłaniały dużo pieniędzy, ale Ann-Katrin nie zamierzała oszczędzać na zdrowiu Latify. Po śmierci ojca właściwie była to jej jedyna rodzina.

Kiedyś poszła po pożyczkę do wuja Hermanna. Pierwszy i ostatni raz. Nie dlatego, że nie okazał współczucia i nie otrzymała od niego wsparcia, ale gdy wychodziła z jego przepastnej eklektycznej willi, będącej mieszaniną stylu

kolonialnego i arabskiego, podsłuchiwała rozmowę starego Dagenhardta z małżonką. Helga powiedziała, żeby nigdy więcej nie pomagał brudasom, bo to nie są ludzie. Oczywiście miała na myśli także ją, ponieważ po swojej babce Ann-Katrin odziedziczyła niemal czarne oczy i śniadą cerę, która przez dwa pokolenia zdążyła mocno się rozjaśnić. Zawsze wiedziała, że pani Dagenhardt jest obrzydliwą rasistką, która osoby o innym kolorze skóry najchętniej widziałyby w obozach, które na początku wieku zakładali w swoich koloniach niemieccy i brytyjscy osadnicy. Nie spodziewała się jednak, że Hermann myślał podobnie. Może nie o niej, z uwagi na przyjaźń z jej dziadkiem, ale o Latifie. Odparł wówczas, że ma litość dla zabiedzonych zwierzątek, a Adio i Ann-Katrin tak traktowali dziewczynkę i równie dobrze mogliby trzymać w domu małpkę. To nie była prawda i poczuła wielki zawód słowami wuja. Dla niej był bardzo miły i wspierał ją na każdym kroku, ale obiecała sobie, że już nigdy go o nic nie poprosi i będzie zaglądała do tego domu jak najrzadziej.

Na początku nawet lubiła Markusa Sterna. Owszem, bywały także momenty, kiedy bardzo ją irytował, ale ogólnie nie mogła narzekać. Sądziła, że i on jest pozytywnie do nich nastawiony, a przede wszystkim do Latify, ponieważ ona była dla panny Schneider najważniejsza.

Któregoś dni Latifa znowu się rozchorowała. Informacja, której wówczas udzielił jej lekarz na temat stanu zdrowia dziewczynki, zmroziła ją. Miała niespełna trzynaście lat, gdy w szpitalu poinformowano Ann-Katrin, że choroba, która rozwija się w jej organizmie, to polio. Musiała zostawić małą na oddziale, a rokowania nie były najlepsze.

– Panie doktorze, przecież to choroba ludzi, którzy żyją w złych warunkach sanitarnych – jęknęła. – Co mniej wrażliwsi nazywają ją chorobą brudasów. U mnie w domu jest czysto, dbamy o higienę i nie rozumiem, dlaczego Latifa zachorowała.

– Owszem, wszelki brud jest pożywką, ale nieuprawnione jest twierdzenie, że czysti ludzie nie mogą się nią zarazić. W przypadku Latify może się to także wiązać z jej wcześniejszymi chorobami, które bardzo ją osłabiły.

– Ale ona się dusi... – Ann-Katrin zaczęła płakać.

– Proszę pani, w Kairze jest pewna prywatna klinika, prowadzona przez amerykańskich lekarzy. To kosmopolityczne miasto i kiedyś każdy chciał być leczony przez rodzimych lekarzy. Dysponują czymś, czego my nie mamy, a mogłoby to uratować Latifę.

– Boże, niech pan mówi, od razu tam pojedę! – Naprawdę była zdesperowana. Nie miała pojęcia, jak wyglądałoby jej życie bez Latify.

– Mają urządzenie resuscytacyjne, potocznie nazywane żelaznym płucem. To tuba, w której umieszcza się pacjenta, a ona pomaga w prawidłowym oddychaniu. Nie będę zanudzał pani szczegółami, ale to mogłoby przywrócić zdrowie Latifie. Nie mogę obiecać, że tak właśnie będzie, ale jest nadzieja.

To było coś, czego najbardziej potrzebowała.

– Jak doktor myśli, ile to będzie kosztowało?

– Obawiam się, że dużo. Pewnie dla zamożnego Amerykanina nie byłaby to cena zaporowa, ale musi się pani liczyć z kwotą nawet kilkuset funtów. Nie wiem, może zażyczą sobie zapłaty w dolarach. Piastrów raczej nie przyjmą – oznajmił.

– Mam pan tam kogoś znajomego? Ona musi tam trafić. Zdobę te środki. Zajmie mi to maksymalnie dwa dni.

– Dobrze, porozmawiam ze znajomym, a pani niech szykuje pieniądze.

Nie miała się nad czym zastanawiać. Miała coś, co mogła spieniężyć, i prośba ojca nie miała w tej chwili żadnego znaczenia. Nie wierzyła do końca w jego słowa. Przecież mogła zrobić to na tyle dyskretnie, by nikt się nie dowiedział o jej małej tajemnicy.

Po południu z niecierpliwością czekała na Sterna, który jak na złość zniknął z domu na długie godziny. Kiedy wszedł, poprosiła go o rozmowę.

– Co się dzieje, Ann-Katrin? – zapytał.

– Latifa jest w amerykańskim szpitalu. W takiej prywatnej klinice, nieważne zresztą. Muszę cię prosić o pomoc.

– Nie mogę zapłacić za jej pobyt i nie dlatego, że nie chcę. Tak naprawdę kończy mi się forsa i to bardzo kończy, a moi mocodawcy się nie kwapią, by mi co nieco dołożyć – przepraszająco powiedział Stern.

– Wiem, ale mam coś, co muszę jak najszybciej spieniężyć. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego nie powinnam tego robić osobiście, ale ty na pewno masz odpowiednie kontakty.

– O ile wiem, znasz Hamida Farouka, a on upłynni nawet pałac sułtana – zadrwił.

– Chodzi właśnie o Farouka. On nie może wiedzieć, że coś takiego jest w moim posiadaniu.

– O, pani złodziejka. – Zaśmiał się i dodał: – Dobra, daj, co masz.

Podawała mu małe zawiniątko. Popatrzył na nią pytająco, a potem wyciągnął z muślinowej serwetki kamień o nieregularnych kształtach. Podszedł z nim do okna i zagwizdał.

– Masz tego więcej?

– Nie – powiedziała szybko. Może nawet zbyt szybko.

– Czarny diament...

– Błagam, sprzedaj go jak najszybciej. Oczywiście możesz wziąć za to prowizję, ale ja nie mogę się z nim pokazać u Hamida.

– Dlaczego? – zapytał, wciąż wpatrując się w kamień.

– Czy to ważne?

– Jeśli ukradłaś go Faroukowi, to dość ważne, może wezwać policję.

– Kamień jak kamień. – Wzruszyła ramionami. – Posłuchaj, nie ukradłam go nikomu. Jest mój i chcę go sprzedać. Jeśli mi odmówisz, poproszę kogoś innego.

– Pomógłbym ci, ale zrozum moje położenie...

– Myślę, że jeśli uchodzisz za człowieka, który robi w Kairze lukratywne interesy, i szastasz forszą tak samo jak twój poprzednik, takie coś nie powinno nikogo zdziwić. – Wydeła usta.

– Chodzi o to, że Eppler popełnił wielki błąd. Wiesz, takim, co kupuje pokątnie szampana i kawior za kolosalne kwoty, od razu wszyscy zaczynają się interesować. Jak widzisz, ja chodzę skromnie ubrany i odgrywam rolę statecznego naukowca. Nawet moje okulary są fałszywe. Podobnie jak wąsiki.

– W porządku... Zatem poproszę kogoś innego.

– Przecież twój wuj załatwi ci to od ręki. – Stern niczego nie rozumiał.

– Powiedziałam, że sobie poradzę – odparła i zerknęła na duży zegar stojący w rogu pokoju.

– Wybacz, moja droga...

– Zaraz muszę iść do pracy. – Ann-Katrin wzięła od niego kamień i schowała do kieszeni.

– To jest warte kupę forsy, uważaj na siebie – odparł Stern.

– Uwierz, będę – oświadczyła i w pośpiechu wyszła z domu.

Na występ było jeszcze zbyt wcześnie, ale umówiona była z Connorem w jego zacisznym mieszkanku usytuowanym w Starym Kairze. Nie miała głowy do amorów, ale po odmowie Sterna to Evansa musiała poprosić o przysługę. Jeśli i on by odmówił, zaryzykowałyby i poszła do Hamida albo Hermanna, ale słowa ojca, by nikomu nie ufała, bo może stracić życie, wciąż dudniły jej w głowie. Musiała jednak coś zrobić, ponieważ nie wybaczyłaby sobie, gdyby Latifie coś się stało.

Connor od razu zgodził się załatwić sprawę, a nazajutrz mogła już wpłacić pieniądze w klinice. Latifa leżała w metalowej tubie i uśmiechała się do niej. Miała spierzchnięte wargi i podkrążone oczy, ale lekarz pocieszył Ann-Katrin, że powinna z tego wyjść. Tłumaczył jej, jak działa żelazne płuco, ale i tak niewiele z tego zrozumiała.

Nie mogła trzymać Latify za rękę, ale od czasu do czasu głaskała ją po włosach.

– Masz ze mną same kłopoty – powiedziała dziewczynka.

– Nieprawda, bardzo cię kocham i dajesz mi mnóstwo radości. Nie wyobrażam już sobie życia bez twojego śmiechu, opowieści ze szkoły albo twojej jagnięciny z fasolą. – Miała ochotę się rozbeczeć, ale przy Latifie nie mogła tego zrobić. Dziewczynka na pewno od razu zaczęłaby się obwiniać.

– Czasami mówisz, że mogłabyś moim mięsem głowę komuś rozbić.

– To wina mięsa, a nie twoja, kochanie. – Uśmiechnęła się do niej, z trudem hamując łzy. Wydawało się jej, że Latifa bardzo cierpi w tym metalowym pudle.

– Masz rację, czasami zdarza się stary baran zamiast jagnięcia. Ty zawsze wążasz, a ja nie, bo jestem głupia.

– Przestań, lepiej powiedz, czy nic cię nie boli, kiedy jesteś w tej tubie.

– Jakbym w trumnie leżała. – Zachichotała, a potem zaczęła kasłać.

Pielęgniarka od razu wyrzuciła Ann-Katrin z pokoju.

Występ tego dnia nie poszedł jej najlepiej. Wciąż myślała o Latifie i bardziej niż kiedykolwiek irytowały ją męskie spojrzenia. Z ulgą zakończyła ostatni taniec i udała się do garderoby. Niestety, zastała w niej Williama Irvinga.

– O co chodzi? – zapytała zmęczonym głosem.

– Przyszedłem zapytać, czy nie zmieniłaś zdania. Mamy mało czasu, Ann-Katrin.

– Nie będę się narażać za kilka funtów – burknęła.

– Mógłbym porozmawiać z dowództwem, żeby dali ci więcej, ale Connor się upiera, że się do tego nie nadajesz.

Nie zamierzała mówić Irvingowi, dlaczego jego kumpel jest tak negatywnie nastawiony do jej udziału w tej sprawie.

– Może ma słuszność. – Wzruszyła ramionami.

– Nie masz chwilami poczucia rozdwojenia? Ojciec Niemiec, matka Brytyjka...

– Ale jestem Niemką. Nie czuję jednak zbyt wielkiego sentymentu do Rzeszy, wychowałam się tutaj i mam w nosie, kto wygra tę wojnę. Nie chcę tylko, żeby dotarła do Kairu.

– Jeśli nam nie pomożesz, tak się stanie. Naprawdę bardzo byś się przysłużyła pokojowi na świecie.

Nie miała ochoty dłużej z nim rozmawiać. Miała dużo większy kłopot, choć to mogło się wydawać dziwne. Ważyły się losy kampanii w Afryce Północnej, a ona myślała tylko o zdrowiu Latify.

Dziewczynka wyszła ze szpitala dwa tygodnie później. Wciąż była słaba, ale najważniejsze, że wyzdrowiała. Znowu mogły chodzić razem na bazar, wybierać najładniejsze owoce i wyklócać się z handlarzami mięsem o każdego piasra. Mogły sobie pozwolić na więcej niż zazwyczaj, ponieważ kwota za diament, choć z uwagi na pośpiech była mocno zaniżona, i tak wystarczyła na ich przyjemności.

Connor, gdy zaproponowała mu prowizję, wyśmiał ją.

– Nie wezmę od ciebie ani funta. I tak źle się czuję, że robiłem za pasera.

– Ty myślisz, że ja go komuś ukradłam? – Obruszyła się.

– Może dostałaś od kochanka? – Zmarszczył brwi.

– Dostałam go od ojca. Na czarną godzinę. Uznałam, że właśnie taka nadeszła. Mój tata zainwestował mnóstwo pieniędzy w roponośną działkę, a okazało się, że nic tam nie ma. Ten diament został mu jeszcze z Afryki Południowo-Zachodniej. Otrzymał go od mojego dziadka, który był jednym z pierwszych osadników. Dlatego taki kundelek ze mnie, bo moją babką była kobieta czarna jak smoła.

Zamordowali ją niemieccy żołnierze, więc sam rozumiesz, że nie darzę moich rodaków zbyt dużym sentymentem. Potrafią być okrutni.

– O tak, podobno bardzo paskudnie zachowują się w okupowanych krajach – westchnął.

– Nie chciałabym być jędzowata, ale twoi w Kraju Przylądkowym nie zachowywali się dużo lepiej. – Zachichotała.

– To prawda, ludzie bywają różni, bez względu na narodowość.

– Niekiedy mam wrażenie, że państwa wymyślono po to, by ludzie mieli powód, żeby się tłuc.

– Tu chodzi o władzę. – Roześmiał się i dodał: – Tak jak ja chciałbym mieć władzę nad tobą. Czasami miałbym ochotę wejść do twojej głowy i twojego serca. Wiedzieć, co czujesz, w każdej minucie życia i tak sterować twoimi uczuciami, żebyś kochała tylko mnie. Zawsze i do końca swoich dni.

Przytuliła się do niego.

– Nie musisz tego robić, jesteś i w moich myślach, i w moim sercu.

Nie powiedziała wtedy Connorowi całej prawdy, ale czy zatajenie czegoś można nazwać kłamstwem? Czy jeśli ktoś nie zwierza się ze wszystkiego, jest oszustem?

Bez względu jednak na to, jak się wówczas zachowała, i tak nie wpłynęła na bieg wydarzeń. Kiedy po jakimś czasie o tym myślała, stwierdziła, że dzień, w którym pokazała po raz pierwszy komuś obcemu diament z Namibu, był początkiem jej największych problemów. Uruchomił lawinę tragicznych zdarzeń i pokazał jej, że chciwość jest ważniejsza od jakichkolwiek wzniosłych uczuć. Jej ojciec powiedział kiedyś, że nie wszystko jest na sprzedaż. Ona się przekonała, że dla niektórych jak najbardziej.

Jakże jej brakowało Latify. Gdyby dziewczynka żyła, byłaby już piękną panną, a Ann-Katrin niczym matka dbałaby o to, by żaden niewłaściwy chłopak nie zawrócił jej w głowie. Dzisiaj tak właśnie myślała, ale czy na pewno zdołałaby ją ochronić przed niszczycielskim uczuciem, jeśli sama dała się na nie nabrać? Jedno było pewne – walczyli z ojcem o tę dziewczynkę. Chcieli jej wynagrodzić kilka lat ponurego życia i dali jej to, czego najbardziej jej brakowało. Miłość i szacunek.

Pamiętała, gdy Latifa potrafiła się zsiusiać ze strachu, ponieważ zdarzyło się jej coś spsoić. Potłukła szklankę i przeżywała to tak, jakby popełniła zbrodnię. Później, gdy była nieco starsza, powiedziała jej, że ciotka tłukła ją za dużo mniejsze przewinienia, a przeważnie dziewczynka obrywała tylko za to, że wujek przyniósł do domu za mało piastrów. Nieraz sypiała na śmietniku albo w jakimś ponurym zakamarku, bo ciotka notorycznie wyrzucała ją z domu.

Kiedy przyjechali do opiekunów dziecka, kobieta z ulgą pozbyła się bratanicy. Rodzina Latify, Nubijczycy z Sudanu, mieszkała na slumsowym osiedlu, w niewydarzonym domu zbitym z odpadowych płyt paździerzowych. Wujostwo miało także pięcioro własnego potomstwa, którego szczerze nienawidzili. Lokum składało się z trzech izb i gdy cała rodzina się w nim znalazła, nie było się jak ruszyć. Kiedy Adio Schneider wręczył im dziesięć funtów, gotowi byli oddać mu wszystkie swoje dzieci. A teraz Ann-Katrin oddałaby wszystko, żeby Latifa wciąż żyła.

*Berlin, 1947*

Connor Evans miał słuszną rację. Komisarz Weber osobiście przejrzał setki dokumentów i notatek i nigdzie nie wypłynęły nazwiska Kleina i Schachta. Owszem, materiał był bardzo interesujący, zwłaszcza w kontekście Erwina Rommla. Uwielbiany przez Hitlera, wynoszony na sztandary feldmarszałek pewnego dnia postanowił pozbyć się raz na zawsze nieco już oderwanego od rzeczywistości przywódcy. Zachowanie tego w tajemnicy i pogrzeb feldmarszałka z honorami mogły mieć dwie przyczyny – Führer postanowił go docenić za dotychczasowe zasługi albo wstydził się pokazać światu, że najwierniejszy z jego żołnierzy postanowił się go pozbyć, a siebie mianować nowym prezydentem. Być może dla losów Rzeszy tak byłoby lepiej, bo nie było sensu prowadzić wyczerpującej wojny, której wynik był już przesądzony. Hitlera musiało wspierać samo piekło, jeśli po kilku zamachach na jego życie wciąż miał się dobrze.

Dla innych oficerów nie był taki łaskawy. Właściwie chyba żaden spiskowiec nie przeżył brutalnych przesłuchań, a i tak kończył pod ścianą albo pod toporem. Jedynie Rommlowi Hitler dał szansę wyjścia ze sprawy z twarzą. Wysłał swoich ludzi, którzy złożyli feldmarszałkowi propozycję, z której musiał skorzystać. Miał popełnić samobójstwo. Nawet przywieźli mu cyjanek, na wypadek gdy nie miał odwagi rozbić się autem albo skoczyć z urwiska.

Erik wciąż wgapił się w fotografię i wreszcie doszedł do wniosku, że poszedł złą ścieżką i stracił mnóstwo czasu, czytając o zamachach na Hitlera. Feldmarszałek był kimś ważnym i każdy pragnął mieć z nim zdjęcie. Tak jak z ulubionym aktorem. Może Rommel przyjechał na jakąś wizytację, a Klein, Schacht i ten trzeci po prostu skorzystali z okazji i zrobili sobie z nim zdjęcie. Może siostra Rudolfa, Ingrid, nie miała pełnej wiedzy i jej brat wraz z Alfredem

wcale nie byli zaufanymi ludźmi Rommla. Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Odnosił wrażenie, że układa puzzle i ciągle ma jeden wielki bałagan na stole.

Zadzwoił do Connora i zapytał:

– Wiesz już coś o tej całej Ann-Katrin Schneider? Miałeś rację, gównem znalazłem.

– Ja na razie przeglądam utajnione dokumenty, ale, powiem szczerze, nie widzę związku z tymi morderstwami – oznajmił Evans. Jakby nie słyszał pytania.

– Pytam o tę kobietę – powiedział z naciskiem.

– Nadal cisza, a pełne akta jej sprawy zniknęły. To koniec, Eriku, nic więcej nie działałam.

– Jak myślisz, Connor, a jeśli była na przykład podwójnym agentem, może moja teoria nie jest taka głupia? Może ona też brała udział w spisku i za chwilę znajdę ją martwą z trzema kulami w sercu. Zaczynam podejrzewać, że to miał być jakiś znak... jakiś symbol.

– Nie wiem, co mógłbym ci powiedzieć. – Connor chyba znowu był bardzo zajęty, bo nawet nie snuł teorii spiskowych, co bardzo lubił.

– Mam czekać na jej trupa? – jęknął Weber.

– Być może – bąknął Evans.

– A jeśli to ona była na miejscu zbrodni? Słuchaj, załatw mi chociaż jej zdjęcie. Jeśli jest blondynką, będę pewny, że to nie ona była u Kleina. Wtedy moja teoria o zemście fanatyków na osobach zamieszanych w zamachy będzie miała jakikolwiek sens.

– A może jednak weźmiesz pod uwagę podział łupów? To jest dużo bardziej prawdopodobne. A Klein mógł szukać tej Schneider, bo miał z nią romans. Wiesz, jakaś stara miłość z Kairu.

– Może masz rację – westchnął Weber i odłożył słuchawkę.

Przetarł zmęczone oczy i zamyślił się. To była jego pierwsza sprawa w nowym Berlinie i od razu ją położył.

Nie zdążył popaść w przygnębienie z tego powodu, gdyż otrzymał wiadomość o kolejnym trupie. Starszy mężczyzna został zaatakowany nożem w ruchliwej części miasta, przy dworcu w Charlottenburgu, a może raczej przy tym, co z niego zostało. Na razie zbudowano w tym miejscu prowizoryczny barak.

Jadąc na miejsce wysłużonym rowerem, był przekonany, że doszło do napadu rabunkowego. Może ktoś chciał podwędzić ofierze portfel albo torbę podróżną, ta zaczęła się szamotać i coś poszło nie tak.

Już z oddali zobaczył tłumek ludzi zgromadzony wokół starszego mężczyzny. Leżał na chodniku w jasnej koszuli przesiąkniętej krwią. Obok stał policjant i kilka osób. Erik podszedł bliżej i zapytał:

– Czy wezwano ambulans?

– On nie żyje, panie komisarzu. – Policjant od razu go rozpoznał. – Ta pani w niebieskiej sukience jest lekarzem. Razem z tym człowiekiem w jasnym garniturze próbowali pomóc rannemu, ale było już za późno. Umarł na ich rękach.

Weber spojrział na człowieka w jasnym garniturze, ponieważ cały był poplamiony krwią. Pomyślał, że mężczyzna wyglądał wyjątkowo elegancko i czysto, choć teraz przypominał również pracownika miejskiej rzeźni. Jako że ostatnio wręcz obsesyjnie myślał o ładnie ubranym mężczyźnie, kręcącym się w pobliżu poprzedniego miejsca zbrodni, od razu zwrócił na niego uwagę. Jednak gdy przeniósł wzrok na włosy, jego irracjonalna nadzieja umarła. Ów człowiek był jasnym blondynem. Klasyczny nordycki typ, gdy tymczasem dzieciak widział człowieka o ciemnych włosach.

Po chwili podszedł do nich kolejny mężczyzna, niosąc zakrwawiony nóż. Sztylet był nietypowy, ponieważ miał krótkie zakrzywione ostrze i ozdobną rękojeść w egzotyczne wzory. Weber wyciągnął z kieszeni papierową torebkę i nakazał, by stójkowy wrzucił do środka przedmiot. Teraz musiał jak najszybciej spisać dane świadków, a potem zaprosić ich na przesłuchanie. Było ich sporo, ponieważ prawie zawsze w tej okolicy kręciło się mnóstwo ludzi. Najważniejsza była jednak kobieta w niebieskiej sukience i mężczyzna w poplamionym garniturze. Poprosił, by niezwłocznie udali się z nim na komendę policji przy Friesenstraße w dzielnicy Kreuzberg.

– Czy ja bym mógł najpierw pojechać do mojej narzeczonej i się przebrać? – zapytał mężczyzna. – Przyjechałem tu do niej...

Weber nie zamierzał wypuścić z rąk takiego świadka. Gdyby ten postanowił zignorować konieczność przesłuchania, Erik zapewne już by go nie znalazł. Piwnice Berlina kryły nie tylko rodziny, ale także różnej maści przestępców,

również wojennych, którzy się wzajemnie wspierali. Gdyby mężczyzna chciał zniknąć, zrobiłby to bez trudu.

– Ja jednak poproszę, żeby udał się pan ze mną. Obiecuję, że gdy przesłuchanie dobiegnie końca, odwieziemy pana do narzeczonej.

– A teraz weźmie mnie pan na ramię? – zadrwił mężczyzna.

– Nie, poprosimy żołnierzy z patrolu, żeby was podwieźli. – Weber nie ustępował. Jego głos był tak monotony, jakby kompletnie nie zważał na docinki.

Z uwagi na poplamiony ubiór chciał go wziąć na przesłuchanie pierwszego, ale mężczyzna zapytał:

– Czy mogę chociaż gdzieś umyć ręce?

– Dobrze, tylko pobierzemy próbki krwi do badań serologicznych – skłamał.

Mężczyzna nieco się zdziwił, ale nie oponował. Tymczasem Weber podszedł do Johanna i szepnął:

– Spróbuj ściągnąć od tego faceta odciski palców, może na coś się przydadzą.

– Myślisz, że to sprawca, który po napaści postanowił poczekać na policję? – prychnął.

– Po prostu szukam po omacku. Wiem, że w Berlinie wciąż mamy trupów pod dostatkiem, ale muszę coś zrobić. Chociaż próbować odnaleźć sprawcę.

– Coś wymyślę, dam mu coś do potrzymania – odparł Johann i zaprosił parkę do pomieszczenia, w którym mogli umyć ręce.

Nie miał pojęcia, jak go zagadał Johann, ale gdy świadek wracał na przesłuchanie, jego kumpel skinął głową na znak, że się udało.

Kobieta nie wydała mu się w najmniejszym stopniu podejrzana. Może dlatego, że jakoś nie potrafił sobie wyobrazić statecznej pani biegającej z egzotycznym sztyletem w dłoni.

– Wychodziłam ze stacji i nagle usłyszałam krzyki. Jakiś starszy mężczyzna osunął się na trotuar, sądziłam, że zemdlał, bo to przecież ludzie jedzą tyle, żeby nie umrzeć z głodu. Nie wiem skąd, ale nagle zobaczyłam podbiegającego policjanta. Dmuchnął w gwizdek i dosłownie po minucie zjawił się brytyjski patrol. Ten pan w białym garniturze pochylał się nad zranionym mężczyzną i pokazał ręką, że sprawca pobiegł Berlinerstaße. Ktoś inny krzyknął, chyba kobieta, że widział napastnika. Podobno miał na sobie szary prochowiec. Zrobiło się

zamieszanie, ale ja już nie patrzyłam na to, co się dzieje, ponieważ sądziłam, że będę mogła pomóc temu nieszczęśnikowi.

Zerknął w dokumenty. Kobieta nazywała się Gretchen Lindberg i pracowała w Szpitalu Świętej Gertrudy w Wilmersdorfie, prowadzonym przez siostry katarzynki. W akcie desperacji zapytał, czy nie zna przypadkiem doktora Kleina z Charité, ale to nazwisko nic kobiecie nie mówiło.

Erik Weber zdawał sobie sprawę, że wykrywalność przestępstw w Berlinie była znikoma. Dotyczyło to także zabójstw, ale on wciąż wracał do tej pierwszej sprawy, której nie udało mu się zakończyć powodzeniem. Jacob już mu zapowiedział, że za tydzień, dwa śledztwo zostanie zamknięte. Jedyne, co mogłoby spowodować zmianę decyzji, to jakiś konkretny podejrzany, ewentualnie kolejna ofiara, która w jakiś sposób byłaby powiązana z poprzednimi. Staruszka z okolic dworca w Charlottenburgu żadną miarą nie można było zaliczyć do ofiar sprawcy poprzednich zbrodni. To była zupełnie inna bajka.

Mężczyzna w poplamionym krwią garniturze nie przejawiał żadnych oznak zdenerwowania, tak jak to miało miejsce w przypadku pani Lindberg. Był wysoki i wyglądał na naukowca. Miał wypielegnowane wąsiki i ładnie przystrzyżoną brodę, na nosie zaś okulary w złotych oprawkach. Prawdziwy przedwojenny typ. Weber odnosił wrażenie, że gdzieś już widział tę twarz, i dopiero po kilku minutach rozmowy zdał sobie sprawę, iż mężczyzna bardzo mu przypomina pewnego przedwojennego aktora z wytwórni UFA.

Nie zdążył zadać żadnego pytania świadkowi, ponieważ Johann poprosił go na stronę.

– Postuchaj, przejrzeliśmy dokumenty tego zamordowanego. To Niemiec, Albrecht Neumann, ale mieszka w Antwerpii. Nic więcej na razie o nim nie wiemy.

– Cholera, jeśli powiem Jacobowi, że muszę jechać do Belgii, wyśmieje mnie. Proszę, idź do Egera, niech od razu skontaktuje się z belgijską policją. I tak nic nie zrobimy, jeśli nie będą nam towarzyszyli na każdym kroku.

– I tak nie pozwoli ci jechać, uzna to za zwykły napad rabunkowy – westchnął Johann.

– Więc niech chociaż sprawdzą, kim był pan Neumann. W końcu to niemiecki obywatel, więc chyba władze okupacyjne mogą mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Pogadam z nim, ale wiesz, jaki on jest... – westchnął Johann i niczym skazaniec odszedł w stronę pokoju Egera.

Elegancki mężczyzna podał Weberowi swoje dokumenty.

– Nazywam się Siegfried Dreger, zamieszkały w Monachium przy Residenzstraße pięć, lokal dwanaście. Dałem panu również moje zaświadczenie z izby denazyfikacyjnej.

– Gdzie pan walczył w czasie wojny?

– A jakie to ma znaczenie? – prychnął. – Byłem szeregowym żołnierzem Wehrmachtu. W Dwieście Sześćdziesiątej Piątej Dywizji Piechoty...

– Siódma Armia?

– Owszem, ale naprawdę nie wiem, dlaczego pan mnie o to pyta. Jakby pan nie był Niemcem. – Dreger wykrzywił usta w grymasie.

– Proszę zatem opowiedzieć wszystko po kolei. Mam, oczywiście, na myśli dzisiejsze zdarzenie, a nie pana walkę w czasie wojny.

Właściwie powtórzył dokładnie to samo, co kobieta. I również wspomniał o mężczyźnie w szarym prochowcu.

– Ktoś za nim pobiegł? – dopytywał.

– Tak, chyba jakichś dwóch mężczyzn, ale tamten był dużo młodszy, poza tym wmieszał się w tłum, więc zrezygnowali z pościgu.

– A widział pan, jak wyrzucał nóż?

– Niestety, zobaczyłem jedynie, że leży jakieś dwa, trzy metry ode mnie. Jednak skupiłem się na rannym, sądziłem, że przeżył, ale ta kobieta, która tu ze mną przyjechała, znaczy do komendy, stwierdziła zgon. To chyba tak się mówi w waszym żargonie?

– W rzeczy samej. A czym się pan zajmuje, panie Dreger?

– Przed wojną byłem nauczycielem, ale nie wróciłem do zawodu. Trochę popracuję w jednym miejscu, trochę w drugim.

– A ostatnio?

– Ostatnio rozwoziłem chleb. Oczywiście w Monachium.

– Pana narzeczona?

– Właściwie jeszcze nie jest moją narzeczoną, ale liczę, że do jutra nią zostanie.

– Dreger się uśmiechnął, ale zaraz spochmurniał. – Będę musiał najpierw

wyczyścić ubranie. Jeśli oświadczy się jej mężczyzna, który wygląda jak rzeźnik, z pewnością odmówi.

– Poproszę o jej dane – dodał Weber, wciąż czujnie przyglądając się mężczyźnie.

– Ale jej nie było na miejscu tego wypadku.

– Proszę pana, pytam na wypadek, gdyby był pan jeszcze potrzebny.

– Ilse Rott, mieszka obecnie w piwnicy przy Kurfürstenstraße. Kiedyś to było trzydzieści, ale niech mnie pan zabije, nie wiem, jaki ma numer teraz i czy w ogóle jakiś ma. O mieszkaniu nie wspomnę. – Mężczyzna mówił szybko, jakby wygłaszał wyuczoną formułkę.

– Długo pan zamierza zostać w Berlinie?

– Kilka dni. Myślę, że trzy wystarczą, aby Ilse zgodziła się za mnie wyjść.

Weber popatrzył raz jeszcze na poplamiony garnitur, a potem zsunął wzrok na eleganckie buty.

– Szkoda tego pięknego ubrania.

– Pewnie, długo grzebałem w kontenerach z UNRRA, żeby go znaleźć. I oczywiście pantofle.

– Wyjątkowo dobrze na panu leży – zauważył Weber. Aż nie mógł uwierzyć, że można było znaleźć w darach z Ameryki tak idealnie skrojony garnitur.

– Jest trochę za lekki, ale cóż... No i buty mam o numer za duże i muszę wypychać czubek kawałkiem gazety.

– Gorzej, gdyby były za ciasne – oznajmił Erik i chociaż mężczyzna miał w sobie coś, co nie podobało się komisarzowi, pozwolił mu odejść.

Dreger się pożegnał, wziął niewielką, mocno zniszczoną walizkę i oznajmił, że nikt nie musi go podwozić i sam trafi. Jeśli zdejmie marynarkę, nikt nie zwróci uwagi na kilka plam na spodniach. Weber się nie upierał i tak miałby problem, żeby podwieźć tego mężczyznę na Kurfürstenstraße. Musiałby chyba znaleźć jakiś zmotoryzowany patrol. Zapewne żołnierze znowu by sarkali, że służą policji jako taksówki.



Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia, 1910

Odkrycie diamentów w okolicach Lüderitz wywołało prawdziwą gorączkę złota, chociaż w tym przypadku chodziło o drogocenne kamienie. W miejscu wydobywania powstało zupełnie nowe miasto, Kolmanskuppe. Tętniące życiem, pełne barów, kręgielni i lokali, w których prezentowano spektakle wodewilowe. Również Lüderitz rozwijało się prężniej, a to za sprawą pieniędzy zostawianych przez szybko bogacących się osadników. Byli tacy, którzy dorabiali się majątku w mgnieniu oka i równie szybko go tracili w luksusowych burdelach i kasynach. Zapewne wynikało to z faktu, że w tym rejonie mieszkali głównie samotni mężczyźni, a wiadomo, iż nikt tak nie pilnuje pieniędzy jak żony.

Towarzystwa kolonialne w Rzeszy grzmiały, że w Afryce Południowo-Zachodniej potrzebne są kobiety. Martwiono się, że pracujący i dobrze zarabiający mężczyźni nie mieli z kim zakładać rodzin. Nie chodziło jedynie o wizerunek, ale także o niepokój włodarzy związany z mieszaniem się ras. Gubernator grzmiął i wprowadzał obostrzenia dotyczące związków białych Niemców z czarnoskórymi kobietami. Każde mieszane dziecko umieszczano w specjalnym rejestrze i unieważniono kilkanaście małżeństw. Nie dotyczyło to już Josepha Schneidera, a jego syna, na szczęście, nikt się nie czepiał. Był za duży. Nie groziło mu także trwonienie majątku na ruletkę i dziwki, ponieważ Ilse nigdy by na to nie pozwoliła. Przenieśli się wraz z Dagenhardtami do Kolmanskuppe i wybudowali tam szykowną, nieco ekstrawagancką i bardzo obszerną willę. Jej urządzeniem zajęła się Ilse i z każdym miesiącem robiła się coraz bardziej wyniosła i dumna. Ich majątek się powiększał, co dla żony Josepha było wystarczającym powodem, by nosić wysoko głowę i obracać się w najlepszym towarzystwie. Jedyne, czego nie mogła znieść, to Adio, który nie miał, co prawda, tak ciemnej skóry jak jego matka,

Kunene, ale na pierwszy rzut oka było widać, że jedno z jego rodziców nie było czyste rasowo.

Ich dom w Kolmanskuppe miał przestronne wnętrza z widoczną drewnianą konstrukcją z dzielonymi oknami, zajmującymi niekiedy całą ścianę. Wpadające przezeń światło nieco rozjaśniało pomieszczenia wypełnione ciężkimi meblami z litego drewna, najczęściej ze sprowadzanego z innych kolonii hebanu. Intarsjowane afzelią albo iroko, sprawiały wrażenie solidnych i bardzo drogich, jednak Josepha było stać na takie luksusy. Ilse sprowadziła także kolorowe, wzorzyste dywany z Arabii, podobnie zresztą jak materiały, którymi wytapicerowano fotele i otomany. W oknach zawisły lniane zasłony, w jednych pomieszczeniach białe, w innych farbowane na dość żywe kolory.

Budynek miał liczne werandy z rattanowymi huśtawkami, stolikami kawowymi i wygodnymi siedziskami. Ilse nawet zorganizowała ogród, mimo że klimat temu nie sprzyjał, ale mogli sobie pozwolić i na osobistego ogrodnika, i na system nawodnienia, dzięki czemu wokół ich domu rosły nie tylko palmy, ale także dorodne i kolorowe oleandry. Mała sadzawka z gipsową fontanną wzbudzała zazdrość i zachwyty sąsiadów, ponieważ w tak suchym miejscu wydawała się czymś wręcz absurdalnym.

W czasie gdy Adio chodził do szkoły, a Joseph zajmował się swoją diamentową działką, Ilse przyjmowała damy z towarzystwa albo wybierała coraz to nowe bibeloty, które z różnych stron świata przybywały statkami do Lüderitz.

Joseph i Hermann zapewne nie zostaliby tak bajecznie bogaci, gdyby nie wykorzystywali niewolniczej pracy tubylców. Również służba w ich domu była czarna i teraz Ilse mogła się na nich wyżywać, zamiast gnębić Adio.

Któregoś dnia na działkę przyszedł Hermann i oznajmił:

– Płyniemy na Shark Island. Wszystko załatwiłem z dowództwem armii.

Joseph wiedział, że na Shark Island znajduje się obóz koncentracyjny dla ludzi z plemion Hererów i Nama. Hermann wpadł na pomysł, by to właśnie stamtąd pozyskać pracowników do wydobywania diamentów.

Od dawna wyspa cieszyła się złą sławą, ale Joseph nie przewidział tego, co tam zobaczy. Kolejny raz pomyślał, że gdyby Kunene żyła, nigdy by mu nie pozwoliła

wykorzystywać swoich pobratymców do tak ciężkich prac. Hermann nie miał takich oporów, zwłaszcza że śmiertelność tych wycieńczonych ludzi była bardzo duża. Gdy nadchodziły silne wiatry, spod piasku wystawały ludzkie zwłoki. Taki widok już nikogo nie dziwił.

Dopłynęli na wyspę i kiedy zaczęli się po niej przechadzać, by wybrać tych więźniów, którzy jeszcze mogą się nadawać do pracy, Joseph przeraził się tym, co ujrzał. Chaty, sklecone z koców i szmat, wyglądały jak kupki śmieci. Gdzieniegdzie można było dostrzec pokryte blachą falistą baraki, w których mieszkali strażnicy. Na ich dachach dumnie powiewały flagi Cesarstwa Niemieckiego.

Mijał dzieci z wzdętymi brzuchami i błędnym spojrzeniem, słyszał paskudny rechot strażników, którzy wyrażali *Schadenfreude*, czyli radość z nieszczęścia innych, i niemal nagie kobiety. Hermann wyciągnął z torby aparat fotograficzny i zaczął robić im zdjęcia.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał zniesmaczony.

– Wyślę kumplom jako kartkę. Żołnierze robią sobie fotki, gdy dogadzają sobie z tymi małpkami, a ja tylko fotografuję ich piersi i cipki.

– To obrzydliwe – mruknął Joseph.

– Daj spokój, sam dogadzałeś sobie z czarnuchą. – Dagenhardt machnął ręką.

– Kunene była moją żoną. Dzisiaj zapewne unieważniono by nasze małżeństwo, ale byłem z nią szczęśliwszy niż z dostojną i wykształconą Ilse. Mierzi mnie robienie zdjęć tym nagim kobietom, tak jak fotografowanie masowych egzekucji i robienie z tego wystaw.

– Nie przywiązuję do tego wagi. Niejednemu wykopywałem spod nóg skrzynię, by zawisł na szubienicy. Czasami byłem miłosierny i ciągnąłem takiego za nogi, żeby szybciej zdechł. Zrozum, oni są jak zwierzęta. Równie dobrze mógłbym polować na lwy czy antylopy, tylko na tych tutaj szkoda cennych naboju.

Nie mógł słuchać Hermanna. Jednak postanowił, że jeśli znajdzie tu ludzi nadających się do pracy, przynajmniej uratuje kilka istnień. Jego przyjaciel śmiał się z niego, że za dużo płaci swoim ludziom i w dodatku karmi ich na tyle dobrze, jakby byli biali. Jednak Schneider nie zdołał dostrzec żadnego mężczyzny, który byłby zdatny do jakiegokolwiek pracy. Hermann uznał, że może ich stamtąd wywieźć nawet setkę, więc ma w nosie, ile jeszcze pożyją.

W drodze do budki komendanta obozu, posadowionej tuż przy bramie, spotkał Dawida Huckmanna, misjonarza w Windhuku. Mężczyzna miał bardzo zboląłą minę, co wcale nie zdziwiło Josepha. Każdy, kto miał w sobie odrobinę wrażliwości, musiał być wstrząśnięty takim widokiem.

– Josephie, ty teraz jesteś zamożny i nawet gubernator cię poważa. Przecież to się nie godzi... To powolne umieranie. Panuje tu przeraźliwe zimno albo spiekota. Oni głodują. Gdy pojawi się kawałek mięsa z wołu, który zdechł z powodu zarazy, ci ludzie walczą o ten ochłap jak dzikie zwierzęta. Wokół wyspy nie ma już ani ostryg, ani jeżowców czy skałoczepów. Nawet wodorosty zostały wyjedzone. Zrób coś, na Boga – błagał Dawid.

Hermann, oczywiście, zignorował utyskiwania misjonarza, ale Joseph czuł, że powinien coś zrobić, aby zlikwidowano to miejsce kaźni. Podobno każdego dnia umierało tu w okrutnych cierpieniach około dwudziestu osób, co było jeszcze bardziej nieludzkie aniżeli masowe egzekucje.

Z Shark Islands przywieźli do pracy na swoich działkach dwudziestu mężczyzn. Nie zmieniło to jednak faktu, że Joseph w tajemnicy przed żoną i Hermannem wysłał kilkanaście listów, zarówno do władz kolonii, jak i do Rzeszy. Wszystkie pozostały bez odpowiedzi i dopiero gdy jeden z nich trafił do gazety „Königsberger Volkszeitung”, rozpoczęła się jakaś dyskusja na ten temat, ponieważ kanclerz bardzo dbał o reputację, a historię Shark Islands podchwyciła również brytyjska prasa. O poczynaniach Niemców nagle zrobiło się głośno i wkrótce obóz zlikwidowano. Chociaż tyle Joseph zdołał zdziałać i był z tego bardzo dumny.

Działka Schneidera miała niezliczone pokłady diamentów, które sprzedawał tylko jednemu odbiorcy. Był nim pewien szlifierz z Bremy, którego poznał, gdy jeszcze mieszkał w Rzeszy. Wkrótce mężczyzna przeniósł się do Antwerpii, nazywanej niekiedy stolicą diamentów, i regularnie odwiedzał Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią. Nazywał się Albrecht Neumann.

– Powiem ci w tajemnicy, przyjacielu, że twojemu ziomkowi chyba nie idzie tak dobrze jak tobie.

– Ależ skąd, idzie mu lepiej niż mnie, tylko on woli handlować także z innymi kupcami, a nie tylko z tobą. Widzisz, jaki jestem lojalny. – Joseph się roześmiał

i podał mu kolejny płócienny worek z wyszytym monogramem Schneiderów.

Mężczyzna wysypał na drewniany stół kamienie, wyciągnął lupę i wnikliwie się im przyglądał. Potem zaś kładł na wagę i ołówkiem zapisywał w notesie ich gramaturę. Płacił Schneiderowi uczciwie i obaj na tym nieźle zarabiali.

Joseph się obawiał, że pewnego dnia źródło jego dochodów się wyczerpie, dlatego część najlepszych okazów odkładał w pancерnej szafie. Nie chciał wszystkiego spieniężać, ponieważ dla jego małżonki nie istniała taka kwota, której nie byłaby w stanie wydać. Uwielbiała to robić do tego stopnia, że zapominała o małżeńskich obowiązkach. Wieczorami narzekała na ból głowy, ale ten mijał nazajutrz, jak ręką odjął.

Wstawał dość wcześnie, gdy jeszcze domownicy spali, i jadł przygotowane przez czarne służące śniadanie. Jedna z nich miała niespełna szesnaście lat i przypominała mu Kunene.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Rabe, proszę pana.

– Posłuchaj, Rabe, dzisiaj wieczorem zabiorę cię na przejażdżkę.

– Tak, proszę pana. A co mam mówić pani Ilse?

– Nic nie mów, ja jej powiem, że musisz posprzątać w moim biurze – odparł, a potem zabrał się do pałaszowania śniadania.

*Berlin, 1947*

Lucas Dagenhardt przyjechał do jej redakcji bez uprzedzenia, ale nie zdziwiło to Ann-Katrin. Niekiedy łatwiej było kogoś odwiedzić, niż znaleźć czynny telefon, zwłaszcza gdy dysponowało się motocyklem.

Dziewczyny z redakcji łypały na Lucasa, ponieważ wyglądał zdecydowanie lepiej niż większość obszarpańców mieszkających w Berlinie. Poza tym należał do mężczyzn bardzo przystojnych, co z pewnością potęgowało zainteresowanie jej znajomych.

– Kiedyś zaprosiłbym cię na elegancką kolację albo do jakiegoś pięknego parku, ale tutaj doprawdy nie wiem, gdzie moglibyśmy pójść – powiedział z żalem w głosie.

– Funkcjonują w końcu jakieś knajpy. – Roześmiała się i dodała: – Wystarczy, że napijemy się herbaty.

– A ty gdzie mieszkasz?

– Tam gdzie mnóstwo innych ludzi. W piwnicy. Mamy nawet wspólną kuchnię i toaletę. To i tak lepiej niż załatwianie swoich potrzeb w rumowisku.

– To straszne, co oni zrobili z tym miastem – westchnął.

Nie podzielała jego zdania. W czasie wojny Niemcy zniszczyli wiele miast i unicestwili miliony ludzi w komorach gazowych. Naród musiał za to odpowiedzieć, ponieważ przez wiele lat tolerował autorytarne rządy w Trzeciej Rzeszy.

– Wiesz, wszystko ma swoją cenę – mruknęła.

– Nigdy nie czułaś się Niemką, prawda?

– Nie zastanawiałam się nad tym, czy wolę być Niemką czy Brytyjką. Należałam do Arabii. Kair to było moje miejsce na ziemi. Niestety, musiałam go opuścić, ponieważ postanowiłam pomóc rodakowi, który okazał się szpiegiem – skłamała.

Nie zamierzała wyjaśniać ze szczegółami, co się wydarzyło. Dagenhardtowie wiedzieli tyle, ile musieli.

– Muszę ci powiedzieć, że ja też tęsknię za Kairem. – Uśmiechnął się do niej, a potem, nachyliwszy się w jej stronę, szepnął: – Nienawidzę tego miejsca.

– Mieszkasz w pięknym domu i u was nie jest jeszcze tak tragicznie. Ty miałeś wybór, mogłeś zostać. Ja nie za bardzo.

– Nie myślałaś, żeby czmychnąć do Ameryki? Jednej albo drugiej.

– Nie. Może coś tu się zmieni. Nie można ludzi karać bez końca. – Ann-Katrin znowu nie powiedziała prawdy.

Jej dokumenty były dobre, ale nie doskonałe. Poza tym miała nadzieję, że gdy pewnego dnia Europa powróci do względnej równowagi, wyjaśni sprawę, która z wielu powodów była dla niej ważna. Nie zamierzała rozstrzygać pewnych kwestii z Connorem. Bała się, że mu uwierzy. Bo taki był Evans – potrafił budzić zaufanie. Była jednak przekonana, że inna osoba, William Irving, rozwieje wszelkie wątpliwości i jeśli udowodni mu, że wraz ze swoim przyjacielem Evansem ją ograbili, zrobi wszystko, żeby zapłacili jej za to.

– Zaprosisz mnie kiedyś do siebie i pokażesz, jak mieszkasz? – zapytał.

– Nie żartuj, mieszkam pod ziemią jak kret, a nie w willi w stylu kolonialnym. – Roześmiała się.

– Ale łóżko masz?

– Przestań, Lucas. Możemy się spotykać, w końcu będę mogła z kimś pogadać o moim ukochanym mieście, ale nic więcej z tego nie wyjdzie. – Przestała się uśmiechać, ponieważ nie życzyła sobie, by Lucas Dagenhardt robił sobie jakiegokolwiek nadzieje.

– Nie widzisz, że się droczę?

– No właśnie nie widzę. – Jej twarz wciąż była zachmurzona.

– Wiem, oświadczyły po dużej dawce alkoholu to nie był najlepszy pomysł. A do tego ten cudowny haszysz... Człowiek odpływał do zupełnie innego świata.

– Ale ileż można żyć w iluzji? – zapytała.

Sama nie lubiła się upijać ani też nie stosowała innych używek, ponieważ obawiała się stracić nad sobą kontrolę. Wystarczyło jej, że pewnego dnia odurzyło ją uczucie do Connora i kompletnie straciła czujność. Tym bardziej że Evans przyjaźnił się z Irvingiem, którego uważała za diabła wcielonego. Dlaczego więc jego najlepszy kumpel miałby być inny?

– Masz słuszość, i ja się zmieniłem.

– Pewnie, skąd byś wytrzasnął haszysz.

– Oj, myślę, że za odpowiednią kwotę mógłbym mieć go bardzo dużo. Nawet jeśli to miasto jest zrównane z ziemią, pod spodem wszystko jest możliwe i wszystko jest do kupienia. To kwestia ceny i dyskrecji. A mówię ci o tym, bo gdybym był taki jak kiedyś, robiłbym to samo co w Kairze, tylko pewnie w znacznie gorszych warunkach i dziwki nosiłyby brzydsze kiecki.

– A może po prostu dorosłeś. Nie tak dawno skończyłeś przecież trzydziestkę.

– Słusznie rozumujesz. – Roześmiał się, a po chwili spoważniał. – A miałabyś ochotę poznać dorosłego Lucasa?

– Właśnie poznaję – odparła.

– Więc nie skreślasz mnie ze swojego kajeciku na zawsze? – zapytał żałośnie.

– Jakiego kajeciku? – Ann-Katrin rozbawiły jego słowa.

– Kochana, lista była długa. Stern, Winter, Amir Hamid, Evans...

Na dźwięk ostatniego nazwiska poczuła ukłucie. Ale nie tylko dlatego, że działa się tak zawsze, gdy słyszała jego imię albo nazwisko. W jej głowie nagle zapaliła się czerwona lampka. Skąd, u licha, Lucas wiedział o Connorze Evansie? Z uwagi na Sterna musieli być dyskretni. Chyba nawet Irving o nich nie wiedział. Gdyby tak nie było, William nie przystawiałby się do niej, nie wspominając o tym, że pewnej nocy o mały włos nie wziąłby jej siłą. A może pan Irving wcale nie był takim dobrym kompanem Connora? Nigdy jej to nie przyszło do głowy, a chyba powinno. Jeśli więc był farbowanym lisem, mógł okpić swojego przyjaciela i dlatego ten teraz, zamiast mieszkać w luksusowym apartamencie w Londynie, siedział w tym grobowcu.

– Jaki Evans? – Postanowiła udawać głupią.

– Kapitan Evans. W każdym razie w czterdziestym czwartym był jeszcze kapitanem.

– Nie mogę sobie przypomnieć nikogo takiego – prychnęła. – A chociaż przystojny?

– Naprawdę go nie znasz?

– Nic mi nie mówi to nazwisko. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie gdybym go zobaczyła, okazałoby się, że kilka razy z nim rozmawiałam, ale widocznie nie było w nim niczego frapującego, jeśli nie zapamiętałam, jak się nazywa.

– Widocznie ktoś rozpuścił wredne plotki...

Nagle coś wpadło jej do głowy.

– Słuchaj, Lucas, a znałeś może Williama Irvinga? – Gdy zadała pytanie, uważnie zaczęła się przyglądać Dagenhardtowi.

To była dosłownie sekunda, gdy Lucas odwrócił wzrok. Nauczył ją tego Evans i jeśli miała przed sobą takiego amatora jak młody Dagenhardt, łatwo było odgadnąć, że mijał się z prawdą.

– Nie... Chyba nie. No wiesz, może być podobnie jak u ciebie. Może paliłem z nim haszysz albo korzystaliśmy z pańienek w jednym burdelu, ale po nazwisku niekoniecznie go kojarzę. Gdy wybuchła wojna, Angole nagle zaczęli udawać, że nie znają swoich niemieckich znajomych. Podobnie było z nami. Jakikolwiek kontakty z Brytyjczykami były w naszym towarzystwie źle widziane, wielu z nas miało to w dupie, ale na zewnątrz nikt się do pewnych znajomości nie przyznawał. – Wygłosił niemalże elaborat.

– Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam – odparła zgodnie z prawdą. Była kosmopolitką i miała w nosie to całe szowinistyczne gównno.

– A dlaczego pytasz o niego? – Teraz Lucas zaczął się w nią wgapiać.

– Tak mi się przypomniał. Poznałam go kiedyś w Alladynie.

– Podobał ci się?

– Nie on mnie, ale ja jemu. – Uśmiechnęła się sztucznie. – Byłam ciekawa, czy ułożył sobie życie, gdy dostał ode mnie kosza.

– Zawsze byłaś zdystansowana i chyba dlatego miałaś takie szalone powodzenie. Niektórzy nawet robili zakłady, że się z tobą prześpią.

– To dopiero mieli rozrywkę – burknęła.

– No właśnie. Słyszałem, że to Evans się kiedyś założył. Nie pamiętam z kim, ale później ten facet stawiał przez całą noc panu kapitanowi whisky i nawet opłacił

mu dziwkę. Mówił, że przegrał cholerny zakład, bo pan kapitan wylądował z tobą w łóżku. To oszust jeden. – Zaczął się śmiać. – Nie wiem tylko, jak go Evans przekonał, że dopiął swego. Bo przecież gdyby zaprosił go do alkowy, musiałabyś to zapamiętać.

Poczuła się tak, jakby właśnie oberwała w twarz. Naprawdę Connor osiągnął dno.

– Właśnie, zapamiętałabym, gdyby ktoś mi się przyglądał podczas najbardziej intymnej chwili w życiu. – Także zaczęła się śmiać, ale to był jedynie śmiech przez łzy.

Jedyne, co się jej w tej całej układance nie zgadzało, to fakt, że Connor jej pomógł, zamiast oddać ją w ręce policji. A może się obawiał, że Ann-Katrin powie o nim coś, co mogło go wpędzić w kłopoty? Najpierw aresztowałaby ją egipska policja, bo taki był przepis. Może mu się wydawało, że jej kairsy znajomi wyciągną ją z tej kabały, a ona dokona na Evansie zemsty za to, co jej zrobił. W takim razie dlaczego, u diabła, gonił ją przez tyle czasu po berlińskich gruzach? Zaczynała mieć coraz większy mętlik w głowie. A jednocześnie słowa Lucasa zraniły ją do głębi.

– Nie mówmy o tym, bo widzę, że ci przykro – powiedział.

– No cóż, nie jestem koniem wyścigowym, żeby jakiś cham robił o mnie zakłady – burknęła.

– W takim razie zmienmy temat... Pracujesz w dziale kryminalnym, pewnie masz stały kontakt z policją. Wiadomo coś więcej o śmierci Kleina?

– Wiem tyle, ile napisałam. Widzisz, co tu się dzieje, nikt się nie będzie przykładał do jednej śmierci, jeśli takich zdarzeń jest pełno. Alianci nie mogą sobie poradzić z wyłapaniem zbrodniarzy, zapewnieniem wyżywienia, a na szaber już w ogóle nie zwracają uwagi. Warunki też temu nie sprzyjają. Nikt nie jest nawet w stanie powiedzieć, ilu ludzi mieszka pod ziemią. W piwnicach, kanałach, wszędzie, gdzie nie pada człowiekowi na głowę. Nie wspominając o brakach kadrowych w policji i marnej dostępności jakichkolwiek technik kryminalistycznych. Detektywi zbierają ślady i co z tego? – Ann-Katrin ulżyło, że przeszli na temat jej pracy.

Oczywiście nie zamierzała mówić Lucasowi, że widziała się z Kleinem w dniu morderstwa, a nawet znalazła się na miejscu zbrodni. W pewnym momencie

zapytała:

– Słuchaj, a znaliście Rudolfa Schachta? Był przyjacielem Kleina.

Dagenhardt zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć człowieka o takim nazwisku. Po chwili powiedział:

– Chyba kojarzę. Kilka razy byli u nas razem na obiedzie. Poznali się w armii Rommla, zaprzyjaźnili i Alfred w końcu przestał żałować, że wrócił do służby. Podobno był lekarzem samego feldmarszałka.

– Nie mów, że Rommla także gościliście.

– Za niskie progi – westchnął Lucas i dodał: – A ja nie żałuję, że się wykpiłem z tej wojny. Tylu naszych żołnierzy poległo, wielu jest kalekami, a mnie jedynie spotkała przeprowadzka do zrujnowanej Europy. Ale żyję, zresztą całkiem nieźle, i mam obie nogi.

Nie odpowiedziała. Nie potępiła Lucasa. Wojna była czymś paskudnym. Gdzieś na górze kilku żądnych władzy ludzi wysyłało maluczkich na śmierć. Nie widziała w tym sensu. Komu przeszkadzałby Berlin, gdyby nie szaleństwo Hitlera? Jak wyglądałyby dzisiaj Warszawa czy Breslau, gdyby nie chore ambicje jednego wariata?

Po dwóch godzinach stwierdziła:

– Uciekam, Lucas.

– Odwiozę cię do domu – zaoferował się.

– Ale muszę jeszcze wpaść do Gisele, mojej przyjaciółki. Jej się udało, nie mieszka w piwnicy. – Uśmiechnęła się. – Chyba że to dla ciebie za daleko. Mieszka w Grunewaldzie.

– Oczywiście, że cię podwiozę. Mogę nawet poczekać, aż załatwisz sprawę, i odstawić cię pod twoje drzwi. – Zaśmiał się nerwowo.

Czyżby Lucas liczył, że zaprosi go do siebie i spędzą upojną noc? Woląta, żeby nie wiedział, gdzie mieszka, gdyby podobny pomysł wpadł mu do głowy.

– Zostanę u niej na noc. Za daleko, żeby wracać – oznajmiła.

Przekląła w duchu ten pomysł, gdy zegnali się przed kamienicą, w której mieszkała Gisele. Przecież będzie musiała wracać S-Bahnem i zajmie jej to sporo czasu.

– To co, kiedy się zobaczymy? – zapytał Lucas.

– Nie wiedziałam, że mamy robić to regularnie – zaprotestowała nieśmiało.

– A zatem znowu dajesz mi kosza?

– Po prostu zadzwoń, jeśli dasz radę. A jak nie, to wpadnij kiedyś – powiedziała na odczepnego, licząc, że Lucas zrozumie aluzję. Pewnie, że mogli gdzieś razem pójść od czasu do czasu, ale nie zamierzała z tego robić cotygodniowego rytuału.

Nazajutrz Gisele zadzwoniła do redakcji. Ann-Katrin nawet się nie przyznała, że poprzedniego dnia stała przed jej domem. Koleżanka zapewne obraziłaby się nią, że nie wpadła na herbatę. Może gdyby było trochę wcześniej, zdecydowałyby się odwiedzić koleżankę, ale wiedziała, że zagadają się do późna, a ona będzie musiała wracać po ciemku do siebie. Berlin był niebezpiecznym miastem, zwłaszcza nocą.

– Dzień dobry, Gisele – przywitała się radośnie, gdy usłyszała głos koleżanki.

– Karen, kochana, dawno się nie widziałyśmy. Może dzisiaj o szóstej w tym samym miejscu co zawsze? Zdasz?

– Dobrze, właściwie dlaczego nie. Jasne, że zdążę, jeszcze wpadnę do siebie zjeść jakąś kanapkę, bo od rana nie miałam niczego w ustach. Wczoraj byłam na mieście z jednym moim znajomym. Myślę, że by ci się spodobał.

– Słuchaj, muszę kończyć. Pogadamy później, bo Martha znowu się będzie czepiała, że wykorzystuję służbowy telefon do prywatnych rozmów.

– W takim razie do zobaczenia, Gisele. O szóstej w naszej Stokrotce.

Odłożyła słuchawkę i pomyślała, że wpadła na całkiem dobry pomysł. Być może Gisele spodoba się Lucasowi i wtedy ona będzie miała święty spokój, a on towarzystwo. Jej koleżanka była bardzo ładną młodą kobietą i marzyła o chodzeniu na randki.

Wyszła z redakcji trochę wcześniej, okłamując naczelnego, że musi jeszcze wpaść do Erika Webera, i poszła do swojej piwnicy. Bez żadnych złych przeczuć stanęła przed drzwiami i z niepokojem spostrzegła, że są uchylone. Popchnęła je i zamarła. Jej pokój był kompletnie zdemolowany. Naprawdę wyglądał, jakby przeszło tamtędy tornado. Szafki zostały wybebeszone, szuflady wyrzucone na podłogę, a jej łóżko stało na boku, oparte o ścianę. Siennik wyglądał dokładnie tak, jak otomana w mieszkaniu doktora Kleina. Przymknęła na chwilę powieki, a potem zebrała z posadzki kilka sztuk odzieży i wcisnęła do swojej przepastnej

listonoszki. Postanowiła, że już tutaj nie wróci. Za żadne skarby świata. Kilka nocy spędzi u Gisele, a potem czegoś poszuka.

Wybiegła z piwnicy i wciąż oglądając się za siebie, pobiegła do miejsca, w którym kręciło się dużo ludzi. Nie miała co ze sobą zrobić, więc poszła do redakcji. Już nawet jeść jej się odechciało.

Gdyby ktoś tylko się do niej włamał, jej piwniczne pomieszczenie zapewne nie wyglądałoby tak, jakby przebiegło tamtędy stado rozjuszonych byków. Ktokolwiek to zrobił, musiał także pewnego dnia odwiedzić doktora Kleina. Problem w tym, że nie miała pojęcia, czego ów człowiek mógł u niej szukać. Być może Alfred posiadał coś cennego, ale ona? Przecież już raz ktoś ją okradł. Connor i najpewniej William. A teraz? Niczego nie miała, oprócz jednej sukienki i wojskowych spodni. Podczas bombardowania Berlina straciła wszystko, nawet zdjęcia Latify i taty. W redakcji zarabiała psie pieniądze, ale mało kto żył teraz w luksusie. No chyba że jacyś prominentni alianci.

A może zrobił to Connor, wyżywając się na jej meblach, zamiast na niej i bałagan u doktora Kleina nie miał nic wspólnego z tym, co stało się u niej? W końcu doszła do wniosku, że nie ma to znaczenia, ponieważ Evans nie był już jej przyjacielem, ale śmiertelnym wrogiem. A czy kiedykolwiek nim był, jeśli dopuścił się takiej podłości? Latifa wyraźnie wskazała na niego, a Irving ani razu temu nie zaprzeczył, tylko poszedł do swojego kolegi i wszystko mu opowiedział.

Niedługo potem znalazła Latifę martwą. Jakby tym gnojom nie wystarczyło, że ją ograbili.

*Berlin, 1947*

Evans postanowił, że nie będzie szperał w archiwaliach dotyczących zamachów na Hitlera. Przejrzał tylko jedną teczkę, ponieważ widniała na niej pieczęć mówiąca, że informacje w niej zawarte są tajne. Nie miał pojęcia, dlaczego ją utajniono, ale gdy dotarł do sposobu, który chciano wykorzystać, by pozbyć się Hitlera z tego świata, zmarł. I wcale nie chodziło o to, że znalazł tam wskazówkę, która w jakikolwiek sposób pomogłaby w odnalezieniu mordercy Kleina i Schachta, ale nie miał pojęcia, że w ładunkach wybuchowych, zarówno tych, które w ogóle nie eksplodowały, jak i w bombie z Wilczego Szańca, znajdowały się brytyjskie zapalniki chemiczne. Były to bardzo sprytne urządzenia, które działały z dziesięciominutowym opóźnieniem. Ich uruchomienie nie było proste, należało bowiem zgnieść miedziane łuski, w których tkwiły ampułki z kwasem. Ten miał stopić druciki napinające piórka z bolcami zapalnikowymi. Jednak wymagało to niezwyklej ostrożności, ponieważ cała konstrukcja wielkością przypominała krótki kawałek metalowej rurki o małym przekroju. Taki zapalnik mieścił się w kieszeni i niewielkiej damskiej torebce i był jednym z lepszych wynalazków brytyjskich inżynierów. Po wykonaniu tych precyzyjnych czynności trzeba było usunąć bezpiecznik i włożyć zapalnik do ładunku. Podobno miał stuprocentową skuteczność, a jednak w samolocie ze Smoleńska do Wilczego Szańca urządzenie nie zadziało.

Nie to jednak było istotne w całej sprawie, ale udział Brytyjczyków. W końcu ci niemieccy oficerowie musieli kupić od kogoś takie чудо. Nie chodziło nawet o pieniądze, ale fakt, że ktoś się odważył sprzedać coś takiego Niemcom. Przecież mogli wykorzystać zapalnik do zamachu na jakąś aliancką fiszę. Kto im na tyle zaufał albo kto na tym zarobił? To było bardzo ciekawe pytanie. Gdyby

rzeczywiście Schacht i Klein byli zamieszani w spisek, kto mógłby ułatwić im dotarcie do czegoś podobnego? Jeśli chodzi o Bliski Wschód, przychodził mu do głowy tylko jeden człowiek. Hamid Farouk. Ten wiekowy już mężczyzna świetnie dogadywał się z Brytyjczykami, ale ojciec mówił Connorowi, że podczas poprzedniej wojny nie gardził też pieniędzmi od Niemców czy Turków. Następną myśl, która przysłała mu do głowy, była już co najmniej fantastyczna...

Ponownie spotkał Ann-Katrin w Kairze wiosną czterdziestego czwartego. Kiedy wysadził ją przed hotelem, nie pojechał ani do domu, ani do jednostki. Czekał na nią. Wyszła dwie godziny później i wsiadła do taksówki, a ta po trzydziestu minutach zatrzymała się przed okazałą willą Hamida Farouka. Właściwie był to pałac otoczony wypielęgnowanym ogrodem. Palmy i daktylowce ocieniały alejkę wiodącą do głównego budynku, podobnego, chociaż o wiele mniejszego, do Szafranowego Pałacu Zafaran. Posesja otoczona była białym murem, a wejścia pilnowało dwóch osiłków.

Niestety jego ukochana niedługo potem jakby nigdy nic znalazła się za kutą bramą i kamienną aleją udała się do domu. Weszła tam jak do siebie... Późnym wieczorem opuściła rezydencję, a nazajutrz egipskim statkiem odplynęła z Aleksandrii w kierunku Konstantynopola.

Evans wyciągnął z szuflady szarą kopertę i wysunął z niej zdjęcie panny Schneider, które ukradł z jej akt. Popatrzył na nią i pomyślał, że Ann-Katrin jest najpiękniejszą kobietą na ziemi. Seksowną, subtelną i egzotyczną. Siedział tak przez chwilę, wgapiając się w fotografię, a potem powtarzał cicho:

– Egzotyczną... egzotyczną...

Zerwał się jak oparzony, założył marynarkę i chwycił zdjęcie Ann-Katrin. Zbiegł po schodach, potrącając przy okazji sekretarza gubernatora wojskowego amerykańskiej strefy. Wsiadł do wojskowego gazika i ruszył z impetem. Dociskał gazu i trąbił na przechodniów. Dopiero gdy wjechał do radzieckiej strefy, zwolnił. Dotarł przed monumentalny budynek i zadarł głowę. Właśnie znalazł się przed szpitalem Charité.

Przed wejściem stał radziecki żołnierz. Connor wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował mężczyznę. Ten od razu przestał zerkać na niego spod łba. Powiedział, że musi poszukać zaginionej żony, a tutaj podobno coś o niej wiedzą. Żołnierz machnął tylko ręką, jakby kompletnie go to nie interesowało, ale wysunął dłoń po całą paczkę. Evans wręczył mu ją bez wahania.

Idąc po schodach, zastanawiał się, jak mógł o tym nie pomyśleć. Może Ann-Katrin tylko dla niego była najpiękniejsza na świecie i w Kairze miałyby sporą konkurencję, ale tutaj, w aryjskim świecie, jej uroda musiała się rzucać w oczy. Miała nieco inny kolor skóry, duże ciemne oczy i niemal czarne włosy. Tak, była na pewno egzotyczna dla przeciętnego Europejczyka i kojarzyła się z Orientem.

Wszedł na oddział chirurgii i pokazywał zdjęcie każdej osobie z personelu. Kiedy dotarł do ostatniego pokoju, w którym urzędowały pielęgniarki, właściwie już stracił nadzieję. A jednak los zapragnął jak najdłużej trzymać go w niepewności. W środku była tylko jedna kobieta. Popatrzyła na zdjęcie i powiedziała bardzo stanowczo:

– Tak, widziałam tę kobietę. Taka była... nie nasza. Rozmawiała z doktorem, ale bardzo krótko, bo Klein chwilę potem, może trzy, cztery minuty później, już był na bloku operacyjnym.

– A czy pamięta pani, kiedy to było?

Pielęgniarka usiłowała sobie przypomnieć, ale przez kilka minut się jej to nie udawało. Zaczął podejrzewać, że robiła to celowo, żeby trochę z nim poflirtować. Niestety, on nie miał na to czasu. Kiedy już chciał wyjść, krzyknęła:

– Wiem, kiedy to było! Następnego dnia dostaliśmy informację, że doktor Klein nie żyje. Czy to ona go zamordowała? – zapytała zdumiona.

Sam chciałby to wiedzieć.

– Nie. – Uśmiechnął się do kobiety. – Ale jest ważnym świadkiem i sama może być w niebezpieczeństwie.

Tak, pewne zachowania weszły mu w nawyk. Ann-Katrin kolejny raz brała udział w morderstwie, a on jak ostatni osioł wciąż chciał ją chronić. Stwierdził, że tym razem chyba naprawdę ją zabije. Żeby już nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy.

Przymknął powieki, a potem odetchnął. Jeszcze jej nie znalazł, ale był niemal pewny, że za kilka godzin Ann-Katrin będzie w jego rękach. I co, do diabła, miał z nią zrobić?

– Dziękuję – powiedział i uśmiechnął się czarująco do pielęgniarki.

– Zapraszam częściej. Mam na imię Angela.

– Kto wie, Angelo, może jeszcze do ciebie wpadnę. – Puścił do niej oko.

Może poflirtuje jeszcze kiedyś z uroczą Angelą, ale teraz musiał załatwić jeszcze jedną sprawę. Wprost ze szpitala pojechał do biura Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dokąd wmaszerował pewnym krokiem. Dziewczyna, która miała go o wszystkim informować, o mały włos nie spadła z krzesła, gdy pochylił się nad nią. Siedziała skupiona przy biurku i wypełniała jakieś blankiety.

– Dzień dobry! – wykrzyknął radośnie. – Mogę usiąść?

Gisele Richter była tak przerażona, że nawet nie odpowiedziała. Jedynie skinęła głową. Rozparł się na krześle i powiedział bardzo uprzejmie:

– Gisele, prawda?

– Tak, panie majorze... – wymamrotała.

– Evans. Nazywam się Connor Evans.

– Aha... – Dziewczyna zrobiła minę mówiącą: „Gównu mnie obchodzi, jak się nazywasz”. To oznaczało, że nigdy o nim nie słyszała.

– Gisele, przejeżdżałem po drodze i pomyślałem, że wpadnę, bo masz dla mnie jakieś wieści o panie Schneider. Nie przeszkadza ci, że mówię ci po imieniu?

– Nie mam – powiedziała szybko. Bardzo szybko.

– Posłuchaj, na pewno bystra z ciebie dziewczyna. Wiem, że ona się nie odnalazła, bo wtedy na pewno byś do mnie zadzwoniła, prawda?

– Oczywiście, takie miałam polecenie od kierowniczkę – odparła.

– Ale może ktoś o nią pytał?

– Nie – zaprzeczyła stanowczo.

– Na pewno, Gisele?

– Na pewno.

Młoda kobieta zaczynała się irytować i, jak mu się zdawało, była lekko podenerwowana. A to oznaczało, że albo coś wiedziała, albo po jego ostatniej wizycie, kiedy niemalże sterroryzował kierowniczkę, była przestraszona.

– Rozumiem – westchnął i rozejrzał się po biurze. Oprócz Gisele nikogo więcej w nim nie było.

– Czy to już wszystko, majorze...?

– Evans.

– Evans – wydukała.

– Nie, Gisele. Chciałbym ci jeszcze powiedzieć, że jeśli kryjesz pannę Schneider, to nie będę na ciebie zły. – Starał się, żeby jego głos brzmiał łagodnie, ale chyba nie bardzo mu to wychodziło, bo dziewczyna sprawiała wrażenie jeszcze bardziej spanikowanej.

– Nie znam tej kobiety – jęknęła rozpaczliwie.

Connor położył na biurku zdjęcie Ann-Katrin. Popatrzyła na nie i się wzdrygnęła.

– Poznajesz ją, Gisele?

– Nie wiem, kto to jest. – Wzruszyła ramionami. Chciała udawać bardzo rozluźnioną.

Problem tkwił w tym, że Gisele była bardzo kiepską aktorką.

– Nie... zrobię... jej... krzywdy... Słyszysz?

– Ona też nie wie, gdzie jest ta Schneider – wyrwało się Gisele.

– Skąd wiesz, jeśli jej nie znasz i nigdy nie widziałaś? – zapytał słodko.

Dziewczyna milczała jak zaklęta. I wtedy Connor przestał być miły.

– Gisele Richter, naprawdę chcesz stracić tę pracę? A może masz ochotę posiedzieć trochę w więzieniu?

– Ale ja nic nie wiem...

– Dobrze, w takim razie poproszę o telefon. Zadzwoń na policję. Może w komendzie będziesz bardziej rozmowna. – Wyciągnął rękę w kierunku ciężkiego czarnego aparatu, stojącego na biurku kobiety. Podniósł słuchawkę, ale wyrwała mu ją i odłożyła na widełki.

– Karen Brener. Jest dziennikarką w „Die Neue Zeitung” – wyrzuciła z siebie.

– A więc to jest Karen Brener. – Roześmiał się.

Miał ją w zasięgu ręki. Niemal przez cały czas. Wystarczyło, by dał się namówić Weberowi na randkę z tą kobietą. Mógł sobie wyobrazić minę każdego z nich. Niestety, Erik absolutnie nie mógł się o tym dowiedzieć.

– Panie majorze... – Gisele zaczęła płakać – To moja dobra koleżanka. Ona знаła ją ze szkoły... To naprawdę dobra dziewczyna. Karen nie zrobiła nic złego, a ja nie wiedziałam, że mam zgłaszać takie sprawy.

Pomyślał, że Ann-Katrin nabrała także poczciwą Gisele. Ta dziewczyna naprawdę starała się ją kryć. Morderczynię i oszustkę. Dotknął dłoni dziewczyny.

– Posłuchaj, przyrzekam, że nie spotka jej nic złego. Tylko z nią porozmawiam. Nie chcę, żeby i ona się wystraszyła, dlatego nie chciałbym iść do jej redakcji. Wiesz, że mógłbym narobić jej kłopotów w pracy. Tak jak tobie. Zadzwoń więc teraz do niej i umów się z nią na herbatkę. Macie ulubioną kawiarnię? – Pokiwała głową, a on dodał: – Gisele, bardzo cię proszę. Uspokój się, wykręć ten cholerny numer i porozmawiaj ze swoją koleżanką tak, jakby mnie tu nigdy nie było, dobrze?

Panna Richter wzięła trzy głębokie oddechy i podniosła słuchawkę. Bez problemu udało jej się namówić Karen na herbatę w ich ulubionej kawiarni.

Widział ją przez witrynę Stokrotki. Siedziała przy stoliku i patrzyła na drzwi. Miała przygnębioną minę. Bardzo schudła, a jej oczy wyglądały jak dwa węgielki. Długie ciemne włosy spływały kaskadą na ramiona. Zapytała o coś kelnera, najpewniej o godzinę. Jej koleżanka się spóźniła. W końcu wzięła ze stojaka na prasę jakąś gazetę i zaczęła ją przeglądać. Jednak nie zatrzymała się na dłużej przy żadnym tekście.

Wsunął się do kawiarni wraz z jakąś roześmianą parką i chowając się za ich plecami, podszedł do jej stolika. Szybko usiadł na krześle stojącym naprzeciwko niej. Kiedy popatrzyła na niego, miała w oczach autentyczną panikę. Zerwała się na równe nogi, ale powiedział zimno:

– Nawet nie próbuj, Ann-Katrin.

Koniec tomu I

Przypisy

[1] niem. kwestionariusz

[2] Szałas w Afryce, zamieszkiwany przez jedną rodzinę.

[3] Osmańska jednostka powierzchni. W osmańskiej Palestynie wynosiła około 2500 m².

[4] Rolnik arabski.